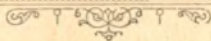


WYBÓR DZIEŁ
KLEMENTYNY z TAŃSKICH HOFMANOWEJ.

WYDANIE JUBILEUSZOWE
TOM III.



JAN KOCHANOWSKI
W CZARNOLESIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU.

OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI.

A decorative frame with a central rectangular box containing the text. The frame is adorned with ornate floral and scrollwork designs at the top and bottom.

CZEŚĆ PIERWSZA.

KRAKÓW.
NAKŁADEM »CZYTELNI POLSKIEJ«.
1898.

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLONSKIEGO
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Ale począwszy od stworzenia świata,
Aż po te nasze ostateczne lata,
Ledwie par kilka w dziejach opisano,
Które za prawie przyjaciół miano.

Jan Kochanowski. Księga I. Pieśń 26.

Było to tysiąc pięćset osiemdziesiątego czwartego roku, w drugi piątek po Wielkanocy; czas był nadzwyczaj piękny. Jakaś omyłką, czy pospiechem natury, od samych świąt wiał ciepły wietrzyk. Słońce dogrzewało. trawniki się zazieleniły, niektóre kwiatki pokazywać się zaczęły, nawet kilka drzew łatwowiernych listki puściło. Korzystając z tej wczesnej, a przeto tem miłszej wiosny, Jan Kochanowski siedział sobie więcej niż od godziny w obszernym, acz jeszcze bez cienia ogrodzie, i dumał. Z pogody wysokiego czoła, z jasności łagodnej twarzy, z uśmiechu, który i zpod gęstego wąsa wyzierał, z wyrazu ciemnych oczów raz koło siebie, raz w niebo wdzięcznie patrzących, widać było lube jakieś dumanie.

I ktoby zgadł? ale czegoż wybaczyć nie trzeba pobożnemu i serdecznemu poecie! oto matka śniła się mu tej nocy.

Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, w którym enót pełna Anna z Białaczkewskich Kochanowska zasnęła w Bogu, a zwłoki jej złożone zostały obok męża w Zwolenkim kościele; przecież, ani syn o niej, ani ona nie zapomniała o synu. On modlił się codzień za jej duszę, pamiętał na jej słowa; ona ukazywała mu się niekiedy przez sen, i to w taki sposób, iż ocknąwszy się, sam nie wiedział, czy we śnie czy na prawdę ją widział? a zawsze jej się trafiło, że w dniach trwogi lub smutku uspokojenie mu przynosiła; jeżeli w dniach pomyślnych i błogich, zwiastowała mu nową pociechę.

W tej chwili szczęśliwy Kochanowski chyba radości mógł się spodziewać; właśnie dumał, skąd i jaka to radość będzie?

Polska — bo któż szczęście prawego Polaka od szczęścia ojczyzny oddzielić może — Polska, rozciągająca od morza do morza posiadłości swoje, niepodległa, potężna, groźna obcym, zaczynająca znowu być rządna u siebie, cieszyła się od ośmiu lat jednym z największych królów, Stefanem Batorym, królową Polką; brzmiała odgłosem spełnionych już zwycięstw i popraw, wrzała chęcią nowych; chlubiła się nieprzeliczonym poczem znakomitych synów, na których czele stał Jan Zamojski; jaśniała złotym wiekiem języka i nauk. W miłym acz skromnym Czarnolesie, wszystko również do pana swego się śmiało. — Wioska, gniazdo i dziedzictwo ojczyste, pełna rodzinnych i młodocianych wspomnień, zamieszkała szczęśliwszym niż gdzieindziej kmieciem; dom dostatni i wygodny własną jego ręką stawiany; gospodarstwo dobrze urządzone, sad i pola obiecujące, sąsiedztwo liczne, pokrewne i zgodne; a gdy bliżej jeszcze siebie, bliżej serca spojrział, jakiż miły widok wpadł mu pod oczy?

Żona, zacna Hanna Dorota Podlodowska, młoda jeszcze i piękna, nadzieją siódmego dziecięcia poważna, siedziała o kilka kroków z najstarszą córką, hożą, czarnooką Ewą; lat siedmnaście igrało na okrągłych i rumianych policzkach dziewczęcia, i na koralowych jej ustach; lat siedmnaście objawiała wykształcona i bogata kibić; obie z matką przędły na wyścigi len miękki i włóknisty, a ożywiona i wesoła ich rozmowa tłumiała wartkich kołowrotków brzęczenie. — U nóg ich troje dziewcząt od lat siedmiu do trzynastu, Dorota, Marychna i Hanna, wszystkie czerstwe i udatne, siedziały nachylone nad przetakiem cukrowego grochu, z którego wyrzucały nikczemne i uschłe ziarnka; mimo gęstych żartów i głośnego często śmiechu pracowały pilnie; musiały się spieszyć; jutro ze świtem miano sadzić groch w ogrodzie; była jedna grządka dla nich przeznaczona, i już im zawczasu chrupały i smakowały zielone a słodkie strączki. — Nieco dalej, pod ciennikiem chróścianym, którego chmielowa zasłona jeszcze nie urosła, kryła się druga z kolei córka Kochanowskiego; pobożna, — jak ją zwano — Ludwina. Odzież jej czarna i fałdzista, dłuższa od powszechnie używanej, mogła była ją ukryć nawet przed wzrokiem ojca; ale świeciła z daleka nadobną bladością i świętym pokojem twarz jej, błyskały dwie białe rączki nawlekające starannie różańce z klekoczki; słychać było lekki szmer odmawianych pół głosem pacierzy. Nareszcie, na łące, dzielącej miejsce posady drużyny od obszernego dworu, wśród młodziuchnej trawy i kryjących się w niej siołków, biegało śpiewające dziecię, a raczej aniołek. Koszulka z krezą jak śnieg biała nie była bielsza od ciała, ciemno błękitny letniczek błękitniejszy od oczów;

ani krzyżyk złoty, co na piersiach wisiał, więcej złoty od włosów kręconych.

To też jakkolwiek Kochanowski obliczał pilnie i z lubością obywatelskie i domowe skarby swoje, jakkolwiek spoglądał z upodobaniem na budzącą się wiosnę, na żonę i na starsze córki, ku tej miłej dziecinie zwracał się najczęściej wzrok jego, wlepił się w nią, i zdawało się, że go oderwać od niej nie może. Nakoniec, patrząc tak długo, wstał nagle i zawołał z tryumfem, jak gdyby znalazł słowo trudnej zagadki: »Tak! on jej nie zna, on dziś przyjedzie«.

— Kto? kogo? — zapytała ze śmiechem sama Kochanowska. — Mężu kochany — dodała — jeśli dumając już tak dawno na tej tam ławie, bawicie się cichaczem złotą lutnią waszą, jeśli układacie drugą »Odprawę posłów«, drugą Helenę uwolnić chcecie, powiedzcież i nam, ubawimy się przed innymi.

— Nie — odpowiedział Kochanowski — nie tworzę ja w tej chwili pieśni żadnych, ani się przenoszę duchem w owe sławne starej Grecyi wieki, nie ścigam sławy, ani muzy; o żyjące, o serdeczniejsze rzeczy tu idzie; spełnią się da Pan Bóg marzenia moje, a wasza uciecha będzie stokroć lepszą od zabawy. Wszak mówiłem ci, Hanno, wstawszy rano, o moim śnie; od początku dnia szeptało we mnie: coś miłego, pożądanego ci się zdarzy; lecz nie wiedziałem co? teraz wyraźny głos zabrzmiał mi w duszy: »Jakób dziś przyjedzie! kochany nasz podkoniuszy«.

— Daj Panie Boże! — odrzekła Kochanowska. — I nie byłoby wcale nic dziwnego w przyjeździe pana brata; spodziewamy się go w tych czasach. Już to blisko pięć lat jak do nas zajrzał, jeszcze przed wojną mo-

skiewską: a kiedy pisał na Boże Narodzenie, wyjeżdżając do Carogrodu, zapewniał, że będzie z powrotem koło Wielkanocy; i bądź co bądź tej wiosny do Czarnolasu zjedzie. Mam nadzieję w opiece Matki Boskiej, iż się mu nic złego nie stało w tej dalekiej drodze, a wiosnę też już mamy, i piękną.

— I on mojej szczebiotki, mego słowiczka wcale nie widział — mówił dalej Kochanowski, patrząc znowu na dziecinę. — Nowa radość, którą ukochana matka zwiastowała mi dziś zjawieniem się swoim, nie może być inna: Przyjacielowi Orszulkę pokażę.

Kiedy to mówił, dziecina bawiąca się na łące rzuciła zbierane starannie trawki i kwiaty, i co temu przybiegła; a patrząc ojcu i matce w oczy, pytała: »Wołacie mnie; czy jest co na wasze usługi?«

— Nie, pieszczoto moja — odpowiedział ojciec, biorąc ją na ręce i przytulając mocno do siebie — nie; ale powiedz mi, ty, co z górnych krain nie dawno na moje szczęście zesłana, z aniołami w częstych rozmowach być musisz, powiedz: Przyjedzie dziś ten, co go widzieć pragnę?

Z fiołków, które dziewczynka rwała i rzuciła na łące, jeden zaczepił się za bramowanie letniczka; dostrzegła go, wzięła, a zamiast odpowiedzi rwąc ostrożnie po listku — jak to u starszych sióstr zapewne nieraz widziała — mówiła z kolei przechylając śliczną główkę i patrząc na ojca: »Nie przyjedzie«. Właśnie ostatni listek urwać miała i wypadało pomyslnie słowo: »Przyjedzie«, kiedy szczekanie psów, stąpanie koni dały się słyszeć, i wnet skrzyknęły ciężkie wrota od ogrodzonego podwórca będącego po drugiej południowej i zajezdnej stronie domu.

— Ktoś cudzy przyjechał — zawołał Kochanowski — dziewczeczki! niech jedna z was pobieży obaczyć kto taki?

Na ten rozkaz wszystkie dziewczęta się porwały. Ewa rzuciła wrzeciono, mało dbając na to, że przedzę zerwała; trzy młodsze przeskoczyły przetak i wysypała się połowa grochu; Ludwina tylko na odgłos przybycia osób skryła się głębiej pod ciennik, a Orszulka jak gdyby bojąc się utraty miejsca swojego, objęła szyję ojca rączkami, patrząc jednak pilnie wraz z nim w stronę, gdzie siostry pobiegły.

— To nikt — wołała z daleka a smutnie Ewa wracając zwolna i ledwo co wyjrząwszy za dom.

— Jak to nikt? — zapytał ojciec — kiedym przecie sam słyszał.

— To nikt, to pan Franciszek. Oto idzie.

I pokazał się młodzieniec może dwudziestoletni, rośły, gruby, rumiany, z wielkimi wytrzeszczonemi oczyma, który szedł zwolna, jak gdyby miał cztery razy tyle wieku. Suknia jego cała futrem podszyta z kosztownego była aksamitu, ale dobrze powalana z przodu i nieco obdarta w około, szabla wlekła się za nim gdyby pożyczana, a pas, którego, jak widać, bał się ścisnąć, zapewne przez wzgląd dla już szanownego brzuszka, spadać mu chciał, tak, że go co chwila musiał poprawiać; włosy jasne dosyć rzadkie były rozrządzone, i gdzieniegdzie pieprz z nich wyglądał; zupełnie jak u człowieka, co dopiero wstał z pościeli: bułkę chleba trzymał pod ramieniem, którą ofiarował Ewie mówiąc pomału: »Udały się dziś zemły naszej starej Jagience i przywożę wam największą, cieplusienka: fraszka zemły... jak się nazywa...

— Wiślickie — dopowiedziała dziewczeczka, kłaniając mu z uśmiechem.

— Tak Wiślickie; zawsze zapominam; głowę coraz mam słabszą — dodał bijąc się w czoło.

— A czemuż dziś tak późno w odwiedziny, panie Franciszku? — zapytała uprzejmie Kochanowska, skoro gość usiadł na ławie wedle gospodarza, i pozdrowił go ściskając mu nogi — czemu nie na obiad?

— Okrutnie późno jadacie, pani stryjenko — odpowiedział — a ja tak długo żadnym prawem wytrzymać nie mogę, natychmiast omdlewam. I jał przyciskać ręką żołądek, jak gdyby się mu słabo robiło.

— Jeżeliście już dawno po obiedzie, możebyście co przekąsili? — spytała się znowu — mamy jeszcze placków i kołaczy wielkanocnych łaskę Pana Boga.

— Przekąsić jak przekąsić — chyba kromkę chleba i sera krajankę, albo kawał piernika — wyśmienite wasze sery i pierniki! alebym chętniej się napił. Dziś post święty; obiad był lichy, same ryby; dokładałem jak mogłem pirogami, grochem, śliwkami, kapustą surową, i ja-koś mi to pragnienie sprawiło.

— A cóż pić chcesz! — zapytał Kochanowski.

— Cokolwiek byle mokre; piwo, wino, miód, aby chłęptać.

Ewa, która czekała na rozkazy matki, spojrzała jej tu w oczy pytając co każe dać?

— Przynieście mu staropolskiego piwa i chleba naszego powszedniego — zawyrokował ojciec. — Pan Franciszek za młody na wino i miód.

— Ja też tam nie koniecznie stoję o te gorące trunki, chyba z towarzyszami; wolę nawet piwo, więcej wlać go można.

— A nie pytamy się o panią bratową? — przerwała Kochanowska. — Jakże dziś jej zdrowie?

— Zawsze źle i nie będzie nigdy inaczej; ani je, ani pije, i tak rogata dusza u tego matczyńska: jabym dawno umarł, gdybym tak żył powietrzem.

Tu pacholek przyniósł potężny dzban piwa i dwa duże kufle szklane i postawił na stole przed Kochanowskim; Ewa wróciła z bochenkiem chleba z solą na gładkim talerzu cynowym. Pan Franciszek wnet spełnił swój kufel i drugi, i trzeci, wreszcie przypiął się do dzbanka i wysuszył co do kropli; Kochanowski ledwie usta w swoim kufle umaczał, i nie uśmiechnął się nawet na dosyć komiczną figurę, jaką wystawiał młodzieniec z owym dzbanem równie okrągłym jak on sam.

— A — Bóg wam zapłać! uraczyłem się — przemówił wesoło pan Franciszek otrząsając się i ocierając usta rękawem — ale coś mi pan stryj nie swój, zamysłony, smutny, bodaj czy nie... jak się nazywa?

— Kordyaczny — podała Ewa.

— Tak kordyaczny — kordyaka — zawsze zapominam nazwiska tej plagi, bo też spodziewam się nie nawiedzi mnie nią Pan Bóg, ona się boi dzbana. — Pan stryj może dziś z suchotami przy piątku? To licha warto. Pościć zgoda, ale przytem jeść co się zmieści.

— Ani ja z pokusy, ani z choroby, ani też z głodu takim jak mnie widzisz — przemówił Kochanowski z pół-uśmiechem. — Owszem od godziny myśl moja w czystych przestworach buja. Karmię się słodką nadzieją, a przed chwilą jak gdyby raj mi się otworzył... Ale jeśli ci mam prawdę wyznać, synowczyku, jakkolwiek zawszem ci rad w moim domu, właśnie w porę kiedyś się pokazał, o kim innym my tu myśleli.

— O kimże takim? Któż to ma zjechać? Może pan jaki albo mędrzec: uciekam — ja się ich boję jak głodu i wojny.

— Nie uciekaj — brat to mojej Hanny, podkoniuszki królewskiej, nie pan ani mędrzec, ale dzielny żołnierz i mąż zacny, jakich nawet w naszej Rzeczypospolitej mało: więcej on bitew odbył, niż ty bratku czytał o nich; mój przyjaciel pierwszy, jedyny... bo tylko jeden być może przyjaciel prawdziwy, jak Bóg jeden, jedna żona, jedna matka, ojczyzna jedna... Nie bez tego, żebyś już nie słyszał między nami nie raz imienia Jakóba Podładowskiego, ale pewno nie wiesz, oto, i te dziatki nie wiedzą i nikt wiedzieć nie może, krom wielkiego Boga, ile między nim i mną jest stosunków i węzłów. — I tu Kochanowski, zapominając zupełnie, iż przed bardzo cielesnym słuchaczem tajniki duszy swojej otwiera, tak wydał na jaw treść godzinnych dumań i lubych przypomnień swoich: — Myśmy z Jakóbem pod jednymi znakami niebieskimi, pod tąż samą gwiazdą się rodzili. Ja, będzie temu wnet lat pięćdziesiąt cztery, w wigilią Ś. Jana, w dzień wiele znaczący w tajemnym układzie wyższych rzeczy, przyszedłem na ten świat, w Sycynie, dziś brata Piotra własności, gdzie wtedy rodzice mieszkali, niedaleko spławnej Wisły; on zaś tego samego dnia i roku, o tejże samej godzinie, urodził się w Studzienicy na głębokiem Podolu, nad brzegami niepokonanego Dniestru. Obaśmy rośli o sto mil od siebie, nie wiedząc jeden o drugim; przecież wyższa i niedocieczona ręka, co biegiem gwiazd zjednoczyła na niebie nasze losy, sprawiła nasze połączenie na ziemi. — Ojciec jego, żołnierz wielki i poseł na sejmy, niepospolitej śmiałości i wymowy, pragnąc

syna widzieć człowiekiem, oddał go na dwór wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego; mnie także matka i brat w jednym czasie tam posłali. Spotkaliśmy się; i poznać zaraz można było, że przyjaźń nasza zapisana gdzieś wyżej od wieków, bo serca od razu do siebie przystały, jakby jedno dla drugiego stworzone. Zaraz wtedy zaczęliśmy gorącą i na potem nigdy nie rozerwaną przyjaźń, żyliśmy jako jedna dusza we dwóch ciałach, zachęcając się wzajemnie do cnoty, do męztwa, do nauki. On mnie pokazywał jak bronią robić — a ja jego czytać i pisać douczyłem — bo nie w szkołach, ale w obozach młody wiek przeżywszy, wiele umieć nie mógł, a lubił nauki i uczonych. Jam go w wierze oświecił, a jak dziś pamiętam, kiedy nam przyszło pierwszą Wielkanoc przebyć razem, poszliśmy oba do spowiedzi, do jednego księdza, pożywaliśmy świętości Pańskie u jednego stołu, przysięgliśmy przed ołtarzem być wiernymi sobie do śmierci, i nawet błagaliśmy Pana Boga ze łzami, żeby, kiedy nas w jednym dniu na ten świat przysłał, żeby nas i o jednym czasie powołać do siebie raczył...»

— Już co o tej młodocianej i prawdziwie dziecinnej modlitwie, to zawsze z trwogą słyszę — przerwała Kochanowska — nie wolno nikomu własnem życiem ani cudzem rządzić; a czasem w złą godzinę powiedzieć co można. Jest wróg co mięsza ludzkie rzeczy. — A choć żartobliwie mówić chciała, przebijał przecież smutek w jej głosie, i zaszły chmurą piękne czarne oczy. Ale Kochanowski, nie zważając na słowa i na rozczulenie żony, tak mówił dalej z równą żywością: — »Od tej chwili losy rozmaicie mną miotały; naprzód, spokojny nauk wyznawca i dworzanin, byłem czas jakiś żołnie-

rzem; dalej, żeglowałem przez morza głębokie, nawiedziłem Niemcy, Włochy, Francję; potem w królewskich komnatach, bawiłem na świetnym i rozkosznym dworze; aż znowu, to ksiądz w rewerendzie, to młodzian w zalotach; pókim nareszcie nie wrócił do pól piaszczystych i do czarnych lasów, na które rad patrzyłem w młodszym leciech. Przemieniałem się wielokrotnie gdyby Proteusz jaki, Bóg wie czegom nie kosztował; przecież ani na chwilę, ani ja dla mego Jakóba, ani on dla mnie się nie zmienił. Przygody, lata, przeszły nad przyjaźnią naszą, oto jak te białe obłoki po tym lazurze przechodzą — serce i niebo zostało jednakie. Rzadko kiedy się widujemy, gdyż on żołnierz nie dla popisu i sługa królewski nie dla płacy, a ja cichy i samotny ziemian, ale posyłałyśmy sobie wzajemnie gońców; i przysięgłbym na to, że jak ja za niego, tak on za mnie dnia nie opuści bez zmówienia serdecznego pacierza, i dobrze pamięta na znowu jaką ma ze mną... Dziaćki moje! — dodał obracając się do córek, które wszystkie, nawet Ludwina, zbliżyły się do ojca, skoro mówić zaczął i słuchały go z uwagą — dziaćki moje! każde z was gdy pożyje dłużej, pozna silną władzę pierwszych związków. Młodość, wiosna to serca i życia; co w niej zasiejesz, wzrośnie. O! nie marnujcie uczuć waszych i myśli nie rzucajcie na wiatr; kto za młodu nic nie przysposobi, ten w wieku dojrzałym nie będzie miał po co się schylić!«

— O zapewne! — wyrzekł pan Franciszek głosem nieco przytłumionym i przerywanym, bo czy z roztargnienia czy ze zwyczaju, to krając kozikiem, który zawsze przy sobie nosił, to skubiąc po kawałku bochenek chleba, spożył był prawie połowę — zapewne; ja zawsze sobie myślę: jak kiedy przywiozą bardzo dobre

wino z tego... jak się nazywa?... z tego miasta nad... — jak się nazywa?

— Z Kazimierza nad Wisłą — dmuchnęła z niecierpliwością Ewa.

— Tak, z Kazimierza nad Wisłą; nazwiska nic się nie czepiają mojej pamięci; otóż tedy jak przywiozą dobrego wina z Kazimierza nad Wisłą, poproszę pani matki, żeby mi pozwoliła odstawić jedną beczkę, opasać ją łańcuchem, i nie tknąć jej się aż za jakie lat dwadzieścia. Taby to dopiero kapitalne wino się zrobiło! — Nie wiem czemu nie przychodzi do tego; co wstawią beczkę do lochu, to się i wytoczy; muszę się poprawić. Ale da lipan — za ledwie mówić mogę, zadusiłem się suchym chlebem...

— Możeby bratanek chciał jeszcze popłukać? — spytała Ewa, a złośliwy uśmiech otworzył jej usta, i ukazały się dwa rzędy zębów białych jak perły. Pan Franciszek, choć nie koniecznie bystry, dostrzegł przecież lekkiego wyrazu szyderstwa na twarzy dziewczyny i może pierwszy raz w życiu odmówił napoju. Lecz ta odmowa skróciła znacznie jego odwiedziny; widać dom mu zapachniał i swoboda jego; wstał z ławy, i powiedział:

— Panie Boże odpuść, a wszakci to ja zapomniałem, po com tu dziś przyjechał. Panią matkę coś bardzo boli, czy kolano, czy bok doprawdy nie pamiętam, ale boli; Jagienka naraiła jej lekarstwo i mnie przysłali po nie.

— Czemuż nie mówicie? — okrzyknęła się Kochanowska i córki.

— Wy podobno, pani stryjenko, macie zawsze świeże — jak się nazywa? — te czarne robaki?

— Pijawki — zawołały wszystkie razem.

— Tak — tak, pijawki, otóż pani matka prosi, żebyście jej przysłali, nie wiem tam wiele — trzy czy sto?

Ledwie dosłyszała tych słów Ludwina, natychmiast wzięwszy klucze poszła do domowej apteki i niebawem wróciła z mendlem pijawek w szklanym słoiku. Kochanowska dopytywała się tymczasem pana Franciszka o słabość jego matki, ale on jej nic więcej powiedzieć nie umiał, znać że i sam nie wiedział; widok zaś słoika przywiódł zapewne jego pamięci przypomnienie szklanki, i tego co w niej bywa, bo z niezwycajnym pośpiechem wziął pijawki, raz się tylko spytał, czy nie przebiją papieru i czy go nie ukąszą? pożegnał się, i pojechał ze swoim pachołkiem, któremu jednak dla większej pewności i wygody własnej, oddał słoik, skoro wyjechali za wrota.

Kochanowska patrząc za nim trząsnęła głową i zamysliła się smutnie; Ewa ruszyła ramionami, i nie mówiąc, jęła szukać wrzeciona w piasku; Kochanowski uśmiechnął się litościwie i powiedział pół głosem: — Pieszczoch! jedynak! a splotłszy ręce z tyłu, i nachyliwszy głowę, przechadzać się zaczął tam i sam po prostej ulicy prowadzącej do domu. — Ledwo parę razy ją przeszedł, ledwo żona i córki zabrały się do przerwanych zatrudnień, kiedy znowu stąpanie konia, ale nie równie prędsze niż pierwej dało się słyszeć. — Już nie czekając rozkazu ojca dziewczęta pobiegły; Kochanowski stanął rześko, wyprostował się i spojrzał wesoło na żonę, która skręcając len w palcach, już ani nogą ani ręką ruszyć nie śmiała, tylko nadstawiwszy ucha, słuchała pilnie. — Jakoż wnet rozległ się w powietrzu krzyk jeden, chociaż z kilku głosów złożony:

— Dobra wieść! dobra wieść! posłaniec od pana podkoniuszego. Jedzie! Jedzie!

— Jedzie? zapytali oboje jakby własnym uszom nie dowierzając — jedzie! być że to może? A on sam z młodzieńczą prędkością pospieszył ku posłańcowi i pytał go się, czy ma jakie pismo w dowód?

— Niema żadnego pisania — odpowiedział kozak ubrany w barwę Podlódowskich brunatną z czerwonym, dziarski i urodziwy młodzieniec od dwudziestu czterech lat albo więcej, z pięknym, czarnym wąsem i krótko przystrzyżoną brodą jak aksamit, lecz znacznie oszpeczony szerokim plastrem, co mu pół nosa i część policzka okrywał. — Mój pan to wam jedynie oświadczyć kazali, iż zdrowi są; i jutro da Pan Bóg przed południem tu zjadą. Zostawiłem ich w Lublinie. Żeby wam czas do jutra zająć i czekanie osłodzić, rozkazali wręczyć wam tę skrzynkę.

To mówiąc kozak postawił na stole spory koszyk, jakich jeszcze dziś w Turcyi używają, mocno pleciony, powleczony ciemną skórą; gdy go Kochanowski otworzył, oczy młodszych dziewcząt patrzące weń ciekawie obaczyły z radością wyborne bakalie tureckie, daktyle, figi, których część znaczna wnet przy wesołych krzykach i płasach przeszła w ich skupione dłonie; pod spodem były poowijane starannie różne wschodnie szacowności, jedwabne pasy i taśmy, hafty na skórze złotem i srebrem, przeźrocyste zasłony, meszty i bóty żółte, kindzały, pachnące paciorki, olejki, balsamy.

— To gościniec z pańskich podróży do Carogrodu; — powiedział kozak. — Daleka i nie koniecznie miła i bezpieczna droga, mil kto wie czy nie trzysta; dwanaście niedziel nam zabrała ze wszystkim; prawda żeśmy na

miejscu prawie półtora miesiąca bawili; ale, bylibyśmy i prędzej wrócili, gdyby nie różne korowody; bo trafiało się i złe i dobre w tej wyprawie, jak to zawsze na tym świecie; koni cudnych prawdziwie tureckich kupiliśmy kilkanaście dla króla, lecz nie obyło się bez srogiego krwi wylewu.

— Jak to? — zawołał Kochanowski — pan Jakób znowu się bił?

— A jakże; bił się i tego, po swojemu. Dalipan było tam gorąco i żwawo gdyby pod Połockiem.

— Ale skądże znowu — przerwał Jan — przecież mamy pokój z Turkiem.

— Gdzie tam kiedy pokój w tych pogańskich krajach! — Jużśmy wszystko byli sprawili, a ujechawszy kilka mil od miasta rozłożyliśmy się na noc w karawanserze — jak oni tam zowią; załedwieśmy skleili powieki, aż tu napadają na nas zbójce; było ich daleko więcej niż nas, chcieli koniecznie i koni i ludzi pojmać, do bliskiego lasu gwałtem nas ciągnęli; ale im się nie powiodło, sami uciekać musieli z duszą; i to nie wszyscy zdążyli, bo trzech trupów wzięli z sobą.

— Nie ranny przecież pan brat? — spytała troskliwie Kochanowska.

— Byli ranni i ciężko w głowę; sroga śmierć mu w oczy zaglądała; te łotry bisurmany szczególnie na niego zażarci byli; nie wiem czy przez zazdrość jaką czy co; gdyż trzeba wiedzieć, że w Carogrodzie Turcy bardzo się dziwowali jego osobliwej urodzie, i jak dzielnie z koniem umie. Udało się jednak przy Boskiej pomocy i śmierć i łotry odgonić. Teraz panisko Bogu dzięka, rześcy, zdrowi, piękni, jakby nigdy nic, zdaje się

co odmłodnieli; szramę przez głowę już włosy zaczynają pokrywać.

— Toście wy byli w tej potrzebie z panem podkoniuszym? — spytała Ewa, której dziwnie się spodobała otwarta postać i śmiała mowa posłańca. — Może i ta rana ztamtąd?

— Nie inaczej — odrzekł kozak z uśmiechem; i chciał mówić więcej, lecz spotkawszy czarne oczy młodej dziewczyny, które uprzejmie na niego patrzyły, zamilkł nagle jak gdyby oniemiał.

— Ach Jakób! Jakób! — wymówił Kochanowski odpowiadając myślom swoim — do bitwy jak głodny do obiadu; a kędy się obróci, wszędy boje i niebezpieczeństwa tuż za nim. Zawsze kord w robocie.

— O i będzie jeszcze da to Pan Bóg, i nie raz — odezwał się kozak, któremu mowa wróciła. — Nie za dzisiejszego króla miecz w pochwie doleży. Jeszcze my się pomścić musimy na tych pohańcach, i za tę naszą krzywdę i za dawne Rzeczypospolitej.

— Dochodziłże przecie pan Jakób tej napaści? by-
łaż to jaka zasadzka? — spytał Kochanowski.

— Dopominaliśmy się sprawiedliwości w urzędzie, i nie mało czasu na tem się zmitrężyło; ale kto z bisurmanem ładu dojdzie? przysięgali na swego proroka, że to zbójców, łotrów leśnych sprawa, przeciw ich woli i wiedzy, i że skoro którego schwytają, dostawią go nam tu, żebyśmy mu sami głowę z karku zdjęli...

— Gdyby broń wielki Boże nieszczęście było się stało — zawołał tu boleśnie Kochanowski — coby ty-
siące ich głów pomogły!... — A chcąc rozpedzić ściśnienie serca, które go zdjęło na tę myśl samą, przerwał rozmowę i powiedział kozakowi: — wszak już nie odje-

dziesz, bratku, i zanocujesz w Czarnolesie; my dziś nie wieszamy dla piątku, ale tobie z drogi posilić się godzi. Ewo, każ, niech dadzą w stajni koniowi miejsce i obrok, a człeku w kuchni łyżkę strawy, dzban piwa i świeżej słomy na posłanie.

— Byle koń był pod dachem, ja i na gołej ziemi pod niebem się prześpię: to łożo i namiot żołnierza — odparł posłaniec.

— Kochanowski już nie dosłyszał tych słów. Mnogie uczucia objęły tkliwą duszę jego; była jeszcze chwila żalu, trwogi, bo on rzecz każdą, co serca dotykała, zwykł był brać żywo, i głęboko; ale niebawem radość, wdzięczność, wszystkie inne wrażenia przemogła. — Jakaż słodką pociechę uprosiłaś mi u wielkiego Boga, matko kochana — zawołał wznosząc oczy i ręce w górę. — Przyjaciel uszedł zdrowo niebezpieczeństwa i obaczę go jutro! W grobie jak za żywota czuwasz ty nad synem twoim; przez modlitwy, przez cnoty twoje Pan Bóg wygładzić raczył z pamięci swojej naganne młodości mojej postępkę, i błogosławi mi nad zasługi! — To powiedziawszy siadł i zadumał się jeszcze głębiej niż pierwej; nie postrzegł, że powietrze ochłodziło, że sam został; nie zobaczył nawet Orszulki, co siadła na ławce koło niego, i usnęła oparta o jego ramię. — Pani Hanna również szczęśliwa, ale na tę chwilę więcej czynna od męża poszła do domu, i układała sobie gdzie łóżko brata stawiać będzie, jaką mu da pościel, przypominała, co on rad jada, chcąc same takie potrawy kłaść przed nim przez czas, co w Czarnolesie gościć będzie; przemyśliwała, coby za przysmaki dziś jeszcze kucharzowi nakazać, żeby mimo sobotniego postu uraczyć jutro ukochanego wędrowca. — Ewa zaś ruszyła dopełnić rozkazu

ojca; ale już ani pobiegła pędem strzały jak pierwej, ani nawet poszła sama. Słówkiem prośby wyciągnęła siostrę z pod chróścianego ciennika, wzięła ją pod rękę i poszły oba zwolna.

Kozak poszedł tuż za niemi, oczy mając w dół spuszczone; zdawało się, jak gdyby się wpatrywał w ślad stóp dziewczęcych odznaczających się z lekka na piasku, którym była wysypana ulica; ale dostrzedz ich trudno było, bo zmrok zapadał.

ROZDZIAŁ II.

Jest kto na ziemi coby żył prawdziwie
W bojaźni Pańskiej? taki niewątpliwie
Ma wodzem Pana, który go sprawuje
Temi drogami, co je sam lubuje.
Tam troski miejsca niewdzięczne nie mają,
Ale rozkosze słodkie przebywają;
Tam dziątek mnóstwo, podpora starości,
I pewny dziedzic pięknych osiadłości.

— Psalm XXV.

— To widać jakieś pocziwe paniska — mówił prowadząc rozmowę z Czarnoleską czeladzią przybyły kozak, siedząc na ławie pod oknem w izbie kuchennej, i dojadając ogromnej misy klusek z olejem — u was, dalipan, lepiej ludziom niżeli w naszym Podolu, chociaż tam znowu — bez waszej obrazy — gdzie piękniej i weselej; Tatarzyn tu podobno od Kazimierza Wielkiego nie plądrował; co u nas, dopiero dzisiejszego króla się uląkł, i to jeszcze czasami szczęścia próbuje; a co gorsze, bo częstsze, nahaj w bardzo gęstej robocie.

— Jużcić i u nas batóg za pasem u włodarza i mole

go nie jedzą — odpowiedział kuchcik zsiadły i tłusty Pirożkiem przewzany, poprawiając ogień w piecu — kto co zbroi, rozciągają go na pieńku i okładają nie żałując; sołtys kmieciom nie szczędzi także cięgow, jeżeli który przewini; ale co samo panisko rzadko kiedy biorą się do kija; pogrożą, zmarszczą czoło, najeżą czupryny, pokręcą wąsa i koniec; z włościanami a z czeladzią oni jakby z dziatwą.

— Wieleż tam jest tej dziatwy? — zagadnął kozak. — Bieliło mi się i mieniło dziewcząt kieby motylów na łące, skorom przyjechał; chłopakam żadnego nie widział.

— Bo go też i niema; — powiedziała z westchnieniem sędziwa już niewiasta stawiając na blizkiej kłodzie szafel czystej wody, w której płókała cienką bieliznę — już to takie moje szczęście. Miałam swojego chłopaka i umarł mi; wzięli mnie do dwora, do Studzienicy, bo ja Podolanka na usługi wasze, i spodziewam się być tam raz jeszcze przed śmiercią — wzięli mnie tedy kiedy już pan Jakób gonił Tatarów. a nieboszczka pani Podlodowska — co to jej na taki smutny koniec przyszło — była przy nadziei. Powiła wnet dziewczynę, naszą Czarnoleską panią; jam ją wypielęgnowała, i mogę powiedzieć, hez próżnej chwalby, winna mi życie, ni mniej ni więcej, jak pani matce i panu ojcu. Możecie o mnie słyszeli? jam Nastka Petrówna, wdowa po Ostafim Hołowatym, nie powstydzę się mego imienia; i młynarza i księdza mam w rodzie, a co także nie mała rzecz, jam to Haulkę przed Tatarami ukryła! O! już nigdy mnie od siebie paniątko puścić nie chciało: — Będiesz piastować moje dzieci, jak mi je Pan Bóg da — mówiła pieszczotliwie i głaskała mnie po twarzy; jużćić musiałam zo-

stać, swojej krainy i krewniaków zaniechać! no! i proszę, i same dziewczęta sypią się nam kieby z zarekawą. Sześć ich tego mamy Panu Bogu i Matce Najświętszej na cześć i na chwałę; ale dotąd tylko jednej za mąż się godzi, i będzie go miała, skoro zechce, Ona nie osiądzie na koszu — nie — rutki siać nie będzie.

— Jak to? mówicie jedna — zapytał kozak — przecież dwie panny dorosłe i urodziwe mnie tu przyprowadziły?

— Jedna Bogu poślubiona — odezwał się sam kucharz, blady i wywiędły Zubek, wbijając żółtka do ciasta, które wyrabiał w donicy. — Ledwie się urodziła kiedy nasza pani zachorowała śmiertelnie, i pan ofiarował ją Bogu i Matce Najświętszej za życie i zdrowie żony. Rychło patrzyć, kiedy ją do klasztoru odwiozą; męskiemu oku spojrzeć na nią wara.

— A któraż to ze dwóch? — przebąknął kozak, folgując pasa, jakby go nagle uścisnął boleśnie.

— Poznać ci ją snadno — powiedziała stara piastunka — już na świętą patrzy; oczka spuszczone, twarzyczka szczupła, kieby Jezusek, palce splecione, zawsze do pacierza gotowe, suknia długa, płonista czarna...

Tu kozak odetchnął i uśmiechnął się mile.

— Jużćie nie dla czarnobrewej habit i welon — mówiła dalej Nastka rada, ze napotkała ucho powolne gadaniu swemn; bo chociaż wielce była ważona w domu, i poruczone sobie miewała pańskie dzieci do lat trzech w szczególną opiekę, przecież, już w całym Czarnolesie, tak we wsi jak we dworze nikt słuchać nie chciał — naszej Ewulce świat się uśmiecha i ona światu. Nie darmo ja w lubistku ją kąpałam co dnia od samego urodzenia; okrutne ma szczęście do ludzi dziewczeczka

Zabaczą, jak się jutro oblecze do pana Jakóba w tę oto bieliznę — a tak mówiąc rozciągała wyjętą szatę — jak włoży na to swój modry kontusik, kwiateczków nakładzie w czarne włosy, nowe półbótki obuje, kieby łąteczka wyglądać będzie. Jeżeli ją pan Franciszek zobaczy, wiem co się stanie.

— Co za pan Franciszek? — przerwał żywo kozak.

— Synowiec naszego pana, dziedzic trzech wiosek i Policzny gdzie jest nasz kościół parafialny, o pół mili drogi ztąd, syn jedyny ś. p. pana pisarza Kaspra, najstarszego z Kochanowskich, co go nasz pan i cały powiat miał za ojca; najbogatszy młodzieniec w tych tu stronach, do którego najurodziwsze dziewczki zębki wystrzyżają. i złapać by go rade.

— I cóż ten pan Franciszek ma do waszej panny? — naglił dalej przybysz.

— A no poczekajcie, dyć wam powiem; to kozacka krew, to istna siarka, wszystko prędko nagle, wtojczas. Otóż pan Franciszek zna naszą Kłulkę od pieluch; on od dawna ojca nie ma; matczyisko zbiedzone, schorowane, pragnie jak zbawienia widzieć go żonatym; nasze państwo uważa go za syna, ile nie mając dotąd swego. Choć tam Bóg jeden wie, co teraz w drodze: nasza pani prześlicznie wygląda, wszak prawda? Ja zawsze jej mówię: tym razem będzie chłopiec; i stręczę jej różne zioła i maści; mamy też i czarownicę we wsi, czarną Świtkę; nie z tych złych broń Boże, a bardzo mądra i wielomózna niewiasta; ona zawsze szepcze: Gdyby jedno wasza pani słuchać mnie chciała, wnet bym to pokurała, żebyście mieli dziedzica, ale gdzie tam, ani jej gadaj o tych rzeczach; na wolą Bożą puszcza to zupełnie; któż temu będzie krzyw, jeśli nam siódmą powije dziewczynę?

a wtedy źle się stanie; Świtka mówiła mi wczora — czegom jeszcze jako żywa nie słyszała — kiedy białogłowa siedm ma dziewcząt jedna po drugiej, już nigdy chłopca nie urodzi.

— Mniejsza o to — ale pan Franciszek — wyrzekł zniecierpliwiony kozak.

— Otóż pan Franciszek był sobie z Ewulką od dzieciństwa jak brat z siostrą; trzy lata między niemi różnicy; nie wiem czy tam rodzice ułożyli co między sobą dla nich czy nie, ale to wiem, mnie to samej nigdy na myśl nie przyszło, ahoć mam ja zdawna nos do tych rzeczy. Aliści jakoś w mięsopusty, była zabawa u podstarościego w Policzny — bo tam lud dworski zepsuty robi co jedno chce — zaprosili i mnie, a Jagienka, piastunka pana Franciszka — co do dzisiejszego dnia cesałaby go i myła, gdyby jedno się dał — powiedziała mi pod wielkim sekretem, że panicz ogniście rozkochany w naszej panience. Jam wierzyć nie chciała z razu; ale prawda. od tego czasu wyraźnie się zaleca, prawie co dnia tu przyjeżdża; bądź rano, bądź w południe; bądź w wieczór musi być choć na chwilę; ta jego klacz bułana, już by tu z zawiązanemi oczyma trafiła; a zawsze musi Ewulce coś do zjadku przywieść...

— A ona co na te zalecanki? — przerwał kozak z widoczną niespokojnością.

— Ona — zwyczajnie jak młode; śmieje się i żartuje; jeśli co smacznego przywiezie, to zje; a skoro usta obetrze — zapomni; Bóg święty tam zna, czy go kocha, czy nie. Nie trudnoć przecie zgadnąć, co z tego będzie? Weselisko. — Nasze dziewczątka wielkiego wiana mieć nie będą; trzeba im mężów znsobnych; a pan Franciszek znowu musi wziąć żonę z głową; bo należy wam wie-

dzieć bratku — i tu stłumiła trochę głosu — taki to panicz jak się za dzisiejszych czasów nie raz trafia między szlachtą, ale u Kochanowskich to nowina, gdyż u nich każdy już jakby mądry się rodzi; on zaś ni książki, ni rusznicy; ni żadnej nauki ani roboty; duszy to jedno miło, co ciału smakuje; cały dzieńby jadł, pił, weselił się, a potem drzemałby na ławie, nogi na piec założywszy. O Bożym świecie nie wie, w pole do gospodarstwa ani go napędzić, do jednej piwnicy co czasem zajrzy. Gdyby broń Boże, pani Kacprowa zmarła, albo wstąpiła do klasztoru — jak od dawna zamysła — majątek poszedłby z dymem; lepiej coby tych dostatków nasza Ewulka zażyła, a warta ich. — U naszego pana niczem wszystkie dziewczęta przy Orszulce, ale co u pani..

— Któraż to Orszulka? — przerwał kozak.

— Najmłodsza: cudowne dziecię nad wiek swój, bo to niedawno wywiązane z pieluch, i niedopiastowane jeszcze. Patrząc na nią sądzićby można, co ledwie gadać umie, a ona wymową swoją i rozumem nie raz starego zawstydzi; piosnki sobie już tworzy i śpiewa je sobie, aż człowieka strach często bierze, żeby nam jej kto nie urzekł; ja tam mierzę i odżegnuywam dziewczkę co wieczór kiedy ją do kołyski kładę, bo czort nie spi. Nasz pan za dziesięciu synów by jej nie oddał; ale co u naszej pani, to i panna Ewa nie mało znaczy; prawa ręka, drogie oczko matuni; będzie rada patrzeć na nią całe życie. Ale bo też się i udała naszemu państwu dziewczka? — mówiła dalej Nastka, widząc, że gość zadumał się czy zasłuchał. — I urodzie panny Ludwiny trudno co przyganić; owszem w całym sąsiedztwie żadna się do niej nie umywała. Już wyższa od siostry, białe

to jak mleko, gdyby z jedwabiu cała i z aksamitu, taka gładka i miłuchna; do ranyby ją przyłożyć; chodzenie jej ciche, mowa łagodna i rozmyślna; od samej kolebki pacierza pilnuje, dziecinnych zabaw i igrania się strzeże, nigdy w głos się nie rozśmieję, przy starszych mileczy; pletliwe baśni i rozmowy płonne mimo jej uszu przechodzą; cała w postach, w dobrych uczynkach, nie wiem czem żyje, chyba modlitwą. Takiej pokory nikt nie widział, ona niczego nie godna, wszystko dla niej za dobre; gdyby jej przyszło chleb swój zarabiać na najprostszycich usługach, byłaby najszczęśliwsza; a że Bogu dzięki zdrowa jak rybka, kiedy ją kto chwali zawsze powtarza: — Ja wody nosić nie warta za moją patronką. — Ale tamta chorując całe życie — jak mi nasza pani opowiadała — nie mogła żadnem prawem tyle robić dobrego. Bez naszej panny Ludwiny nikt ani we dworze ani na wsi oddać ducha nie umie: ona własną ręką umarłym oczy zamyka; jak nad łóżkiem konającego usiądzie i z książki czytać zacznie słodziusieńko, aniołowie zda się zstępują do izby, a czort zmyka gdyby oparzony. Będzie ona świętą, będzie; ona bez żadnej zmayı jak dziecię niewinne. Wyśni się pani matce; jeszcze z nią chodziła, kiedy widziała przez sen, iż powiła śliczną córeczkę, którą białe panny w niebo niosły; dlatego też ledwie się urodziła, kiedy przyszło na myśl naszemu panu przeznaczyć ją do klasztoru, i dał jej imię owej świętej, której ciało oglądał gdzieś w dalekich niemieckich krajach. I prawdę rzekłszy, ona już dziś jakby święta; choć w czerni chodzi, jakaś łuna od niej bije; człek grzeszny niema nawet do niej śmiałości. Oto Banaszek, stróż dworski, co drzewa rąbie na podwórzu, jak ją spotka żegna się kieby w kościół wchodził; w całej wsi kiedy kto

kraju jej szaty się dotknie a pocałuje, myśli, że odpustu dostąpił; a czarna Świtka ucieka przed nią jak zmyta. — Co do naszej Ewulki, do tej każdy garnie się śmiało; pełno jej wszędzie; od rana po całym domu ją słysząc; piosnki ciągle w ustach; to na tego się zaczai i nastraszy, to jużci na drugim końcu dwora dziewczkę którą wykręci, połechce; dziwno mi co jeszcze tego wieczora do kuchni nie wpadła, kureczątka tu ma za przegrodą, sama je choduje; gotowa wstać jak kur pierwszy raz zapieje, żeby raz na raz jeść miały; bo choć do zabawy pierwsza, do roboty nie ostatnia; jej krówki zawsze najlepiej dojrzone, grządki w ogrodzie czysto wypielone, podlane; krzak rozmarynu co go sobie na ślubny wianeczek pielęgnuje, rośnie jak na drożdżach; w wieczory zimowe żadna prządka tutejsza, ba! ja sama jej nie nadążę: co jedno zobaczy, wszystko igiełką misternie wyrobi; a jakie ciasta piec umie! niech się i nasz pan Zubek schowa — dodała po cichu spoglądając z ukosa na kucharza. — To wszystko zaś jeszcze nic: królewskie serce u tego paniątka; duszęby oddała każdemu. Wszyscy we dworze, we wsi, przepadają za panną Ewą. Czy kto się rozniemoże, czy mu krzywda jaka, czy co przewinił, zawsze do niej i przez nią. O! teraz, widzicie ją tam za wrotami? — Kozak spojrział ciekawie przez okno i dostrzegł Ewę i Ludwinę; w białych zawijkach, przy zmroku wieczornym, zdały mu się obie jak owi aniołowie, co niegdyś w gościnę przyszli do Piasta. — Wraca ze wsi — powiedziała jeszcze Nastka — widzę dziś siostrę z sobą wzięła, lubo dzięki Bogu, nie mamy nikogo na śmiertelnej pościeli; w tej oto trzeciej chacie po lewej, Papisowej dziewczyna ciężko zapadła; ale jej nic nie będzie; po kilka razy na dzień dobiega z lekarstwami pańskimi;

bo nasza pani zawołana lekarka; pewno była i u staro-
rego Kosika i poniosła mu co z obiadu; były gotowane
śliwki i gruszki, dobre jadło dla dziada bez zębów. Ona
wszystko rozda co jedno ma. Myślicie, bratku, zjadła
sama dar dzisiejszy pana Franciszka? całą bułkę oddała
pielgrzymowi co u nas w stodole nocuje; a z owych ba-
kalij coście przywieźli, ledwie parę rodzenków zakoszto-
wała; wszystkim się dostało, i ja mam moją część —
a tu wyjęła z zanadrza parę daktyli i fig w szmatce. —
I ja ich takż nie zjadłam; schowałam dla mego chrze-
stnego Gryklikowej chłopaka; tęgi chłopak — nie uro-
czkiem — ślini się nieboże na zęby a szuka, szuka,
wszystkoby jedno gryzł...

— Ależ blizkie pokrewieństwo? — zapytał kozak,
którego widać nie wiele obchodziły dzieci chrzestne sę-
dziwej piastunki.

— Pokrewieństwo! — powtórzyła niechętnie — pra-
wda; pan Franciszek i nasza Ewulka idą od dwóch ro-
dzonych braci, są sobie bratanki: powiadając ludzie, ta-
kim stadłom małe dzieci mrą i należy mieć pozwolenie
od kościoła; ale księża na to poradzą, jeszcze dla na-
szego pana, co wszystko może co jedno zechce. Wy nie
wiecie — nasz pan był w Rzymie, z papieżem gadał.
A jacy to panowie, senatorowie, kapłani, zajeżdżają do
naszego Czarnolasu, ba! nasz sam mógł być kasztela-
nem albo biskupem, jedno chciał. Posiedź no tu bratku
z jaki miesiąc, a napatrzysz się i nasłuchasz. To czasem
zjazdy jak na odpust, a goście sznurem ciągną, kieby
w cudowne miejsce; a Pan Bóg widzi, nie na żadne
osobliwe biesiady i pijatyki się zjeżdżają; majątek szla-
checki nie po temu; a nasze państwo rządne; o mało co
nie skąpe; jedno tak przez wielki szacunek. Bo może

i tego nie wiecie, co nasz pan księgi pisze, a to jeszcze wierszem, po polsku, po łacinie. Jak świat i długi i szeroki tak go znają wszędy, w zamorskich nawet krajach; jego pieśni pobożne śpiewają ludzie Panu Bogu po kościołach; i choć tu zajeżdżają mężowie mądrzy, nauczeni, przecież naszego pana za mędrszego jeszcze od siebie mają, i swoim ojcem, swoim ksiązęciem go zowią. Ja tam się temu zawsze dziwuję; prawda, mnieć to co innego! blisko od dwudziestu lat, dzień w dzień, twarzą w twarz na niego patrzę, i mam u niego łaski nie przyprawiając; taki mi się wydaje szlachcic jak i każdy drugi: rozmówi się z każdym, rozśmiej z lada czego, zna się na najmniejszej rzeczy, i najlepszy gospodarz w okolicy. Na nasz Czarnolas wszyscy jak w tęczę patrzą z Policzny, z Grodka, z Sycyny, nawet z Jasieńca, z Janowca, ludzie pytają: — A sieją tam już w Czarnolesie? a wypędzają bydło w pole? a cielęta czy odsadzone od krów? a co tam pan Czarnoleski o urodzajach trzyma? — I ookolwiek w całym powiecie, ba! w całym województwie się stanie, zaraz do niego jak w dym... Dla Boga świętego; — zawołała tu porywając się za głowę — otóż i dzwonią...

— Co to znaczy? — zapytał kozak słysząc odgłos jakby kaplicznego dzwonu — cerkwim nie widział blisko.

— To nasza święta panna zwołuje na pacierze wieczorne; raz jeszcze tak zadzwoni. O! bo to już nie wszędzie, tak jak u nas. Nasz pan nauczony a bogobojny, co rano i co wieczór na głos z dziatwą i z czeladką się modli, do chwały Bożej dom swój przyprawując. Ot widzisz, bratku, dzwonek lepszy od miotły, żywego ducha w kuchni niema, jakby wymiółł. I ja idę. Zaraz, zaraz, dla Boga — dodała słysząc powtórzony odgłos dzwonka —

jedno to gieźlęczko dla Orszulki wyjmę; człowiek przy robocie rzadko przez dzień ma czas wspomnieć o Panu Bogu, dobrze choć w wieczór i rano pokłon mu oddać. I rzecz to bardzo skuteczna, owa wspólna modlitwa; w okolicy okrutnie czort panuje; to dziecko wykrzywi, to krowom mleko urzeknie, to baby niemieją; bij, zabij, nie dogadasz się ani słowa, jakby usta zaszył; u nas przecie nigdy podobne nieszczęście się nie trafiło, choć jest we wsi czarownica. Modlitwy niewinnych dzieciek najlepiej złe odganiają.

— A mnieliby tam pójść wolno? — zagadnął kozak.

— I owszem. Państwo radzi temu będą jak was zobaczą; a co takiej Matki Boskiej jak nasza, niema nigdzie chyba w jednej Jasnogórze, bo też to skapany onego cudownego obrazu konterfekt. Możecie wy Grecy? za moich czasów, bywało, co kozak, to Grek.

— Nie — odrzekł z żywością młodzieniec — Panu Bogu i Matce Najświętszej na chwałę, prawowiernym katolik, i odszczepić mnie nikt od rzymskiego Kościoła nie potrafi, prędzej głowę od karku.

— Walnys — powiedziała Nastka — idźże ze mną bracie. Obaczysz oraz izbę pańską; jest druga daleko śliczniejsza od wielkiego dzwonu, od gości — ta zwyczajnie codzienna.

W izbie obszernej o trzech oknach, z długim stołem dębowym w środku, na którego jednym rogu, białym obrusem nakrytym, leżał dzień i noc bochenek chleba z solą dla gościa — w izbie zastawionej ławami, szafami wokoło i rozmaitym sprzętem po kątach, przed wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej jarzącym światłem oświeconej, klęczeli obydwójce Kochanowscy, obok nich, po trzy z każdej strony, koleją starszeń-

stwa, sześć ich dziewcząt: wszyscy razem, i rodzice i dzieci ze złożonemi rękoma, z oczyma wlepionemi w twarz Matki miłosierdzia, służyć mogli za wzór jakiemu Dürerowi, do jego prostych, ale wymownych obrazów. Za nimi byli dworscy i czeladź obojej płci różnego wieku i stopnia, przybrani jak kogo dzwonek zastał, kłęzący gdzie kto przypadł: to pod piecem, to przy ławie, to za stołem, to koło komina; włodarz i bakałarz, ten z batem za pasem, tamten z piórem za uchem; szafarz i piwniczny trzose kluczy mieli oba przy sobie, jeden trzymał jeszcze nóż stłuszczony w rękę, a drugi mokry lejek na palcu; kucharz i kucheiki, ów ubielony mąką, tamci zeczernieni sądzą i węglem; pomywaczka ze ścierką, pokojowe to z zawijką, to z duchenką; pacholki i pacholeta z miotełkami, ze szczotkami; woźnica i parobki z zgrzebłem pod ramieniem, z barłogiem w czuprynach; stróże z siekierami, dziewczki z trawą w płachtach, a znajoma nam gadulka Nastka z zanydloną chustką przed sobą. — Zwolna milczenie ogarnęło izbę i Kochanowski zaczął. Naprzód, zrobił znak krzyża świętego na czole, piersiach i ramionach, a wraz z nim cała obecna drużyna; potem odmówił na głos modlitwę pańską, pozdrowienie anielskie, skład apostolski; akty wiary, nadziei, miłości; wyliczył przykazania Boskie i kościelne, siedm sakramentów; siedm grzechów śmiertelnych i wszystkie miłosierne uczynki; dalej, zaśpiewał litaniją do Matki Boskiej, a głosy grube i piskliwe męskiej i żeńskiej czeladzi, i głosy pieszczone i dźwięczne żony i córek w jeden głos złączone, odpowiadały mu w miarę jakby dzwon mówiący: — Módl się za nami! módl się za nami! — Po skończonej litanii w osobnej i krótkiej modlitwie polecił miłosiernemu Bogu całą Rzeczpospolitą, króla,

królowę, Kościół prawowierny, wszystkie stany, rycerski, duchowny, miejski i kmiecy, krewnych swoich, dobroczyńców, przyjaciela, braci, starego stryja, a nareszcie duszę nieboszczyka króla, rodziców, krewnych, a mianowicie duszę matki, brata Kaspra, i księdza Macieja. Te trzy imiona wymówiwszy umilkł; wtedy pobożna Ludwina zanóciła słodko psalm ojca przekładu: »Kto się w opiekę poda Panu swemu« a wtórowali jej wszyscy, gdyż już upowszechnioną była między ludem muzyka starego Gomółki, do której zastósował Kochanowski swoje psalmy.

Po tej pieśni wszyscy uderzywszy się w piersi powstali, wszyscy prócz kozaka, który w kącie przy drzwiach był ukląkł. Kochanowski idąc do sypialnej komnaty spostrzegł go modlącego się gorliwie. Zdawało się jakby ślub jakiś potajemnie czynił, bo złożył na krzyż skazujące palce u obudwóch rąk, wlepił oczy w święty obraz, i coś mówił pocichu z głębokiem uczuciem. — Dobrze bratku — rzekł Jan głaszcząc go po głowie — widać z jakiej jesteś szkoły; jaki pan, taki kram; i mój Jakób bić i modlić się umie. — Zerwał się kozak, skłonił się do samych nóg i wyszedł.

ROZDZIAŁ III.

Ale gdy co komu miło
Trudno wytrwać i czas mały —
Godzina tam jak wiek cały.

— Ks. II, pieśń VIII.

Radość podobno snadniej od smutku sen z powiek oddala, może dlatego, że człowiek — choćby też do liczby

najszcześniejszych należał — mniej jest z nią oswojony. — Lubo to u nas w kwietniu noc przespać nie sztuka, i słońce już nie leniwe, przecie Kochanowski wyprzedził słońce; rad był zacząć co prędzej ów dzień pomyślny, który go miał złączyć z przyjacielem po kilku leciech niewidzenia się. Wstał więc z jutrzenką; już nie czekał żeby mała Orszulka — jak było jej zwyczajem — ruszyła się ze swego posłania i przyszła do niego w koszulce po paciorek ranny; wstał sam, podsunął co prędzej głowę i kark pod zimną wodę, która szła zawsze w izbie pod oknem za odwiedzeniem kurka w wielką miedzianą miednicę, obmył żwawo czuprynę, twarz, szyję i ręce, owinał stopy białymi onuczkami, wciągnął długie skórnie, przywdział kożuch, przytrzymał go rzemiennym pasem, czapkę włożył i poszedł prosto do stajni nagadać się z kozakiem, wypytać się jeszcze lepiej o ową zbójceką napaść, o tę ciężką ranę w głowę, dowiedzieć się dokładniej gdzie pana zostawił, którą drogą zjedzie o jakiej godzinie? i wreszcie zanieść mu parę groszy powinnego. — Zdziwił się nie mało nie zastawszy w stajni, ani konia, ani jeźdźca: a kiedy czeladzi się pytał, żaden nie mu powiedzieć nie umiał.

To ranny ptaszek — pomyślał sobie — uleciał jak ptaszek. Zaprawdę, człowiek sam nie wie jak o tem wszystkim sądzić. Czy to sen jaki? czy urok? czyby psota czyja! Ależby się to nie godziło, żarty i krotofile z sercem niemiłosierne i nieprzyzwoite. — I powtórzył swoje zdziwienie i domysły żonie i dwom starszym córkom, co także już wstały, a odziawszy się na prędcę wybiegły przed ganek: patrzeć jaką Pan Bóg dał pogodę na ten dzień radosny!

— Bo już ja mówiłam jeszcze wczora matce —

powiedziała Ewa — jakiś to dziwny ten kozak. Zrazu podobał mi się, takiego dorodnego i mownego młodzieńca w barwie jaszczem nie widziała; ale jak na mnie raz jeden spojrział, coś mnie wskrós przejęło i bałam go się cały wieczór gdyby złego.

— Zły człowiek, albo w znowie ze złem, nie modliłby się tak jak on, i nie śmiałby wpatrywać się w święty nasz obraz — odezwała się ujmującym głosem Ludwina.

— Słuszna uwaga — rzekła Kochanowska — a druga rzecz, dostrzegłam w nim wielkie przywiązanie do pana brata, z czego takóž dobrze o nim trzymam. I zapewneć, z przywiązania nie z czego innego, zerwał się chłopczyśko z pościeli jeszcze pierwej od nas. Chciał pana swego spotkać z pomyślną wieścią o zdrowiu naszym.

Uspokoili Kochanowskiego te słowa: przecieź już przez poranek cały, nie szły mu jak zwyczajnie jego zatrudnienia i prace.

Wprawdzie odmówiwszy pacierze z dziatwą i z czeladzią, spożywszy czarę piwnej polewki, dosiadł był swego siwosza; pojechał jak codzien w pole, gdzie właśnie dosiewano owsa i jęczmienia; postął trochę nad rolę, którą przekładali na len i na kapustę, ale wnet wrócił pędem do domu jakby w obawie, żeby tam Podlodowski nie przyjechał w jego nieobecności. — W stodołach młócili proso do siewu; zwyczajnie ostro przestrzegał, żeby dobrze plewę z ziarna obijali; lecz dziś na nic nie uważał, nikogo nie strofował; pasterz przyszedł do niego i powiedział: — Miłościwy panie, dobrzeby choć ze troje starszych cielątek od macierzy poodsadzać, byłoby więcej mleka. — Jutro, jutro — odrzekł — dziś dajcie temu pokój, dziś, nikomu i niczemu nie robić przykrości. — Kiedy wracał ku domowi, szanowny pan

Łukasz Gupolski, bakałarz, w czarnej rewerendzie, z kałamarzem u pasa, zaszedł mu drogę: — Paniątka uczyć się dziś nie będą: sama Jej Miłość mi to oznajmiła; mam czas wolny, mógłbym dokończyć oprawy dokumentów do relacji z ostatniego sejmku, ale nie ułożone jak należy. Może Wasza Miłość oświecić mnie racysz. — Idźcie dziś z wędką na ryby, panie Łukaszu — odpowiedział — albo ułówcie słowików i skowronków do rychłego śpiewania, jak to umiecie; a najlepiej róbcie co się wam spodoba; ja głowy nie mam, przyjaciela wyglądam. — W szkółce nad sadzawką zostało jeszcze kilka zimowych jabłoni do przesadzenia; mała winnica, która była na wzgórzu od południa, potrzebowała obrzeżania gałązek, obwiązania macic; Franek ogrodniczek czekał na rozkazy pana; lecz i to mu nie szło: — Zostawmy do jutra — powiedział — on mi pomoże. — Poszedł pod swoją ulubioną lipę. Stała ona odosobniona o kilkaset kroków od domu ku wschodowi, już dziad jego siadał pod jej cieniem, a on nie raz pacholęciami będąc, krył się w jej gałęziach, i tak całe przesypiał nocę, budząc się dopiero z ptaszkami. Teraz, osobliwie też w późniejszej porze, kiedy gęstym liściem się odziała, albo pachnącym kwiatem się nastrzępiła, miał ją za muz świątynię; tam lutnia jego brzmiała najwdzięczniej, tam najswobodniej oddychał; ztamtąd także używał najpiękniejszego widoku, na jaki niewydatny Czarnolas mógł się zdobyć: ztamtąd było widać staw zwierciadlany i dosyć rozległy, młyn Dzbukiem zwany i cienisty lasek jaworowy ręką rodziców jego sadzony, przez który strumyk przebiegał. Ale dziś nie mógł i pod lipą dosiedzieć; jakiś dreszcz go przechodził, chociaż dzień był wcale ciepły i słońce miło dogrzewało. — Zwrócił się ku dwo-

rowi; nie było gdzie się podzielić, z kim pomówić: wszędzie nieład, wielkie uprzątanie; żona, córki, czeladź zajęte. Tu jedna dziewczka w ganku omiata z pajęczyny wyrzynane słupki, które daszek wspierają; tu druga w sieni okurza sterczące rogi łosie, jelenie i sarnie, zdejmując wiszące na nich opończe, kożuchy, czapki, trzepie skóry niedźwiedzie i wilcze przed progiem leżące. Tu Ewa z Dorotą i z Marychną ustawia ławy, stoły, stołki, kołowrotki, krosna, ściiera pułki, szafy, w izbie już nam znanej; największej z całego domu, ale za to najwięcej uczęszczanej i najwięcej potrzebującej porządku, bo w tej izbie rano i w wieczór zebranie na wspólną modlitwę, trzy razy zastawiano jedzenie; w niej roboty samej pani i starszych córek, narady i rozmowy gospodarskie pana z włodarzem i sołtysem, zwłaszcza kiedy słota albo zimno w ganku siedzieć nie dozwala; w niej przy ogromnym kominie, w długie wieczory pogadanka i przedzenie na wyścigi; w niej poufalszych gości przyjęcie, małych dziewczątek gry; zabawy, tańce, i dwóch ulubionych psów domowych Brysia i Obala wieczne pod kafłowym piecem legowisko. — Po drugiej stronie sieni Kochanowska z Ludwinią i Nastką również są zajęte. Tam jest także obszerna izba salą zwaną, a w niej kram dobrany, ławy z poręczami, stołki jaworowe skórą obite, stoły osłonięte kobiercami tkanymi w Carogrodzie, szafy z czarnego dębu jasnym drzewem w wzorki wykładane; tam w oknie szachownica na czterech nogach i na niej olbrzymie szachy z hebanu i z kości słoniowej, ustawione do boju, jak gdyby na ówczesowych szachowych rycerzy na *Fiedora* i na *Borzuja* czekały; tam na pułkach stoi parę skrzynek z perłowej macicy, kilka puharów srebrnych i czar szacownych, tam są

i farfury rzadkie i konchy osobliwe. Na ścianach wisi broń kosztowna, wizerunki familijne, a nad kominem Zygmunta Augusta obraz w hiszpańskim ubiorze, jak na codzień zwykł był się nosić. Do tej izby dzieciom ani czeladzi wchodzić samym nie wolno; klucz od niej wisi zawsze na kołku w sieni, i tylko czasami Kochanowska z jedną ze starszych córek, albo z zaufaną Nastką pył szanowny zmiata i sprzęt każdy stawia na miejscu, na którym już blisko od lat dwudziestu stoi. — Nawet i z dwiema najmłodszymi dziewczątkami, z miłuchną Hanną i z ukochaną Orszulką nie może mieć zabawy Kochanowski: i one pracują. Leży przed gankiem stos świeżo wyciętego ze stawu tataraku; obie dziewczynki z polecenia matki napełniają zieleń swoje sukienki, a przytrzymując je jedną rączką, drugą rozrzucają długie i aromatyczne liście po sieni i po izbach, rzekłbyś dwoje aniołków z chóru, tych, co otaczają Niepokalaną Dziewicę, albo para owych, co lecą zanieść palmę męczeństwa jakiemu wybranemu Pańskiemu.

— Pójdę na pokój — powiedział w sobie Kochanowski — odebrałem też temi dniami kilka listów, trzeba je odczytać i odpisać. — A otworzywszy skryte drzwi w kącie Izby — zniknął; słychać tylko było przez chwilę wolne stąpanie po schodach, a potem odemknięcie drzwi kluczem.

Nastał był od niedawnego czasu u zamożniejszych a nadewszystko więcej myślących Polaków obyczaj, iż mieli w domu jedną izbę do uspokojenia, na ustroniu, o jednych drzwiach, gdzie zawsze cicho i samotnie być mogło; tę przezwali słusznie *pokojem*. Kochanowski stawiając sam swój — i chcąc go uczynić wygodnym, kiedy nie mógł wspaniałym — nie omieszkał upatrzeć sobie

podobnego schronienia. Jeszcze ojciec jego w obawie ognia zmurować kazał opodal od dawnego dworu, na suchej i wysokiej piwnicy, lamus, czyli skarbiec czworokątny, i tam zamykał co miał droższego. Syn o tę fundacyę ojcowską oparł swój dom nowy, drewniany, podniósł ją na całe piętro, a na wierzchu dał włoskim kształtem dach płaski czyli taras blachą wybitą, kratą opasany, z kompasem na środku, z kąd w każdej porze niebo naokoło mógł widzieć, wschód i zachód słońca uważać: wewnątrz zaś urządził sobie zacisze do pracy i do dumania, gdzie miał księżnicę i skład rękopismów, i od którego klucz był zawsze w jego kieszeni. W dnie zwyczajne nad wielkim stołem stojącym w pośrodku, zielonym suknem okrytym, otoczony księgami, papierami, po kilka godzin przesiadywał z lubością, rzucając niekiedy okiem: to na Obraz Zbawiciela, włoskiego pędzla, wiszący na ścianie, to na dziewięć muz rozstawionych po pułkach; dziś, ni księgi, ni pióro, ni wizerunki, żadnego nie mają dla niego wdzięku. Klepsydra stała na stole: wziął ją, przewrócił, popatrzył czas jakiś na ziarnka piasku zwolna spadające, wstrząsnął nią mocno, nie pomny, że tym sposobem ani rzetelnej ani sztucznej godziny nie skróci, rozśmiał się sam z siebie i poszedł na taras. Tam, kiedy bywało, w dzień wstąpił, i siadł na ławce samotnej, w górze trzymał i wzrok i duch swój, śpiewał Panu z królem proroków:

Tyś niebo jako namiot rozbił ręką swoją;
 Chmury twój wóz, twe konie wiatry nieścignione;
 Duchy — posłańcy, słudzy, gromy zapalone.

A jeśli w wieczór albo w nocy poszedł, wpatrywał się w gwiazdy, gubił się w tym świecie tajemnic w my-

ślach o ich stwórcy, o biegu życia człowieka, tak ściśle złączonego — jak wówczas rozumiano — z biegiem planet. — Dziś, jego oczy na dół są zwrócone, oderwać ich nie może od strony, z kąd przyjaciela się spodziewa; złorzeczy pierwszy raz sosnowym lasom otaczającym jego wioskę, które go może ukrywają; a długo nic dojrzeć nie mogąc, zbiega znowu na dół; zniecierpliwiony chce wyjść na drogę i iść póty, choćby też do wieczora, póki upragnionego gościa nie spotka. Już spał krótki piaskowy kontusz, szablę przypasał, czapkę na uszy nasunął, kosturek wziął w rękę, kiedy zabiegła mu drogę ulubiona jego Orszulka. Wysłała ją z unysłu matka, wiedząc dobrze kto najlepiej ojcu czas skrócić potrafi. Śliczniejsza była niż kiedy bądź zawsze śliczna dziecina. Kochanowski rad popisać się z nią przed przyjacielem, zalecił był jeszcze wczora Nastce, żeby ją jak najstanniej ubrała, i właśnie w tej chwili po ukończonym rozrzucaniu tatarakowych liści, dokonano ochędóztwa. Koszulka cienka, biała, bryzowana, nowy letniczek pisany, co jej matka sama uszyła, paski złote niedawno z Sandomierza przywiezione, a z włosków dwa uploty niebieską wstążką nad czołem związane. — Ojczy, chodźcie ze mną na łąkę, powiedziała, biorąc go za rękę — kwiatków dla gościa narwać trzeba. — Poszedł ulegając jak zawsze woli dziecięcia i mówił w sobie: — potem na drogę wyjdę. — A kiedy ona biegając i śpiewając zaczęła składać skromny snopek wiosenny, on jej się spytał:

— Szczebiotko! wiesz ty, kto tu przyjedzie!

— O wiem — odpowiedziała, jakby nie przerywając śpiewania:

Przyjedzie tu rycerz
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiatuszki
Rzucę mu pod nogi.

— Pieszczoto moja! — zawołał Kochanowski siadając na trawie i otwierając ku niej ramiona, w które ona pędem wbiegła — i cóż mu powiesz?

— Oto mu zaśpiewam — a stanąwszy przed ojcem, lewą rączką ujęła się pod bok, główkę przekrzywiła, tupnęła nóżką zupełnie tak jak parobek w tańcu, kiedy przed grajkami stawa, i tak się ozwała:

»Nie znałeś Orszulki
A ona cię kocha;
Poznałeś ją teraz
Pokochajże trocha«.

— A za cóż ty go kochasz? — spytał jeszcze ojciec odchodząc prawie od siebie ze zdziwienia, i jakby zapominając, że z dzieciną rozmawia, że może nadużywa władz rozumu budzącego się zawcześnie.

Tu dziewczynka zadumawszy się nieco uroczystym głosem wyrzekła:

»Tak Bóg przykazał,
Czyż tego nie wiecie?
Kto kocha ojca,
Tego kocha dziecię«.

— O Bogowie! — zawołał Kochanowski w uniesieniu powstając i porywając dziewczynkę — jakaż cudowna śpiewaczka. Safo słowiańska rośnie mi w tobie! chodź słowiczku mój, powtórz matce piosenki twoje; a nie zaponnij je zaśpiewać tak samo wujaszкови.

— O! już zapomniałam — wymówiła zakłopotana dziecina — może inne przyjdą; tam jest lepszych siła —

dodała przytykając rączkę do wypukłego czoła — biedują się często, a wyjść nie chcą, czy nie mogą; aż czasem bolą. Ale, ojcze, patrzcie co tam widać na gościńcu, coś błyszczy, rycerze jadą.

I dobrze widziała dziewczynka. Podlodowski jechał na dzielnym ukraińskim koniu; już nie młody, ale jeszcze zupełnie ciemnego włosa i nadzwyczaj piękny i dorodny mężczyzna; był uzbrojony jakby na wojenną wyprawę; z pod szarej, tatarskiej oponczy z lekka na ramieniu wiszącej, widać było bekieszkę, ubiór wielce wówczas używany przez pamięć na szlachetnego Bekiesza — szablę u boku i kindżał za pasem. Obok niego młodzieniec hoży i gładki, takóž zbrojny i jeszcze suciej ubrany, harcował na cisawym tureckim dzianecie. Toczył się za nimi wóz ciężki, cztero-konny, dążyło dwóch pacholców na zwinnych parepach czyli podjezdzkach, ale wczorajszego kozaka nie było; znać się zminął z panem w drodze. — Stanęli oboje Kochanowscy z córkami na ganku wołając radośnie: — Witajże nam witaj! przyjacielu i bracie! — witaj i z temi co w progi nasze wprowadzasz — dodali widząc nieznanomego młodzieńca. — Tabor cały wnet stanął na podwórzu; zaczęły się uściski, pokłony, pozdrowienia. — Czemu Ewa spłonęła rumieńcem kiedy pan podkoniuszy wyrzekł pokazując na towarzysza swego: — Oto mój syn, rotmistrz, Filip Owadowski, herbu Łabędź; nie on ci mnie, ja jemu winienem życie; ale miłuję go jak syna i wy go za takiego mieć raczcie. Czemu Ewa spłonęła? Niech to młode dziewczęta odgadną.

ROZDZIAŁ IV.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

— L. 19. —

Lubo Wielkanoc, owo prawdziwe święto zmartwychwstania, od piętnastu dni minęła, tydzień świąteczny zaczął się w Czarnolesie. Dwaj przyjaciele po tak długiem rozdzieleniu, krótkie i policzone chwile mając do spędzenia razem — gdyż pan podkoniuszy dziesięć tylko dni bawić przyobiecał — nacieszyć się z sobą, nagadać, napatrzeć się wzajemnie sobie nie mogli. — Jakkolwiek dzielny, rubaszny, sierdzisty, poważny, niepospolitego wzrostu i siły, męskiej i rycerskiej piękności Jakób, różnił się zupełnie obejściem i urodą od łagodnego, wdzięcznego spojrzenia, słodkiego języka — Jana, owego piepszzonego wychowanka muz, dworu, i najoświecieńszych krajów, owego miłośnika pokoju i wioski: jakkolwiek,

»Jednemu twardy szyszak docierał do głowy
Drugiego skroń otaczał miękki liść myrtywy«*),

przecież sercem zgadzali się i pasowali do siebie, tak samo w pośrodku życia, jak niegdyś w dniach bujnej młodości i w pierwszej świeżości uczuć. Jedna w nich była co dawniej miłość Boga, ojczyzny i sławy; jednakowe zdania o wierze, o wolności, o poprawach rządu jakich Rzeczpospolita potrzebowała koniecznie; jednakie zaufanie, że spełnić je potrafi Stefan Batory, król równie dziwny jak mądry, zwłaszcza wsparty radą, ramieniem i sercem kanclerza, hetmana, przyjaciela i powinowatego

*) Elegja Kochanowskiego.

swego, Jana Zamojskiego. — Podlodowski nie był nawet bez wyższego usposobienia rozumu, bez delikatności w uczuciach; wprowadzie życie oddane ciągłym prawie bojom, teraz poświęcone mozolnym i niebezpiecznym podróżom w królewskiej posłudze, nie wiele miejsca zostawiało naukom. Szabla i rusznica droższe i poufalsze mu były od pióra, koń milszy od książki, dwóch rymów nie znalazł odkąd żył na świecie. Ale czyż tylko tych co czytają, piszą i rymują zwać można poetami? Są poeci uczynkowi, w ich życiu jest poezja. Z tych liczby był Podlodowski. Ze starożytnego domu, który oddawna przysługiwał się Rzeczypospolitej ludźmi mężnymi na wojnie, światłymi w senacie, syn zacnego ojca, dziedzica szerokich włości, urodzony w głębokiem Podolu, w owej krainie, mężtwem Giedymina i Olgierda wydartej Tatarom — ale do której ta dzika tłuszcza ciągle prawa swoje mieczem i ogniem wznawiała — ledwie mógł broń udźwignąć, kiedy już był żołnierzem; obóz stał się dla niego domem, koń siedzeniem, żelazna zbroja odzieżą, bitwy z nieprzyjacielem tańcem, a życie i mienie o tyle szacowne i drogie, o ile dla ojczyzny i dla braci poświęcone być mogły. Jeszcze wtedy — właśnie w końcu panowania Zygmunta Starego — nie był wszędzie obmyślony żołnierz do ciągłego strzeżenia granic. Polską, owo przedmurze chrześcijaństwa, przez które barbarzyńskie ludy wnijsie do Europy miały, nie zasłoniła od nich górami, nie przedzielona morzem, wstrzymywała ich przecież; lecz całe prawie jej bezpieczeństwo, cała spokojność ościennych norodów polegały na dobrowolnej i ohotnej waleczności rycerskich jej dzieci; i było wielu, w zaślepionej ale poetycznej szlachcie — którzy stawianie fortiec, obsadzanie ich regularnem i płatnem wojskiem, uważali

za uwłóczenie męztwu stanu rycerskiego. »Piersi synów — mawiali — dostateczną dla matki obroną«. Nadstawiać więc trzeba było tych piersi i oba Podlodowscy tak ojciec jak syn wraz z Daszkiewiczami, z Lanckorońskimi, z książętami Zasławskimi, Zbaraskimi, Wiśniowieckimi, z Pretficami, Herburtami, Jazłowieckimi, Sieniawskimi, zasłużyli się dobrze Rzeczypospolitej i chrześcijaństwu, w wstrzymywaniu wielokrotnem własnemi ludźmi, i własnem ramieniem srogich napadów tatarskich, w ściąganiu ich i karceniu, gdy silniejsi albo podstępniejsi od nich, zapuścili na Podole, na Wołyń i na Ukrainę krwawe zagony swoje.

Jednak Podlodowski ojciec, widząc rosnącą z wiekiem dzielność syna, może i dumny z nadzwyczajnej jego urody, zapragnął dla niego wyższego ćwiczenia, większego świecznika. Gdzież go miał chętniej szukać i łatwiej znaleźć jak przy boku wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego, z którym nawet powinowactwo go łączyło? W owym czasie taka była konieczna kolej wychowania męskiej młodzieży; każdy musiał się otrzeć między ludźmi, służyć, nim zaczął żyć na własny rachunek i rozkazywać drugim. Po odbytych naukach w domu albo w szkołach, drobna szlachta oddawała synów do majątniejszej braci, majątniejsi do panów, panowie zaś posyłali swoich na zagraniczne dwory, do cesarza, królów i książąt udzielnych. — Ośmnastoletniego Jakóba powiózł tedy ojciec do Tarnowa i oddał w służbę hetmanowi; tam wnet przybył jak wiemy i nasz Jan, któremu matka wyjednała miejsce na tymże dworze, dla wykształcenia go w naukach, w pisaniu listów, w znajomości rzeczy krajowych; gdyż Tarnowski, jak wszyscy nasi wielcy mężowie szesnastego wieku, był razem gromem bojów

i muz miłośnikiem. — Oba jednakże i Jakób i Jan rok tylko jeden spędzili na tym znamienitym dworze.

Nowy a okropny napad Tatarów na ziemie ruskie w końcu września 1549 przerwał korzystne dla nich życie, wdziękiem przyjaźni ozdobne. Tak potężne było mnóstwo owych najezdników, iż żadne siły wstrzymać ich pochodu nie mogły; toczyli się jak powódź rozhu-kanej rzeki, padali jak śmy szarańczy na polskie kraje. Już Lwów pamiętny dawniej doznanych niedoli drżał cały, kiedy hetman Tarnowski zaciągnąwszy ku temu nieprzyjacielowi z licznym wojskiem koronnem i własnem, poraził ich na głowę pod Tarnopolem. — I Kochanowski był w tej walnej bitwie; chociaż nie z powołania rycerz »przyasał się na ten raz do miecza*») jak sam o sobie napisał; nieodstępny od przyjaciela, przeto w największem niebezpieczeństwie, strzała tatarska w szyi mu utkwiała i była nawet chwila trwogi o jego życie. — Lecz Podlódowskiego boleśniejszy jeszcze cios ugodził. Tatarzy naprzód spustoszyli brzegi Dniestru pałac, siekąc, mordując, zabierając cokolwiek okropną swoją obławą dosięgli. Wtedy sam książę Wiśniowiecki oprzeć się nie mogąc przemagającej sile, poddać im się musiał z żoną i z dziećmi. Stanisław Podlódowski także we własnej wsi, w Studzienicy, zniemacka napadnięty, a dobrze po- hańcom znany, bronił się do ostatka, aż zakłuty poległ. Żonę jego zącą białogłową, Ewę Biejkowską rodem, wraz ze wszystkimi jej kobietami, Tatarzy zabrali w niewolę, i zaraz do hordy odesłali; zniknęła nawet dwuletnia córeczka Hanna z piastunką swoją; i naza- jutrz po Tarnopolskiej bitwie, kiedy w hetmańskim obo-

*) Księga IV. pieśń 24.

zie w radości zwycięstwa byli, a ranni zapomnieli o bólach swoich, wierny kmiotek Studzeniecka przybył donieść młodemu Podlodowskiemu o całym jego nieszczęściu. — Pomścić ojca, wydobyć matkę i siostrę choćby z głębi Azji, te powstały w młodzieńcu chęci; a gwałt ich zrównoważył nieco w jego duszy żal srogi nad śmiercią ojca, żal, że nie był przy nim w tej chwili! — Rzucił wielkiego hetmana, rzucił rannego przyjaciela, pędem wiatru poleciał. — Odkopanego trupa ojcowskiego, zamordowanego licznemi' razami, zaledwie poznał — ale za każdą ranę choć jednego Tatarzyna zgładzić ze świata poprzysiągł; małej i jedynej siostry szukał to w Kamieńcu, to w Mohilowie, to w miasteczkach i wioskach okolicznych, to na drabnych wozach naładowanych porwanemi przez Tatarów dziećmi, które nasi ścigając ich, zdołali im odebrać, a które w takich razach wozono do miast głównych, aby matki poznawały i odbierały swoje. — Ale nie tam i nie zaraz znalazł ukochaną siostrę. — Piastunka dwuletniej Hanny, owa gadatliwa lecz wierna i roztropna Nastka — wyprowadziła była dla zabawy panienkę opodal od domu; wtem, znać dano o zbliżających się niespodzianie Tatarach, i wraz, ich okropne krzyki rozległy się w powietrzu. Nastka nie wiele myśląc, porwała dziecinę na ręce i uciekła w przeciwną stronę, w stepy; już słyszała jak pohańcy je gonili; lecz ona skryła się w wysokich trawach, a błąkając się długo zaszła do jaskini, gdzie stary czerniec spędził resztę dni swoich w samotności i na modlitwie. Stamtąd dopiero po kilku miesiącach wyjść się poważyła. — Podlodowski tymczasem przez Dniestr się przeprawił; z ludźmi, z pieniędzmi jakie mógł zebrać, zapuścił się w tatarskie kraje, żeby matkę wyzwolić, wykupić.

Znalazł ją nareszcie, ale umarła. — W mocy u jednego z carzyków, który na proroka swego przysięgał, iż najlaskawszego obejścia doznawała u niego, nie mogła znieść ohydnej niewoli. Uciśnienie jej, łzy, modlitwy widział Bóg, i zlitował się nad nią. — Pograżony w ciężkim żalu syn, przynajmniej jej ciało wykupił, ze czcią do Studzienicy sprowadził, i własną ręką w grobie ojcowskiem położył. — Jedna pociecha czekała go za powrotem do domu — zastał już siostrę z wierną piastunką. — Nie przewidując atoli dla niej ani pewnego, ani przyzwoitego schronienia w nadgranicznej majątności; której tak młodo i nieżądanie został dziedzicem, i chcąc ją od niebezpieczeństwa wojny z pewnością uchronić, odwiózł ją sam aż do Sandomierza, miasta opasanego murami, zakwitłego w zamożność i handel, a które od czasów Kazimierza Wielkiego — dzięki jego przezorności — nie doświadczyło tatarskiej napaści. Tam do klasztoru ją oddał, zostawując przy niej pocziwą Nastkę. — Może też do wyboru tego miasta dla siostry, powodem mu była pamięć na rodzinną ziemię przyjaciela, i myśl, że bezpieczniejszą będzie sierota mając dom Kochanowskich w tem samem województwie. Nie przewidywał wtedy o ile się ścieśnią w przyszłości węzły jego z tym domem; chociaż braterstwo powinowactwa mało co już dodać mogło siły braterstwu serca.

Stwierdził je wiek mimo tak odmiennych przeznaczeń obudwóch przyjaciół.

Jak Jan nauki, tak Podlodoski obrał sobie zupełnie i dobrowolnie stan rycerski za powołanie. Należał on do liczby owych ludzi co to nie żyją na wiatr, z dnia na dzień, ale którzy weześnie kreślą sobie zawód piękny, cel znaczą i pracy nie szczędzą, żeby dobiedz chłu-

nej mety. Kamienny i żelazny dla siebie i w ciele swoim, był czuły i litościwy dla drugich i w duszy. Wnet też pozbył się uczucia zemsty, które po stracie rodziców podzęgało jego ramię, chęć szlachetniejsza go ogarnęła, zapragnął być obrońcą ojczyzny, obrońcą wiary, zgoła żołnierzem chrześcijańskim.

Nie brakło mu to na sposobności dogodzenia temu pragnieniu.

Przez całe panowanie Zygmunta Augusta — owego nie bez zalet, ale nie wojennego króla — ani opuścił Podola i Ukrainy; na krótką chyba chwilę, żeby przyjaiciela i siostrę odwiedzić; zresztą był jakby krzyżownikiem wiecznym, gdyż ciągle z niewiernymi walczył, lub do walki się sposobił. To lud Studzienicki ćwiczył na żołnierza, wznagał ich w broń i w konie, i układał z nich rotę dzielnych kopijników; to z sąsiedzkiemi a śmiałymi kozakami w znowie, wraz z niemi na Tatarów, jak na łowy dzikiego zwierza się puszczał. Często uganiał się za niemi aż do ich hord, tym samym szlakiem, którym ciało matki niegdyś przywiózł. Nie raz wielkie łupy na nich zdobywał, któremi bogacił kościoły i klasztory; zawsze spłoszył ich i odpędził skoro na granice napadać chcieli, zawsze gromadkę jeńców zabrał, a potem do wiary chrześcijańskiej namawiał. To znowu z Jazłowieckimi, Pretficami i innymi troskliwymi obywatelami, układał jakby na Ukrainie założyć szkołę rycerską, ustanowić zakon krzyżacki według reguły św. Łazarza, któryby na całym Zadnieprzu składał wraz z kozakami mocne wojenne osady przeciw rabunkom bisurmańskim. I tak zbiegł wiek jego najpiękniejszy. Mógł być za tyle usług oddanych krajowi, za tyle dowodów waleczności, żądać tytułów, nagrody, owych sta-

rostw, po które wielu majątniejszych od niego a mniej godnych wyciągało ręce. Ale on nie starał się o nic. — Sama cnota sobie nagrodą — dosyć jest zasłużyć — odpowiadał tym, co go namawiali o domaganie się łask królewskich, zawsze hojnie szafowanych. Lecz gdy Zygmunt August umarł, gdy ziemie Ruskie (wytrzymawszy raz jeszcze w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka okropniejszy niż kiedykolwiek napad Tatarów) zaczęły używać pokoju pod rządami bitnego Stefana, który zwyciężkim bułatem rzucił postrach na sąsiadów. — Podlodowski wnet znalazł, że niema co do roboty u siebie i przykrzyć mu się zaczął beczynny pokój. — Kiedyśmy dziś z łaski dzielnego króla, takiego właśnie jak naszej Polsce było potrzeba, bezpieczni u siebie — mówił do przyjaciela — kiedy wróciły dla Podola i Ukrainy jakby Witoldowe czasy, kiedy w domu jest sprawiedliwość, na granicach gotowość i siła, Tatarzyn wstrzymany, kozacy w bojaźni i w karność ujęci, należy nam, szlachcie rycerskiej, otoczyć ojca narodu, i pomagać mu w tem wszystkim, co on dla dobra i chwały Rzeczypospolitej przedsięwzie. — I czekał tylko pomyslniej sposobności; a skoro rozesłano wici na wojnę moskiewską, stanął przy królu z wyborem własnych żołnierzy, zawinął się pod chorągwie Jana Zamojskiego, który choć wtedy jeszcze nie hetman i prawie nie żołnierz, już wzbudzał wielki szacunek w dojrzałym wojaku.

Lubo w owej sławnej i zwyciężkiej wyprawie — która Stefanowi Batoremu prowadzącemu ją osobiście imię pierwszego wojownika owych czasów zapewniła — lubo mówię, tylu Polaków na wyścigi z ochotnemi Węgrami, Niemcami ćwiczonemi dało dowody odwagi i poświęcenia się, przecież Jakób Podlodowski z rotą swoją,

potrafił zwrócić na siebie uwagę Zamojskiego i króla. Widzieli go zawsze jako prawdziwego rycerza chrześcijanina, w boju mężnym, w mowie rzetelnym, sprawiedliwym w sądzie, w radzie opatrzny, w zleceniach wiernym, w obyczajach uczciwym; widzieli, że lud jego w posłuszeństwie żyje, i ma go za ojca; król Stefan tedy, ów prawy sędzia skromnej zasługi, zapytał go się kazał po skończonej wojnie, jakiejby chciał nagrody? On przejęty coraz większą czcią dla monarchy według serca swego prosił o miejsce, któreby go zbliżyło do królewskiej osoby i zgodne było z jego zdatnością i zwyczajami, nie odejmując mu przecież zupełnie wolności, gdyż chciał zawsze doglądać wojennego ludu swego i mieć oko na Tatarów i na kozaków. — I urząd podkoniuszego dany mu został, a że był równie dobry jeździec jak dzielny żołnierz, przyjął go chętnie; i zaiste w owych czasach nie był to czczy tytuł. — Koń ze wszystkich zapewne zwierząt najważniejszą odegrał rolę, bo on różnicę między ludźmi zaprowadził; początkowa szlachta w Polsce i wszędzie, czemże była? takimi co na konia się zdobyli i dosiedli go, gardząc tym co szedł pieszo; długo też koń i szlachcic byli nierozdzielni; w wielu krajach nazwę swoją nawet wzięli od konia, od jeźdźnia; a wszędzie rodzaj koni z szczególnem upodobaniem był, hodowany; każdy zamożniejszy wiejski właściciel musiał mieć kilka zdatnych do boju: cóż dopiero król i król taki jak Batory, co kiedy wojny nie prowadził, lepszej nie znał rozrywki nad łowy.

Z upodobaniem też i czynnie spełniał swój urząd Podlodoski; a niezaspokojony końmi krajowymi — jakkolwiek wtenczas polska rasa słynęła i słusznie — wybrał się był z początkiem obecnego roku aż do Ca-

rogrodu, żeby tam w zawołanych tureckich i arabskich dzianetach, na targi spędzanych, upatrzeć godnych stajni Batorego. — Udało mu się. Kilkanaście koni co kupił, (a między nimi jeden szczególnie ciemno gniady, z gwiazdą na czole) tak były rzadkich zalet, że aż chciwość i zazdrość zbójców tureckich wzbudziły; i o mało co sam podkoniuszy w tyłu bitwach ochraniający nie padł tych łotrów ofiarą. Teraz wyprawivszy ze Lwowa szacowne konie — pod strażą dwóch zaufanych i doświadczonych dworskich swoich Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego, prostszą drogą i wolniejszym pochodem — do Grodna, gdzie król bawił, zboczył do Czarnolasu; a ponieważ w tem zboczeniu i w całym pobycie swoim u przyjaciela, nie tylko miał własną przyjemność na widoku, ale szczęście osoby, którą więcej kochał niż siebie, miłe dni i godziny pędził, i sam się dziwił jakim cudem przy spoczynku tak mu prędko czas zbiega?

I młodzieży kółko nie uskarżało się bynajmniej na leniwość godzin i na brak rozrywek. Filip Owadowski syn przysposobiony Podlodowskiego, wnet zapoznał się i zaprzyjaźnił z dziewczętami, jak gdyby w rzeczy samej ich krewnym był się urodził. — Nie było wtedy w obyczajach młodzieży tyle przymusu co dziś; większa daleko niewinność panien, mniejsze mężczyzn zepsucie, łatwiejszy dawały przystęp uczciwej poufałości. Wielką był także pomocą w stosunkach towarzyskich język, który lubo dopiero się kształcił, bogatszym był niż teraz jest, gdyż wystarczał bez pomocy żadnego obcego potocznym potrzebom; a nadewszystko miał jeszcze w sobie owe wygodne i nieocenione wy, które my Polacy podobno jedni ze Słowian wyrzuciliśmy z pokojowej naszej mowy, zostawując je prostactwu, niewiedzieć kiedy i dlaczego. —

Sposób też życia nierównie prostszy i czynniejszy, ułatwiał wiele takowe stosunki. Nie było po domach szlacheckich osobnych pokojów dla gości na innem piętrze, albo w innem zabudowaniu; nie było wyznaczonych godzin i salonów do schodzenia się z gospodarstwem; zebrane towarzystwo zasiadłszy każde w innym kącie z założonemi rękami nie chciało się bawić samą jedynie rozmową. — Wówczas bywał trojaki rodzaj gości. Pojedynczy, przelotny, który nosił ogólną nazwę pana Zagórskiego, bo zwykle niespodziewanie jakby z za góry się ukazywał; miał on już codziennie miejsce swoje zastawione u stołu; taki wstąpiwszy mimojazdem, jeżeli w porę trafił, zjadł obiad lub wieszczę; jeżeli nie, przekąsił, powiedział nowin parę i jechał dalej. Po tem, były zjazdy spraszane a przynajmniej wiadome, zapowiedziane; dla nich przygotowana uczta i zabawa, jako to: na imieniny, zaręczyny, wesela, chrzciny, albo też w niedzielę i święta. Nareszcie, byli goście poufali, krewni czy przyjaciele, co już na dłuższy czas przyjechawszy, od razu stawali się domowemi. W izbie wspólnej, często nawet w komnacie sypialnej — jeżeli panien i młodzieńców nie było — słano im łóża na każdą noc; od rana do wieczora siedzieli z gospodarstwem, którzy nie zadając sobie z niemi najmniejszego przymusu, nie przerywali wcale dla nich codziennych swoich prac i zatrudnień, owszem, załatwiali je przy nich i najczęściej z niemi. — I tak kiedy Podładowski dzielił z Kochanowskim wszystkie jego sprawy, kiedy z nim jeździł w pole, koło gospodarstwa chodził, w sadzie pracował, sieci na ryby zarzucał, a nawet choć nie piśmienny nie jedną godzinę trawił nad księgami i papierami, dokumenta do wojny gdańskiej i moskiewskiej porządkując i bogacąc, Filip ze swojej strony, dru-

giego dnia po przyjeździe, już znał każdą z dziewcząt, nie tylko z imienia ale i z charakteru; już im się sprzeciwiał, już z nimi żartował, już Ludwinę uczył pieśni nabożnych, a jej sióstr dumek ukraińskich; już wszystkim pomagał w ich zajęciu koło domu i ogrodu; a wieczorem siedząc z nimi przy kominie — bo nigdy nie zawadził u nas ogień w kwietniu — ledwie mógł nadażyć z opowiadaniem ciekawym dziewczętom na ich zapytania o Podolu, o Turcyi o Carogrodzie, o Tatarach, o kozakach, a mianowicie o ostatniej wojnie, na której wiedziały, że był z panem podkoniuszem. Gdy zaś jał im opisywać tę wiekopomną wyprawę, czyny bohaterskie tyłu rycerzy, a zwłaszcza piechoty, mądrość i dzielność króla i Zamojskiego, upokorzenie nieprzyjaciela, owe ciężkie i niebezpieczne dobywanie Połocka, Wielkich Łuk i tyłu innych fortec; jak często koło samego monarchy kule świstały, jak po własnych ludziach zabitych musieli wstępować na wały, jak wszedłszy do miast zdobytych, konie broczyły we krwi poległych, albo też wracać trzeba było pędem do obozu dla nieznośnego wyziewu od wielkiej liczby niepochowanych trupów: gdy im to wszystko opowiadał, pobożna Ludwina składała ręce, wzdychała serdecznie za dusze tyłu ofiar ginących bez pomocy świętych Sakramentów, może w grzechu śmiertelnym; powtarzała z głębi serca swoje ulubione słowa: »Boże, bądź im miłościw! Boże, bądź im miłościw!« oczy zaś Ewy i jej sióstr iskrzyły się ogniem, czoło jaśniało jakąś dumą; a kiedy Filip opowiadał jeszcze z zapalem o dowodach waleczności swego przybranego ojca ze skromnością o własnych, i liczył ile mniej więcej oba nieprzyjaciół do grobu wtrącili, wielu zabili bisurmanów w świeżo doznanej tureckiej napaści — strwożona Lu-

dwina odsuwała się od niego zbierając w obie ręce płonistą suknią swoją, jakby z bojaźni, by jej krwią grecką albo pogańską nie skalał: — Ewa przeciwnie patrzyła śmielej i uprzejmiej na młodzieńca, i żałowała pierwszy raz w życiu, że się nie urodziła mężczyzną, albo tego, że Filip nie był prawdziwym jej bratem, bo mogłaby rzucić się mu na szyję i wyrazić tym sposobem, ile jej się podoba jego duch rycerski.

Nie zawsze też Filip bywał »błogosławiony między niewiastami« jak go Kochanowski nazywał; codzien, według zwyczaju przyjeżdżał pan Franciszek i codzien swoje smaczne zalotne przywoził; a zmiarkowawszy, iż od czasu przyjazdu gości, obiady Czarnoleskie daleko były lepsze od tych co mu w domu dawano, przetrąciwszy swój wcześniejszy, w południe przybywał do stryjeństwa na drugi, jadł jakby nigdy nic, pił za czterech, a po obiedzie znużony snem, dosiadał wiernej bułanej, która go drzemiącego prosto do Policzny donaszała.

Pan Franciszek Kochanowski dobre chłopczyisko w gruncie, był sobie próżniak, »warchoł« jak wtedy mówiono do niczego, prócz do zmiatania półmisków, i do spełniania kuflów. Polowanie na ptaszki już sobie miał za robotę, toż i łowienie ryb na wędkę, nad którym kiedy parę godzin posiedział i kiełbika złapał, pewny był, że bardzo się spracował i wielkiego dokazał. Do zatrudnienia użytecznego a mozolnego miał wstręt zupełny, a to nie tylko z natury, ale i z głębokiego przekonania. Znając się jedynakiem i herbowym, wiedząc, że został po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że jak jej braknie — znajdzie się włodarz albo podstarość, wreszcie żona — spuszczał się na to zupełnie; a treść jego zasad, które często roz-

pamiętywał leżąc zimą pod piecem, a w lecie na trawie, była następująca:

— Kiedy mnie Pan Bóg szlachcicem stworzył i chlebem opatrzył, którego nie przejem choćby mi też w miłosierdziu swoim drugi był dał żołądek, byłbym głupi jak stołowe nogi, gdybym się czembądź trudnił; pracę zostawić należy kmieciom, miejskim synkom, hołyszom, a naukę... jak się nazywa... bakałarzom i poetom. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale im nic nie zazdroszczę; gdybym ja miał nad książką dukwieć, po godzinach gryźć pióro, i nocy nie dospać dla jakichś tam... jak się nazywa... rotuł, psalmów, Tassów, Wirgilich, kazałbym sobie dać łoży. I niech mi kto powie na co się to przyda? Panu Mikołajowi się zmarło choć rotuły pisał; pan Jan ze wszystkimi pieśniami i z całą sławą, przez połowę tyle jeść i pić nie może co ja; pan Piotr ze swoją... jak się nazywa... Jerozolimą, gdzieś tam daleko poci się jak w łaźni, trawą żyje gdyby baran; pan Andrzej włóczy się ciągle za tym kanclerzyskiem — także człowiekiem bardzo osobliwszym, nie mając i chwili spoczynku. Nie było im wszystkim tak zrobić jak ja? Skoro człowiek ma co jeść, co pić, w czym chodzić, gdzie się wyleżeć, czegoż im więcej potrzeba? Pan stryj namawia mnie do rycerskiego rzemiosła; chce, bym wszelką bronią władać umiał; a mnie po co? — żebym jechał na wojnę. — Nie głupim, na wojnie zabić mogą. Wreszcie jedzie tam tysiące braci szlachty, co ich skóra świerzbi i głowa na karku im cięży — niech sobie jada, i owszem; im ich tam więcej będzie, tem bezemnie prędzej się obejdzie; nie byłemci na ostatniej wojnie, bom też był prawie dzieciuchem, dobrze poszła mimo tego. Pójdą tak i inne. Ja tam pychą nie grzeszę, pokornegom du-

cha. — Pan stryj mówi jeszcze: — Jak tak nie będziesz nie umiał i wiedział, i bronią jak się należy nie włادنiesz, nie będziesz nie znaczył w kraju, ani na sejmikach, ani w czasie... jak się nazywa... elekcji. — Ja też tego bynajmniej nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policzną; po co mi sejmików, kiedy ja i bez sejmików w sąsiedztwie w i domu objeść się i opić mogę, a to bez guza i rany; bo ja mam mój rozum; skoro się upiję, nie kłóćę się jak drudzy mędrsi, jedno spać idę. — Elekcyja! a mnie co do niej! czy Rdest czy Gaweński, czy Batory, czy Badura królem polskim, mnie wszystko jedno; ani ten, ani ów nie będzie wiedział, czy ja żyję czy nie, i ja go na oczy nie zobaczę; ani ten ani ów wioski mi nie da, ani weźmie, i dalipan więcej mnie obchodzi jaki kucharz co w Polickiej kuchni warzy, niż jaki tam król co rządzi w onym starym krakowskim zamku? — Wstyd, wstyd — mówi mi niejeden — tak żyć. — Wstyd, wstyd, a przecież nikt się mnie nie wstydzi. Matka za mną przepada. Jagienka się przysięga, że nie mam równego sobie; i prawda, gdzie tylko pojedę, wszędzie mi radzi, wszędzie mnie karmią i poją, panny się do mnie wdzięczą, i Jagienka powiada: miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle żon mieć można. Ale ja tam innej mieć nie chcę, jedno tak jak pani matka pragnie — Ewulkę — śliczną Ewulkę. — Najbliżej mi jeździć do niej, moja bułana już wie drogę, prowadzić jej nie mam potrzeby — sama idzie. Walna, czerstwa, zdrowa dziewczka, kieby rzepa, i gospodarne to; przysmaki różne umie: niechno raz się ożenię, będę przy niej opływał jak pączek w maśle; pieczone gołąbki będą mi szły same do gąbki, a ja tylko będę usta otwierał i smakował. — A doszedłszy do tej ostatniej części rozpamiętywań swo-

ich, pan Franciszek się oblizywał, ślinkę łykał, i najczęściej na tem kończył, że albo co przejadł i przepił, albo dosiadłszy bułanej, jechał do Czarnolasu.

Naszą Kochanowską — jakkolwiek wysoko szacowała matkę pana Franciszka a jego przyjmowała grzeecznie — nie bardzo cieszyły owe zalecanki. Takiego mając męża i brata, znając wielu godnych ludzi, życzyłaby dla córki ukochanej coś lepszego. — Syn ci to jedyny waszego dobrodzieja — mówiła czasami do męża — ale wybaczcie, to istny bałwan. Ewa nie będzie mogła żadnem prawem go szanować; dziewczyna w jednym palcu ma więcej rozumu niż on w całej głowie; jejby prędzej kord przystał, a jemu wrzeciono; cóż to będzie? — Kochanowski starał się uspokajać żonę, kiedy mu te swoje obawy zwierzała: — Jeszcze to nie dziś, ani jutro owo małżeństwo się złączy — mówił jej — jam pani Kacprowej najrychlej za rok naszą dziewczkę obiecał, i to jeszcze nie z zupełną pewnością. Musi ona koniecznie synalka pierwej między ludzi wysłać: myślę napisać do brata Andrzeja, i z nim jako ułożyć, żeby mógł zabawić czas jakiś pod jego okiem na dworze kancle-rza. To chłopczysko młode, rozpieszczone, nic nie zna, ale serce dobre i rozgarnienie jakie takie ma; jak się przekona, że »człowiek nie samym tylko chlebem żyje«, toć się może weźmie do czego. Nie lubię ja wprawdzie małżeństw między bratankami, i matka ich nie lubiła; kościół rzymski je zakazuje i musi mieć w tem jak we wszystkim słuszną przyczynę — aleć, znałem i podobne stadła zgodne i szczęśliwe; sama pani Kasprowa była cioteczną swemu mężowi, a święta z kośćcami niewiasta, uprosiłaby zapewne dla jedynaka błogosławieństwo Boskie. Wreszcie, Hanno moja, kogo Pan tak hojnie jak

nas dziewczkami obdarzyć raczył, ten w zięciach jak w ulegalkach przebierać nie może. Jedną, Ludwinę naszą oddaliśmy świętobliwemu panieństwu, i Pan Bóg zdaje się przyjął mile tę ofiarę; dziewczę rośnie jak lilia wśród cierni; już ona mało co z nami, mocno w niebo się ciśnie; rozmyśla dzień i noc o Pańskim zakonie, nie znać nie chce jedno Jezusa, w niego się obłóczy, w nim chodzi; o Boga się pytać, w nim się kochać, jemu służyć, ta jest jej nauka; oczy ku ziemi ma spuszczone, serce już jakby w raj... Młodszym dziewczkom przeszkadzać nie będę do klasztornego żywota skoro w nich ujrzę stateczne powołanie; rodzice w takim razie nie swej świeckiej pociesze ale woli Boga i zbawieniu dzieciak swoich ulegać powinni — ale dotąd nie widzę w żadnej natchnienia Ducha świętego; ojcowskie w nich się odzywa — lubią swiatek. — Orszula moja jedna, ta aniołem leci w górę; ale tej pociechy, tej pieśczoży, nie dam ni Bogu, ni mężowi, ni komu. To moja — moja własna; moja muza, moja ojczysta, która gdzie szerzej i dalej niżli ja i bracia moi, imię Kochanowskich rozśławi i innego już nie przybierze... Jakkolwiekbaż — dodał po krótkim milczeniu i jakby czytając z ócz żony jakiś strach, że on tak Orszulkę nad wszystko wynosi i ceni — jakkolwiekbaż czterech zięciów nam potrzeba, moja pani, a choć to mówią dzieweczki bogobojnie i wstydliwie wychowane, zawsze męża znajdują, przecież gdzie wiana niema, tam swatowie nie natrętni. Dobry przeto będzie i pan Franciszek dla naszej Ewy; on sam jeden tyle ma ziemi co my wszyscy; nie małą też zgotujemy sobie pociechę zachowując na całe życie córkę pierworodną pod bokiem. Kiedy stanę w oknie mego pokoju i wyjrzę, serce mi nieraz zakołata z radości. Nie dosyć, myślę

sobie, że widzę dom bratanka Andrzeja w Gródku, grób rodzicielski w Zwoleniu, jeszcze i w Policzny, w jej modrzewim dworcu da Bóg dziewczkę naszą kiedyś ujrzę, i ona będzie mogła z komnaty swojej znaki nam dawać, wzywać nas w potrzebie... Jestci w rodzicielskiem sercu dla najstarszego dziecięcia jakieś właściwe, osobne przywiązanie, jakaś wdzięczna pamięć za tyle słodkich wzruszeń, które pierwszy raz, dzięki jemu, serce nasze zaznało. Wierz mi Hanno, gorzkoby mi było, gdyby naszą pierworodną jaki mąż choćby najzacniejszy wywiózł gdzie w głąb Litwy albo Podola.

— A mnież — odpowiedziała matka — mnie com ją urodziła i wykarmiła; mnie, której ona jest wyręceniem, pociechą... a głębokie uczucie nie dozwalało jej tłumaczyć inaczej jak łzą drżącą, jak z całej duszy wtóruje mężowi. I tak czas upływał i zaloty pana Franciszka uchodziły; lecz miały wnet okoliczności się zmienić; spisek srogi się knuł przeciw owemu dobrodusznemu kochankowi.

Pan rotmistrz — rzecz dziwna — chociaż było jasno widać, iż ugodzony w samo serce czarnemi oczami Ewy, i choć mu na wrodzonej śmiałości i odwadze nie zbywało, przecież więcej daleko rozmawiał z pobożną Ludwiną, nierównie był poufalszy z nią i z młodszemi jej siostrami, niż z najstarszą. Ledwie śmiał wymówić jej imię, dotknąć się jej sukni; nie ciągle nawet w gronie dziewcząt był widziany: często przysiadał się do Kochanowskiego i do przybranego ojca; mieszał się do ich poważnych rozpraw skoro pozwolili; z Kochanowską zamieniał słowa pełne uszanowania, wypytywał jej się o różne gospodarskie szczegóły, wychwalając bez przesady jej umiejętność, wspominał z uczuciem o własnej

matce, która go odumarała dwuletnim chłopcem, pokazywał krzyżyk srebrny, co mu umierając na szyję włożyła, skarb jego najdroższy, tarczę od niebezpieczeństw wszelakich; mówił o siostrze swojej Zuzannie, jedynej już na tej ziemi krewnej; jakie tylko mógł, takie oddawał przysługi pani Czarnoleskiej; to obracał kołowrotek, kiedy jej noga już się zmęczyła, to trzymał przed nią uważnie szerokie moty cienkich nici, podnosił okrągły kłębek na wyścigi z usłużną Orszulką, ile razy z rąk jej się wymknął i potoczył daleko; to w przyrządzaniu lekarstw, w ustawianiu apteki jej pomagał, a kiedy do ryb piątkowych brakło jej szafranu i imbiru, mimo zimnej słoty na całą noc pojechał do Kazimierza, sam w małej łódce przez szeroką Wisłę się przewiózł, a przed śniadaniem stawił się z tem co potrzebowała.

Zataić tego nie można, że za każdą podobną przysługę nie tylko z uprzejmych ust pani Kochanowskiej, ale i z pewnych czarnych oczów choć ukradkiem wyglądał nagrody; a jeśli one łaskawie na niego spojrzeć raczyły, zdawał się dumniejszy i szczęśliwszy od wszystkich mocarzów świata. Ale kiedy tego samego dnia po obiedzie trafiło się, że wesoła Ewa drzymiącego Franciszka dowcipną psotą obudziła, kiedy mu podziękowała mile za przywieziony w dniu tym kołacz z sercem, i z poufałością siostry nazwała go po imieniu i wzięła za rękę, Filip — jakby chcąc sprawdzić przysłowie: »Miłość bez zazdrości, jak Polak bez węża« w czarną wpadał rozpacz: uchwycił za rusznicę, poszedł do lasu niby na łowy, a wróciwszy wieczorem bez niczego, przysiadł się do Ludwiny, i po raz pierwszy powiedział jej z rzetelną prawdą: iż zazdrości świętobliwego powołania jakie sobie obrała; i zaklął się, że byle przybrany ojciec

pozwoił, on także szablę odpasze, kaptur włoży i mni-chem zostanie, do czego pobożna Ludwina całym sercem go namawiała mówiąc: iż dopiero wtenczas spokojnym i szczęśliwym będzie, gdyż na tym odmiennym świecie jedna tylko rzecz jest ważna i potrzebna; wielka to łaska Pana Boga, kiedy komu pozwoli, aby za młodu dla dobra większego i pewnego mniejsze a niepewne opuścił, za krótką uciechę kupił sobie wieczne wesele, za śmierć i ubóstwo: żywot i państwo bez końca.

ROZDZIAŁ V.

Miłości! a kiedy i w niebie

I na ziemi nikt nie jest bezpieczny od ciebie
A twym strzałom trudno się pawężą zasłonić,
Ani uciekać, ani rozumem się bronić:
Proszę cię, miałoliby kiedy przyjść do tego,
Niechaj nie nie miłuje, co jest szkaradnego.

— Dziewostąb.

Tydzień od przyjazdu Podlodowskiego już się kończył, a zdawał się obudwom przyjaciółom jak gdyby dzień jeden. Bitny rycerz nawet rad mimowolnie chwilowemu wypoczynkowi po długich trudach obozowych i po dalekiej podróży, może też przewidując ponysłny skutek dla najdroższych swoich zamiarów, przyznał sam, iż miło mu było zasypiać na wygodnem łożku ręką siostry usłanem, z myślą, że nie obudzi go jutro ani trąba wojskowa, ani krzyk murzów tureckich: *hała haj, hała haj!**) ale śpiew ptasząt witających już powrót wiosny,

*) Ma to znaczyć: Boże, zmiłuj się!

albo też odgłos dzwonu miotanego ręką Ludwiny, i zwołującego całą drużynę Czarnoleską na poranne modlitwy.

Przecież, sobotniego poranku, nie doczekał w łóżku ani śpiewu ani dzwonu: jeszcze głucho i szarawo było na świecie, on już wyszedł z izby przed ganek, a zupełnie ubrany, przy szabli, w czapce na lewym uchu przechadzał się szerokim krokiem na około domu, wyglądał niecierpliwie rychło się w nim kołatać zaczął, i ledwie zobaczył Baraczka odmykającego ciężkie okiennice i podpierającego je drągami, natychmiast zastukał w szybę sypialni Kochanowskich, i prosił, żeby niebawem oboje do niego wyszli. — Kochanowska niespokojna co bratu się stało, porwała co tchu ranny kożuszek, włosy w nieładzie zakryła białą duchenką i wybiegła; pospieszył za nią mąż, i pytali oboje czego żądał, co mu brakuje, czy jakie złe wieści o koniach otrzymał? Pewno pan brat głodny — odezwała się litościwie gospodyni, która obyczajem polskim zawsze sobie wystawiała, jakoby jej goście nie mieli co jeść — obiad był lichy, wieczerzy nie było; przekaście co przed śniadaniem; jest wyborny lin na zimno, oblejcie wódką piołunkową i nie wam nie zaszkodzi; dziś też wcale ciepło na dworze. — Ni jeść, ni pić nie będę — odpowiedział uroczyście Podlodowski, aż odmówię rzecz swoją. — Mów więc — rzekł Kochanowski — schrońmy się do naszego ciennika chróścianego, tam ciszej będzie, tam nam nikt nie przeszkodzi. — I poszli — a ledwie zasiedli na ławkach z kory, podkoniuszy tak zaczęli: — Założyłem ja był sobie, najmilsi moi, tu jadąc przetrwać do ostatniego dnia pobytu mego u was, dopiero na samem odjeździe do Grodna wytoczyć przed wami całą sprawę, zostawić ją wam do namysłu, a potem za parę tygodni wrócić

po odpowiedź; ale jak widzę, serce nie sługa. rozkazać mu nie można. Przychodzę tedy do was jako swat; a że krasnej mowy i dworstwa u żołnierza niema, szablę zowie szablą, a czapkę czapką, powiem od razu, przychodzę prosić was o rękę waszej córki dla mojego Filipa.

Odkrzyknęli się oboje Kochanowscy; bo chociaż nie bez tego, aby oboje nie spostrzegli widocznej skłonności pana rotmistrza, nie mieli jeszcze czasu zastanowić się nad tem, co z niej wyniknąć mogło, ani też sposobności pomówić w tej mierze z sobą, ona więc szczególnie zatrwożyła się mocno tem nagłym oświadczeniem; dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy; zadrżało w niej serce; Podlodowski zaś żądał usilnie, żeby mu nie przerywali, póki on wszystkich okoliczności nie wypowie szeroko, i jak się należy.

— Wiecie moi najmilsi — mówił dalej — iż choć Pan Bóg dał mi kawał majątku i kęs urody, nie miałem i nie mam ni żony ni własnych dzieci; kościół, Rzeczpospolita, szabla i koń te były od młodości jedyne moje kochanki, a tańce i zaloty z Tatarami nie dopuściły innych słodszych i weselszych. Kiedy na wyprawę iść przychodziło, rad nawet był człowiek, że nie wieszają się mu u szyi żona zapłakana, że się nie czepiają szat i broni dzieci drobne, nie wstrzymują ręki, nie miękczą serca; w boju bywało się tem śmielszym; nie ściagała myśl zostawienia po sobie wdowy i sierot; ale za powrotem zwłaszcza z pomyślnych wycieczek, nieraz mi już przyszło żałować zajeżdżając przed dom pusty, że mnie nie wita szczęśliwa ze zdrowia mego żona, że mi nie padają do nóg dziatki chlubne moźnym ojcem, i nie proszą, bym im ukazał blizny, opowiedział przygody, udzielił zdobyczy. Z wiekiem rósł ów żal, osobliwie, kiedy

bywało, wspomniałem w co się lud wojenny mojej Studzienicy obróci, gdy przyjdzie po mnie jaki obcy dziedzic, a jeszcze nie rycerz! I kto wie, czyby człowiek mimo tego, że już piąty krzyżak znaczył, że się na bezżennego krzyżaka niegdyś chciał wykierować, kto wie, czyby nie był przełamał ślubu? gdyby Bóg miłosierny nie raczył inaczej i na lepsze rzeczy obrócić.

Właśnie wróciłem był od was do mojej wioski lat temu pięć, a napatrzywszy się przez cały miesiąc szczęścia waszego, zgodnego pożycia, miłych dzieciątek, dom wydał mi się pusty niż kiedy; nie mogłem w nim się osiedzieć, i pojechałem na Wołyń, w chęci odwiedzenia krewnego — Kruszelnickiego — z którym też miałem i dawną sprawę do załatwienia jeszcze po ś. p. matce mojej. Niechcący trafiłem u niego na zjazd wielki, na huczne uczyty i zabawy; było to wesele jego syna, pisarza grodzkiego Krzemienieckiego z panną Zuzanną Owadowską, piękną i uczciwych obyczajów dziewczką. Rodzina jej, dawna szlachta i wcale zacna, zamieszkała była w Mazowszu, w wiosce dziedzicznej, lecz nieszczęśliwą koleją przyszło obojgu rodzicom majątek utracić, i własne województwo rzucić; dalej, pozbyli się i życia w młodym jeszcze wieku, i owa panienska wraz ze starszym bratem swoim, dopokąd ją Bóg uczciwym mężem nie opatrzył, jedynie z przyjaźni ludzkiej miała przytułek. — Podobała mi się srodze owa Zuzanka, i myślałem sobie: O! gdyby mi Pan Bóg był taką sierotę nadarzył, wnet bym się jak pan pisarz Krzemieniecki na opiekuna przedstawił. Ale już klamka zapadła; panny Zuzanny na sto koni nie dogoni — próżno było sobie głowę tem zaprzętać. Atoli z owej przychylności ku siostrze, zacząłem się przypatrywać bratu i myśleć sobie: — Jeśli w pięćdzie-

siątym roku za późno pojmnować żonę, czas jeszcze przysposobić gotowego syna: a powiedzcie sami, najmilsi moi, któryżby ojciec nie życzył mieć dziedzica takiego jak Filip? Dorodny, dziarski, śmiały, otwarty, roztropny, z pokorną wiarą ku Bogu i Kościołowi Jego, z gorącą miłością dla Rzeczypospolitej, z uszanowaniem dla starszych, z uczciwością dla płci białej. — Młodzież obecna popisowała się tam jak to zwyczaj; piesze, konne wyprawiała igrzyska; my starsi, na one sztuki i biegi patrzyli; on zawsze był najpierwszy; jego strzały chłopcu, na celu trzymającemu rękę, bez obrazy pomiędzy palce przechodziły, albo gasiły przylepioną na czele świecę; oszczep zawsze najdalej dorzucił i utkwiał go gdzie zapowiedział, podkowy łamał jak łątki dziecinne; w biegu wszystkich prześcigał, w pasowaniu się wszystkich zmocował; szalonego konia tureckiego mu podali, na którym nikt jeszcze nie dosiedział; dwóch pachółków trzymało zwierza za uszy; on odrazu wskoczył nań, jak chciał tak nim rządził, i póty na nim harcował, dopokąd koń zmęczony nie stał się powolnym jak baranek. Kiedy zaruszyliśmy wszyscy na wielkie polowanie na grubego zwierza, on w lesie ubił go najwięcej, a w izbie przed białogłowami najmniej się chwalił. I nie miałem go pokochać? i nie miałem mówić w sobie: — Jemu, zacnemu młodzieńcowi, Pan Bóg odjął rodziców i mienie, ale tobie dał majątek a nie dał go z kim podzielić, komu bliskiemu po mieczu zostawić (bo wiecie, iż wszyscy żyjący Podludowscy dalekiemi są nam krewnymi, gdzieindziej osiedli, i nie mam z niemi zażyłości żadnej); powetujcież sobie te wasze wzajemne krzywdy. Lecz tailem w głębi duszy owe myśli; beczkę soli — jak mówią starzy — zjeść trzeba z człowiekiem, zanim się go po-

zna dobrze; strzeżonego Pan Bóg strzeże. — W tem, przyszła do pana Kruszelnickiego wieść pewna o rychłej wojnie na Moskwę. Pisano, jako Miłościwy Pan już jest w Wilnie, żołnierza jak najwięcej zbiera; pisano, że uchylona dawna ustawa tyle zgubna, że wojsko Rzeczypospolitej granic własnych przejść nie mogło; a mądry król chce nie tylko Połock odebrać, ale wkroczyć w kraj nieprzyjacielski i pomścić się nad dumnym Iwanem za najechanie Inflant, za zniewagę posłów swoich, i za inne krzywdy. W wieczór ta wieść przyszła; nie zmrużyłem powiek całej nocy; wiedziałem też o posłach tatarskich, którzy pokój zawarli z nami we Lwowie — bo król nasz od tego zaczął zwycięstwo, iż opatrzył, aby nie był zwyciężony — umyśliłem tedy ruszyć na moskiewską wojnę, a pierwej oczywiście jechać się przysposobić do domu. Ledwie dzień zaświtał, pożegnałem gospodarstwo i państwo młode i dosiadłem konia, zamiary moje względem pana Owadowskiego zostawując na dalsze czasy. We wrotach kiedy się oglądam, czy jadą za mną wszyscy moi ludzie? postrzegam tuż pana Filipa przy sobie na owym szalonym Turczynku, co go to ujeździł. Z razu myślałem, że to dowód uczciwości gospodarza, który polecił powinowatemu odprowadzić mnie do pierwszego popasu; aż młodzieniec mi oświadcza skromnie ale stale, iż jeżeli na to przystanę, on chce być przy mnie, chce uczyć się wojować i ojczyźnie służyć. — Nie nie mam swego prócz zdrowia i życia; oboje oddać pragnę krajowi i Waszej Miłości. — Rad byłem mu odpowiedzieć, ale jakoś słowa uwiązły w ustach; poznał jednak po mnie, że mi się spodobało co zrobił, i ruszyliśmy oba.

O tym zabawił w domu, o ile było potrzeba do zebrania dwustu ludzi zbrojnych, tak z własnych jako

z najętych, do wsadzenia ich ucziwie na koń — bom też nie chciał występować ladajako — i udałem się z nimi pod dowództwo zacnego Zamojskiego. — Znaćie wszystkie okoliczności tej pamiętnej wojny, nie tu pora opowiadania ich — ale tego wiedzieć nie możecie, i to wam winienem powiedzieć, jak się tam pięknie sprawował mój Filip. Powierzyłem mu najprzód dziesięciu, dalej dwudziestu, nareszcie stu ludzi; rządził nimi gdyby doświadczony; w ogniu, w wszelakich wycieczkach zawsze był przy mnie; mężnie swój żywot kładł i krwi nie żałował zyskując sobie własną zasługą tytuł rotmistrza, który mu nadałem, a który sam Zamojski już wtedy hetman potwierdził. — Kiedy skutkiem — podobno niefortunnych namów legata papieskiego — zawarty został zawczesny pokój z Moskwą — gdyż należało, jak chciał mądry król, gnębić coraz bardziej upokorzonego wroga — kiedy mówię nasz Pan Miłościwy, w nagrodę moich wysług podkoniuszym swoim mianować mnie raczył, mój pan rotmistrz zamiast jechać do siostry, pochwalić się przecie przed swemi, wolności, młodości użyć, odprowadził rotę naszą do Studzienicy; jeździł ze mną po całej Litwie i Koronie, wszelkie trudy dzielił i osładzał. Nakoniec, w owej zbójcekiej napaści za powrotem z Carogrodu, kiedy już grób swój widział i tylko Boga prosił, żeby nie pamiętał na grzechy moje, i na ową młodzieńczą znowę naszą, on, którego właśnie srodze związano, zerwał pęta nadludzką siłą, przypadł do mnie i wybawił mnie od pewnej śmierci. Rozpierzchli się zbójcy, ja głowę mając rozplataną straciłem przytomność; gdy przyszedł do siebie, obaczyłem go klęczącego nademną, dybiącego na powrót mój do życia. I dokonał tego co zaczął staraniem swoim; po trzech dniach spoczynku w mia-

steczku Biegarazar i opatrzeniu rany przez tureckiego lekarza — a mają wybornych — jużem prawie był zdrów, i puściliśmy się w dalszą podróż. W drodze myślałem sobie: — Przyszedł czas dokonania dawnego zamiaru. Przyjechawszy tedy do Lwowa, złożyłem w katedrze na ołtarzu Matki Boskiej czaszkę szczerozłotą jako *votum* za ocalenie mojej, a w skarbcu kościelnym tyle srebra, ile najcięższa polska głowa zaważyć może; z poradą zaś mądrego prawnika napisałem testament, w którym co mam i co mieć mogę, zapisałem Filipowi, jako memu przysposobionemu synowi i wybawcy. Oto jest ten testament. I tu wyjął z zanadrza zwój pergaminowy; Kochanowscy oboje drgnęli na ten widok i zawołali: — Schowaj! schowaj! — Testament jeszcze nikogo nie umorzył — powiedział wojak z uśmiechem i tak dalej rzecz swoją prowadził:

— Napisawszy ten testament, któremu brak jedynie podpisu trzech świadków, zaczęło mnie korcić w duszy, iżem takowym zapisem skrzywdził was, pani siostrzo, na którą część mojego spadku przypadła z prawa po mojej śmierci; kiedy nagle przyszło mi na myśl — a może też to od Boga było natchnienie — żeby nagradzając tę niesprawiedliwość ożenić mego dziedzica z waszą pierwsorodną. — Dzieckiem prawie była Ewulka, gdy ostatni raz był u was, ale już żwawa, roztropna, wdzięczna; droga mi wreszcie była od pieluch dla samego imienia swego. I powiedziałem to natychmiast memu Filipowi. Przypadła mu do smaku owa myśl; serce jego jak obóz opuszczony było do wzięcia; po mnie, i po siostrze, konia Turczynka jedno kochał; mężczyźnie zaś w czwartej siódemce żona właśnie się godzi. Wyprawiłem tedy konie do Grodna, a sam tu postanowiłem zboczyć z Filipem.

Gdyśmy dojeżdżali do Lublina, przysłała mi myśl może dziwna — alem nasłuchał się nie mało takowych przygód w bajkach tureckich, które mi rozpowiadano gdym był chory — i powiedziałem Filipowi: — Wiesz ty co, przebierz się ty i odmień jako, i jedź do Czarnolasu w miejscu sługi, któregom miał do pana Jana wyprawić. Obaczysz sam w rzetelnej prawdzie i dziewczekę, i rodziców i dom, pogadasz z czeladzią a od niej sąd bywa o pannach najlepszy. Jeżeli ci się wszystko spodobą, jeżeli dziewczeczka wpadnie ci w oko będziemy rzecz forytować w przyzwoitym czasie i miejscu; jeżeli nie — damy wszystkiemu pokój; cały ten mój zamiar wpadnie jak kamień w wodę; bo ja nie dlatego ci zapisał co mam, żebym męża dla siostrzenicy kupił, ale dlatego, że cię ukochał jak syna. — Młodemu żołnierzowi do fortelów wojennych przyzwyczajonemu musiała taka myśl trafić do smaku. — Ubrał się w suknie starego Iwanuszki mego nadwornego kozaka, który pozostał w Lublinie, ja mu przyklepił ów plaster okropny, jak gdybym go na szpiega do nieprzyjacielskiego obozu wyprawiał; przybył tu i wzbudził waszą ciekawość jakoście o tem już natręcali ze śmiechem parę razy, a jam was zawsze zbywał. — Przybył — i od tego wieczora wasza dziewczka zajechała mu w serce; już przy pacierzu ślub uczynił przed Matką Boską — którą zdawna za matkę sobie obrał — że jeżeli ręki Ewy dostąpi, w miesiąc po weselu zostawi ją, a sam pi-szo, bez szabli i służby pójdzie do Jasnogóry; od tej pory dziewczę codziennie bardziej, gorzej Tatarzyna na niego najeżdża, już nie tylko do Jasnogóry, do Carogrodu przez Bałkan poszedłby piechotą, byle kiedyś żoną mu być mogła; nadarzyła się mu odrazu jej uroda, jej mowa, jej obejście; nadarzyli

mu się rodzice, dom, wszystko; ale jak to bywa podobno zawsze przy prawdziwej miłości, zdaje mu się, że ona go nie lubi, że wy go nie chcecie; pan Franciszek solą mu w oku; wczora cały dzień chodził jak szalony, dziś, całej nocy nie spał i mnie spać nie dał; u nóg mi leżał prosząc, żebym zakończył jego cierpienia; znieść niepewności nie może, i ja przy nim; wóz czy przewóz, czarne czy białe, chcemy wiedzieć wszystko odrazu. Jeżeli moje oświadczenie wam ku myśli, tedy powiedzcie; jeżeli nie — tedy i tego nie tajcie, nie owijajcie w bawełnę; ale nie weźcie nam za złe, jeżeli dziś natychmiast, pełni smutku odjedziemy. Ni on, ni ja żadnego wiana z waszą Ewą nie chcemy, jedno niej samej, jedno jak będzie można najprędzej. Gdyby się pobrali, niczego potrzebować nie będą oboje; dam im zaraz Studzienicę, pani młodej tysiąc złotych wypłacę na szpilki; sam posłużę jeszcze parę lat królowi, a potem osiedę przy nich; będą cieszyli duszę moją i żywili starość, i da Bóg jeszcze ich syna gonić Tatarów nauczę.

Umilkł zmęczony i rozrzewniony wojak, Kochanowski, który w czasie całej jego mowy spoglądał często na żonę, i rozmawiał z nią oczami, tak po chwili przemówił: żona zaś odpowiadała prawie każdemu słowu jego, to ustami, to skłonieniem głowy, to westchnieniem lub uśmiechem:

— Oświadczenie twoje, kochany bracie, jakkolwiek nagle j przejąć nas zrazu musiało, nie może być przecież jedno miłe i pochlebiające dla nas rodziców, ile że podaje sposobność ścieśnienia jeszcze mocniej przyjaźni naszej; jednak zataić ci tego nie możemy; odpowiedzi prędkiej mieć nie będziesz, bo jest przeszkoda. Nie wspomnam ja wcale o tem, iż byłoby wielką boleścią dla

sere naszych, pozbawić się tak rychło i niespodziewanie pierworodnej dziewczki naszej, która matce i w gospodarstwie i w wymowie młodszych sióstr jest nieposlednią pomocą. — Matka i ojciec rodząc i hodując dziatki wiedzieć powinni, że nie dla siebie je rodzą i hodują — pomijam więc naszą acz ciężką ofiarę, ale jest ważniejsza okoliczność. Obiecaliśmy Ewę bratowej naszej pani Kacprowej dla jej syna jedynaka Franciszka; nie było wprawdzie zrękwini, uroczystego przyrzeczenia, ale zacna białogłowa widzi już w dziewce naszej przyszłą synową, i na tych widokach całe szczęście swoje buduje. Nie możemy więc przyjąć oświadczenia twego, dopóki jej się nie zwierzymy i ona nas nie uwolni. Musimy także dowiedzieć się woli dziewczki naszej; boć rodziców jest obowiązkiem obmyślić los dziatkom, im zaś wybór zostawić...

— Ależ wy sami — przerwał Podlodoski mocno zmieszany słowami przyjaciela — wy nic przeciw memu chłopakowi nie macie! powiedzcie otwarcie, w tej chwili tego tylko chcę się dowiedzieć? — Nic! — zawołali razem oboje — nic, prócz tego, żeby nam uwiózł daleko naszą dziewczkę; aleć to już takie rodzicielskie przeznaczenie. — Tom już prawie pewny wygranej! — zawołał z radością podkoniuszy ściskając siostrę i przyjaciela — boć nie sposób, żeby dziewczę przeciw nam było? z przeproszeniem waszem, gdzież panu Franciszkowi z moim Filipem się mierzyć! Zawołajcież jej i spytajcie się zaraz; skoro waszej i jej dobrej woli pewni będziemy, łącniej nam przyjdzie poczekać na panią Kacprową. — A pomówiwszy jeszcze równie otwarcie i serdecznie, odszedł w głąb sadu, gdzie czekał na niego młodzieniec, rodzice zawołali Ewy.

Właśnie co dokończyła była ubioru na ten dzień. Zimna kryniczna woda, którą oblała obficie twarz, szyję i ręce nadała jej świeżość kwiatu skropionego deszczem wiosennym, wesołość i zwinność ptaszka, co się rannej rosy napił. Z wymuskanej świeżo głowy rozjaśnionej równym i czystym przeborkiem, spadały po obu stronach dwie krucze kosy splecione, związane u końca czerwoną wstążeczką; kabat ciemny z gładkimi rękawami kształł foremny odznaczał, sute białe krezy osłaniały szyję łabędzią, czarne półbótki nogę ścisnęły. Przybiegła pędem jak zwykle na każde zawołanie rodziców, a widząc ich pierwszy raz w tym dniu, skłoniła im się do nóg, pozdrawiając ich i oddając Bogu.

Opowiedzieli jej rzecz całą. Za pierwszym ich ustotworzeniem, nim jeszcze wymówili zwyczajne w takim razie słowa: — Już się córko, dosyć u nas chleba najadła, dosyć lnu naprzędła, czas ci iść na swoje, ona już zgadła była, nie tylko o czem, ale i o kim mowa; a wstyd paniński oblał jej jagody. Stała przed niemi spuściła oczy, a kręcąc nielitościwie długie uploty słuchała w milczeniu. Jak przyszło do okoliczności rozdzielania się rychłego i już na zawsze, przeniesienia się w głąb dalekiego Podola, trysnęły z jej spuszczonej oczów dwie duże łzy, ale się wstrzymały na długich czarnych rzęsach. — Skończywszy o panu rotmistrzu i nie bardzo nawet się rozwodząc nad korzyściami tego zameżcia i nad przymiotami młodzieńca, Kochanowscy powiedzieli córce, iż jakkolwiek jej o tem wyraźnie nie wspominali, teraz wiedzieć powinna: jako i pan Franciszek pragnie również i od dawniejszego czasu, dożywoćniej jej przyjaźni; tu już szeroko jej wyłuszczyli wszystkie przyjemności, jakieby dla niej i dla nich spłynęły

z tak bliskiego sąsiedztwa, wszelkie zalety pani Kasprowej, wreszcie życie spokojne, dostatnie, pewne, jakiego żona dziedzica Policzny spodziewać się mogła; zapewnili ją nareszcie, iż jednakie błogosławieństwo rodzicielskie ją czeka, bądź tego, bądź owego wybierze; gdyż zasłużyła sobie na ich łaskę, karnością, posłuszeństwem, pracowitością i przywiązaniem.

Na te ostatnie słowa Ewa rzuciła się do nóg ojcu i matce, łzy długo wstrzymywane spadły, złożyła dłonie i rzekła: — O mój mocny Boże! czemuż to nie pan Filip w Policzny! — a to powiedziawszy zapłakała na głos.

Domyślili się rodzice co znaczyła owa uboczna odpowiedź, przecież zażądali wyraźniejszej, ile że ciągle płakała. Uspokoiwszy się cokolwiek i kryjąc twarz rękami, to im powiedziała w przerywanej mowie: — Za pana Franciszka poszłaćby, gdyby jej koniecznie rodzice kazali; i zna to dobrze, że Policzna blisko, a pani Kasprowa żywy anioł: chociaż zdaje jej się w tej chwili, że wolałaby daleko pójść z Ludwiną do klasztoru. Co do pana rotmistrza... to gdyby tylko kto ją zapewnił, że się potrafi odtęsknić, możeby się i odważyła... Bo ja i pana podkoniuszego bardzo kocham — dodała z pospiechem.

Po cóż o więcej dopytywać się miano? jasną było rzeczą, że przemówiło i jej serce, że budzić się w niem zaczyna uśpione dotąd a najpotężniejsze uczucie, co jedną wolę we dwóch osobach czyni — co taką jest rękojmnią szczęścia, kiedy prawe i przyzwoite małżeństwo uświęcić je może. — Oboje tedy Kochanowscy, już nie chcąc nawet dowiedzieć się więcej, zaleciwszy córce: żeby nikomu, ani Ludwinie, ani Nastce nie mówiła i słowa o tem co jej powiedzieli, żeby z panem Filipem starała się być jak przez tamte dni, i żeby dobrze o tem pa-

miętała, iż on bez pozwolenia pani Kasprowej nie będzie jej mężem, kazali jej odejść, a sami rozmawiali jeszcze chwilę o tej całej przygodzie, jak to małżonkowie zgodni i kochający rozmawiać umieją, zwłaszcza kiedy o los dzieci idzie.

Ale wnet przerwała się ich rozmowa; ujrzeli skradającego się Podlodowskiego z synem. Młodzieniec padł im plackiem do nóg; oni mu powtórzyli to co i bratu; objawionej skłonności córki lekko dotknęli, od pani Kasprowej wszystko zawisłem czynili; przecież nie mogli przeszkodzić temu, że najśłodsza nadzieja ogarnęła serce uszczęśliwionego Filipa, i że podczas rannych modlitw ponowił ślub przed tygodniem uczyniony i obostrzył go w taki sposób: iż obiecał Najświętszej Pannie pójść do Jasnogóry dwa kroki naprzód, a jeden w tył, suszyć soboty przez całe życie, byle mu pomogła do rychłego otrzymania ręki, tej co kochał.

ROZDZIAŁ VI.

„A straciłśmy nie tak brata, jako własnej ojca“.

Przy pogrzebie rzecz.

— Tak, bratku — mówił pół głosem i pół żartem Kochanowski do Filipa, siedząc z Podlodowskim i żoną tego samego dnia pod wieczór w ganku — wiem ja dobrze, jaką to jest niewymowną uciechą służyć tej, która nam serce podbiła? ale nie dałem ci dziś iść z naszymi dziewczkami, pomagać im; a raczej przeszkadzać do siania owego lnu, bo wiem, żebyś nie wytrzymał i powiedział

jakie niepotrzebne słówko Ewie, któreby ludzie usłyszeli; a ja powtarzam po raz dziesiąty; nie chcę aby ktokolwiek w domu o naszych zmówinach wiedział, dopokąd się nie zwierzę pani Kasprowej, i nie otrzymam jej przyzwolenia. Inaczej, wątpiłbym o błogosławieństwie Bożem nad wami — i nad sobą — przydał z uczuciem.

— Święta prawda! — domówiła Kochanowska przestając prząść na chwilę z kądzieli, którą obyczajem podolskim wetknęła sobie za pas — co jednemu śmiech, to drugiemu płacz na tym świecie. Wasza dzisiejsza radość, panowie, będzie jak piorun z nieba na tę zasną białogłową; a jeszcze chore nieboże, od dwóch tygodni łożkiem się bawi.

— Ja mam wielkie obowiązki względem tej naszej bratowej; wiecie dobrze, przyjacielu — mówił dalej Kochanowski — myślałem ciągle: Ewą to wszystko splecę, ale kiedy rzeczy niespodziany obrót biorą, kiedy w córce najmniejszej ochoty do zastawienia się za ojca nie widzę, kiedy przyjdzie ją zmartwić, starajmyż się przynajmniej nie obrazić jej, nie uchybić. Gdybyśmy jedno dali do poznania tu komu, o tem co dziś rano między nami tu zaszło, jeszcze przed nocą — gdyż znacie rychłość doniesień służebnych — pani Kasprowa wiedziałaby o wszystkim; i więcej niż my wiemy, bo o zupełnej pewności, o dniu zaręczyn i wesela; i gotowaby w ciężką zapaść chorobę. Rzecz wiadoma, złe wieści mają skrzydła. A pięknażby to była zapłata dobrodziejstw nieboszczyka brata, onego drugiego ojca... Bo trzeba ci wiedzieć, panie rotmistrzu — a jak się dowiesz dziwić się mi przestanieś — lepszego brata jak był świętej pamięci pan Kasper nie znalazłbyś, choćbyś przetrząsnął całą Litwę i Koronę; chcąc przytoczyć wszystkie prawa jakie

on ma do wdzięczności mojej, żywot mój cały opowie-
dziećby należało. Bo i o tem nie zawadzi. żebyś wie-
dział kiedy w naszym domu szukasz żony — i tu lekki
uśmiech złagodził rozrzewnienie, jakie tamte słowa wzbu-
dziły — Kochanowskim oddawna Bóg udziela błogosła-
wieństw swoich w licznym potomstwie; i jeśliś pragnął
kiedy w postanowieniu twojem majątności i skarbów,
złeś trafił, panie rotmistrzu, u nas zawsze bywało wię-
cej dziątek niż wiosek. Mój dziad wprowadzie — bo Ko-
chanowscy oddawna rymują — tak był wymienił i opi-
sał swoją chudobę:

Jasieniec — jak wieniec,
Na Baryczy — ryb nie zliczy;
Sycyna — da nam wina,
A Czarnolas — wyżywi nas.

ale do tych czterech wiosek było pociechy dziewięcioro:
trzy córki i sześciu synów: Piotr mój ojciec, Jan, Wit,
Filip, Tomasz, i kochany nasz pan Dobiesław, co jeszcze
dzięki Bogu, doprzedza szanownej starości swojej w oj-
cowskiej Baryczy; i muszę cię zawieźć do niego jeżeli
już cię losy przeznaczyły na naszego zięcia. U moich
zaś rodziców jak widzisz u nas sześć dziewcząt, tak tam
byliśmy sześciu chłopców; było wprowadzie i dziewcząt
cztery, ale pomarły w panieństwie i jedna tylko zameż-
cia dostała. Z owych sześciu chłopaków, Kasper był
najstarszy, a ja zaraz po nim. Matka — która tam za-
pewne samem rodzeniem dziątek według słów Apostoła,
zbawiona być musi — co jedno dziecię porodziła i wy-
karmiła, natychmiast Pan Bóg dawał drugie; rośliśmy
koło rodziców jak latorostki koło sprawiedliwego w psalmie;

Ojciec siedział za swym stołem,
A dziateczki stały kołem:

By w bujnym sadzie zielone
Oliwki nowo sadzone.

Ale Kasper ledwie miał lat dziewiętnaście, a Piotr najmłodszy jeszcze wisiał u piersi macierzystych, kiedy po niedługiej chorobie umarł nasz zacny ojciec, nie mając więcej nad lat sześćdziesiąt siedm. Bym żył wiek cały nie zapomnę tej chwili i okropnej boleści ukochanej matki. Tyle dziątek, majątność szczupła a zawikłana, gdyż, były różne zajścia nie ze stryjami, broń Boże — Kochanowscy z dawien dawna żyli zgodnie między sobą — ale z ciotkami, a raczej z pociotami, i z ich dziećmi. Dąbrowscy, Mysłowscy, Sienińscy, w które to domy powychodziły trzy siostry mego, ojca słuszne i niesłuszne rościli sobie prawa do majątku naszego. Spór był nierozstrzygnięty, a wszystko na karku niebogiej wdowy, która własnego żalu i kłopotów domowych miała wyżej głowy, i nad siły niewieście. Snadź, Bóg miłosierny natchnął duchem swoim naszego Kaspra i odział go mężstwem. — W kilka dni po śmierci ojca rzucił się do nóg płaczącej matce, i powiedział. — Nie płaczcie, pani matko, Bóg da będę ja waszym i rodzeństwa obrońcą; jedno zasilajcie mnie radą i modlitwą waszą. — Jak powiedział tak uczynił; stał się odrazu dojrzałym i doświadczonym mężem; wszelakie trudności, prace i frasunki co pospolicie na wdowę i na sieroty przypadają, wziął na siebie; użył czujności, niespania, mozołu, lecz tak dobrze wszystko sprawował, iżśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku nie ponieśli; nie tylko nam chudobę w całości zachował, ale i przyjaźń powinowatych i sąsiadów; obeszło się bez sporów prawnych, bez przysiąg, których kochana matka gorzej śmierci się bała; i do dziś dnia z jego łaski żyjemy zgodnie z licznymi

pokrewnymi naszymi. — Matka odtęskniwszy się nieco po mężu, mogła przy takim synu pędzić dalszy wiek spokojnie. Urodziwy, zacny, mając nie tylko laty, ale roztropnością, wymową, pierwszeństwo nad nami wszystkimi, nie chciał on nigdy rzucić ni domu, ni powiatu swego, rodzeństwo forytował między ludzi, sam siedząc w ukryciu. Mnie szczególnie, którego kochał najlepiej i w którym upatrywał jakieś osobliwe dary niebios, mnie zapragnął ujrzyć na świeczniku, i ku temu wraz z matką żadnych ofiar nie szczędził. Nie dosyć było dla Janka szkoły wiejskiej założonej od dziada i ojca w Policzny, nie dosyć na zacnym nauczycielu księdzu Macieju z Zalesia, mężu głęboko uczonym w wierze, w łacinie i w poezyi, wyprawili mnie na dwór wielkiego hetmana i muz opiekuna Tarnowskiego, gdzie się przyjaciela znalazło, świata trochę poznało...

— I wojaczki — przerwał z uśmiechem Podlowski — a bitwa pod Tarnopolem, a strzała Tatarzyna?

— Zaprawdę — odrzekł żwawo Kochanowski — lubię wspominać sobie te dwie okoliczności. Kiedy słyżę o przykładach męztwa waszego i innej rycerskiej braci, miło mi przypomnieć sobie, że i moja krew płynęła w potrzebie za ojczyznę; ból w owym czasie tak srogi dziś mi się wydaje jakby uciechą, ciężka strzała Tatarzyna miłsza od niejednej złotej strzały miłości. — Przypatrzo się, panie rotmistrzu, jest ci jeszcze ślad oczywisty mojego męztwa, i dalipan, na poetę, to dosyć. — Tak mówiąc wyciągnął krótką szyję, uchylił żupana, wyjął spinkę od koszuli i pokazał Filipowi znakomitą bliznę. — Nie zgadlibyście tego, bratku! a gdyby nie przygody nieszczęśliwe pana Jakóba i odjazd jego do Studzienicy, byłbym mu ciągle nieodstępnym i może

tak dzielnym żołnierzem jak on. Ale do Koryntu przyjsć nie każdemu snadno, inaczej chciał on brat pocziwy, co sobie i matce w głowę włożył, że ja nie tylko mużę polską wsławię, ale będę słupem i światłem Kościoła, i szerzącym się nowościom w wierze silną stawię zaporę. Trzymali mnie tedy lat parę na akademii krakowskiej gdzie byli wtedy zawołani mistrzowie, do których i cudzoziemcy jeździli. Lecz właśnie w owym czasie, nauka z Niemiec i Genewskie kazania zaczęły brać górę między krakowskimi studentami, głośno już powstawali na papieżników — jak nazywali synów prawego Kościoła. Matka i brat zlekli się tedy bardzo, by się we mnie nie zachwiała stara wiara; choć ja tam w życiu mojem siłam błądził, młodość i krew bujna nie raz mnie uwiodły, i nie mogę się pochwalić, abym zawsze namiętności gasić w sobie umiał — ale zawdy się strzegł wywodów religijnych, i nigdym tyle nie tuszył o własnym rozumie, abym miał prawo dosięść głębokich tajemnic Boskich; com raz obiecał na chrzcie Panu Bogu, czego mnie ksiądz Maciej nauczył, com w domu rodzicielskim widział i słyszał, tegom się trzymać postanowił i tego się trzymać pragnę, dopokąd duszy w ciele. Matka i brat nie ufali mi jeszcze tyle; a znając do mnie nie małą żądę sławy, odznaczenia się między ludźmi, bali się, żeby mnie nie pobudziły do kacerstwa — jak wielu innych — owe podstępne pochwały; oto mi głowa — nie dla kształtu! oto człowiek nad ludzi! nie wierzy jak księża, nie za panią matką pacierz. I wysłali mnie własnym kosztem do Włoch, wytrząsnąwszy dobrze pierwej wszystkie domowe wacki, mieszki, garnki i kryjówki, tak, że grosza nie zostało; rzecz też to była na owe czasy bardzo rzadka; jeździli już wprawdzie do cudzych kra-

jów synowie pańscy, jeździli i ubożsi wyższe zdatności mający, ale kosztem zamożnych mecenasów, albo też królewskim. — Największemi ofiarami utrzymywali mnie przez lat siedm w Rzymie, w Padwie, w Paryżu. — Jeżlim między temi dalekiemi narodami, może oświeciszemi od nas, ale też nierównie więcej zepsutemi, nie zбочył zupełnie z toru cnoty, nikomu jedno Kasprowi i matce tom winien. Ich listy i upominki przez każdą sposobność przesyłane, były dla mnie jakby głosem Boga, który mnie prowadził, wstrzymywał; a w to pani matka bez pana brata nie byłaby poradziła, nie umiała pisać; podawała więc tylko słowa pełne mądrości Kasprowi, a on je nadobnie układał. Wreszcie, i tom jeszcze mu winien, że śmierć tej najlepszej i nieodżałowanej dotąd rodzicielki nie nabawiła mnie ciężkiej choroby. Spełniło się było to srogie nieszczęście, już on ją złożył w grobie ojcowskim, a mnie tylko napisał, iż słabą się czuje i wezwał mnie do przyjazdu. Czas też było wracać, ile że choć nie raz w twardym niedostatku, anim myślał o miłym do kraju powrocie. Gościłem wtedy w Paryżu, uwikłany w pętach szalonej miłości; jeden tylko przyjaciel, zacny Ossoliński ratował mnie od rozpacz: Paryżanka piękna, wabna, uczona, zalotna... prawdziwa miejska Greta, chociaż jej Lidya było na imię...

— Nie bardzo tam o tem, panie mężu — przerwała z przymuszonym nieco uśmiechem Kochanowska — nieboszczyk pan Kasper nie w tem nie miał, a panu rotmistrzowi mówić takie rzeczy, niema żadnej koniecznej potrzeby...

— Dawne to już czasy, pani żono — odpowiedział Kochanowski — dwadzieścia lat i kilka, a trudno tych win zataić; ośpiewałem dosyć ową czarodziejkę Lidyę

w moich łacińskich elegiach znanych całemu światu. Ja nie chcę uchodzić przed nikim, ani dziś ani w potomności, za lepszego jak byłem, jak jestem... I wreszcie cóż ja temu tak bardzo winien, że lubo matka i brat nakłaniali mnie do stanu duchownego, jam ani kęs powołania nie miał...

— I zawsze mnie licho ciągnęło do zakonu św. Adama, jak teraz mojego Filipa — wsunął wesoło Podlodowski — zbawienny to także zakon, bez niego ród ludzkiby zaginał...

— I całe moje nieszczęście — odrzekł żwawo zaczepiony — iżem od razu mojej Ewy nie napotkał. — Przecież — dodał po chwili poważniejszym już głosem — wróciwszy do kraju zdjęty srogim żalem, iżem już matki nie zastał, chciałem na gwałt księdzem zostać i na wsi się zamknąć; zrobiliśmy dział majątku, mnie się dostał Czarnolas, a raczej ustąpił mi go kochany brat, widząc jak tę wioskę wysoko cenię; wyrobiłem sobie probostwo Zwoleńskie i chciałem samotne życie spędzić niedaleko grobu rodziców, wśród ksiąg. Księdza Macieja z Zalesia dawnego nauczyciela uczyniłem moim wikarym, przywdziałem rewerendę; a żem nagle wszystkich święceń nie wziął i tom jeszcze winien kochanemu bratu. On ciągle rodzeństwem zajęty, a dumny i uradowany mojem powodzeniem za granicą, sławą jaką mi wiersze moje łacińskie zyskały, przyjaźnią Manucusza, Karola Sygoniusza, a nadto poufałością z Myszkowskim, Ossolińskim, Radziwiłłem, Górnickim, Fogelwederem, i innymi, których to wszystkich w obcych krajach szacunek sobie zjednałem, namówił mnie, żebym się nie zagrzebywał na wsi, żebym jeszcze ostatecznie księżej sukni nie oblekał, i żebym się dał poznać u dworu. Już mnie tam zapra-

szał Filip Padniewski pod ten czas kanclerz koronny, biskup krakowski i wielki mój łaskawca. Pojechałem. Wtedy już pisma urzędowe zaczynano pisać po polsku, gdyż król nieboszczyk bardzo w języku ojczystym smakował, ale zawsze potrzebna była koniecznie w komorze królewskiej niepospolita biegłość w łacinie. Mogłem jej nabyć siedmioletniem obcowaniem z uczonymi całego niemal świata; zalecił mnie przeto Padniewski królowi i wnet otrzymałem urząd sekretarza Jego Król. Miłości, wraz z panem Łukaszem Górnickim. Wtedy dopiero przy boku i za łaską takiego pana, co i pieśń, i wino i miłostki lubił, użyło się świata; z Anakreonem w rękę, pisało się i robiło *Fraszki*...

— I kochało się znowu — szepnął Podlodowski.

— I nie w jednej — nie stronił ja nigdy od biało-szyjek. A dalipan, nie wiem czy kiedy na dworze polskim widzieć się dało tyle cudnych pań, i panien dworskich, co na dworze nieboszczki królowej Katarzyny, i czy był gdzie snadniejszy przystęp a lepsza pogoda do grzechu? Król August, już nie żył dobrze z tą świętą panią a trzecią już żoną swoją, nie miał wprawdzie do niej jedno, że bardzo otyła była, i dzieci nie rodziła; zamyślał już o odesłaniu jej do Wiednia i o rozwodzie. Nie jedni tedy rodzice, pamiętni wyniesienia Barbary Gastoldowej, pod różnemi pozorami przywozili córki, tam gdzie król bawił, mnie samemu wpadła strasznie w oko jedna z panien dworskich królowej, kasztelanka Sieradzka...

— I znowu — mruknęła Kochanowska — na jakież ziółko stąpiliście dziś, mężu, co odgrzebujecie jakby z umysłu stare i zapomniane grzechy?

— Nie znałem was, Hanno moja, ani rzetelnego szczęścia — odpowiedział — to jedyna, wielu szaleństw

młodości wymówka; a w żalu jaki ważniejsze we mnie wzbudzają, w otwartości, z jaką pomniejsze wyznają, jedyna nadzieja, że je Bóg miłosierny wygładzi zupełnie ze swojej pamięci. — Ale bo dalipan owa Hanna Konięcpolska urodziwa była i nauczona białogłowa; szyja śnieżna, włos złoty, jako gwiazdy oczy; syreną byś ją był nazwał kiedy śpiewała przy lutni; Palladą, kiedy w niewieściej pracy cuda wyrabiała igłą; podbiła sobie biednego poetę. — Skoro szary szlachcic zacznie przedstawiać z bławatnymi pany, przyśniwa mu się łatwo, iż i on w złocie będzie chodził. Sławiłem ją rzymskimi i słowiańskimi pieśniami, wieszałem wieńce u jej drzwi, wszędzie za nią chodził, i ona mile na mnie patrzyła, nie szczędząc słów łaskawych. Jużem tedy sądził, że nie wzgardzi niskim progiem moim, jużem jej śpiewał o starej lipie co jej wygląda z za boru, i o innych Czarnolasu pięknościach. Właśnie biskup Myszkowski następca Padniewskiego, u którego moja polska muza, twarz dziwnie wdzięczną znalazła, wyjednał mi był probostwo Poznańskie; pomyślałem sobie: Zrezygnuję duchowne łaski, o świeckie prosić będę, i ożenię się. — Aliści zalotna kasztelanka, zwyczajnie dworki, odrzuciła ze śmiechem szczerą ofiarę moją; a kiedym jeszcze nad jej zdradą płakał, ona już oddała piękną rękę Czyżowskiemu, kasztelanowi bełzkiemu, z którego nieraz śmiała się przedemną, że brzydki, stary i głupi — ale pan i bogaty.

Takim trzeba ustąpić — bo przekłete dary
Przeważą winną pamięć i stateczność wiary.

Ustąpiłem więc; a dostawszy takiego odkosza, w smutku i upokorzeniu mojem gdzież miałem szukać pociechy, jeżeli nie u brata? On właśnie postanowiwszy braci

wszystkich i siostrę, pojął był zącą pannę z sąsiedztwa, pokrewną naszą i żył z nią szczęśliwie i użytecznie w swojej Policzny; nie zawierając bowiem uczynności swojej i miłosierdzia we własnym rodzie, był opiekunem wdów i sierot całego niemal województwa, pozyskał sobie powszechny szacunek i urząd pisarza ziemi Sandomierskiej. — Janie — powiedział mi, po kilku dniach przypatrywania mi się i badania pilnego a smętnego — bo prawdę rzekłszy, lata spędzone u dworu szarpnęły mi były niemało sił i zdrowia — Janie, krew Kochanowskich w tobie: życia spokojnego w uczciwej mierności ci trzeba. Jużes kosztował wszystkiego i nie cię nie zaspokoiło; pierwsza młodość uciekła, a szczęściaś nie znalazł. Ani zbyt wesołe życie dworskie, ani świętobliwy żywot kapłański nie dla ciebie; korcić cię też także muszą i bogate dochody, które bez prawa pobierasz; pozbądź się ich, zostań przy swoim. Zaniechaj królewskich i pańskich podwojów, weź żonę równego stanu, oddaj się muzom i ziemiaństwu; osiadź w ojczystym Czarnolesie, a będziesz zdrów i szczęśliwy. — Jakby mi kto bielmo zdjął z oczu, gdy te jego słowa usłyszał; zdało mi się jakbym się narodził na nowo, jakbym pierwszy raz prawdę zobaczył, jakby mi kto raj ziemski otworzył. — Na próżno król nieboszczyk chciał mnie koniecznie zatrzymać przy sobie, roczną płacę mi wyznaczył, postarał się o to, by mnie opatem sieciechowskim obrano; napróżno najpierwsi i najzaciejsi panowie ciągnęli mnie na świecznik; słowa brata większą miały wagę, pewniejsze wróżyły mi szczęście. — Za radą jego wystawiłem sobie ten oto dom obszerny i wygodny, i dałem mu na zapis modlitwę, którą Bóg miłosierny spełniać raczy; potem zaś zacząłem myśleć o żonie.

Brat mi przypomniał jako równie kochany przyjaciel ma siostrę w wieku zamężcia; on mi ją zmówił, on był moim swatem, moim dziewosłębem; a skorom poznał ową prawdziwą bogdankę, skorom się z nią ożenił, przekonałem się: że jeżeli do Lidy wiodła mnie miłość młodzięcza, miłość zmysłowa, jeżeli do Hanny Koniecpolskiej nęciła mnie miłość dumna i próżna, obcą była sercu mojemu, trzecia a najlepsza: miłość cnotliwa; ta jedna wieczysta i szczęście dająca, ta mnie spoiła z żoną i coraz ściślej jednoczy. Ale gdzież jest owa ozdoba moja, podpora domu, towarzysz najlepszy? znikła...

I w rzeczy samej Kochanowska przewidując, iż przyjdzie kolej na te pochwały odeszła przed chwilą; pozorów i przyczyn jako dobrej gospodyni braknąć nie mogło; ile, że się zbliżała godzina wieczery a od czasu przyjazdu brata, za każdym zastawieniem stołu nowy przysmak był podawany.

Kochanowski rad na ten raz nieobecności żony z większą swobodą i tkliwością o niej, i o szczęściu swoim domowem mówić zaczął. — Nigdy my z sobą — powiedział nakoniec — żadnych rozterków i niesnasków nie mieli; nigdy nikt nie słyszał, abyśmy się na dzień jeden, gdzie tam — na godzinę z sobą pogniewali. Nie wiem nawet czy jej uroda w czem się odmieniła; zawsze mi się taka cudna widzi jak w dzień ślubu; bo cnoty żony piękną ją czynią w oczach mężowych, i wdzięczną w samej nawet starości... I widzisz, panie Filipie — dodał mocno wzruszony — ilem to ja winien bratu. — Ale czekajcie, nie dopowiedziałem końca. Skutkiem niedocieczonych boskich wyroków, ów brat ukochany, młody jeszcze i tak na tej ziemi potrzebny, zapadł na ciężką chorobę i już z niej nie powstał. Mnie,

umierając zdał opiekę nad żoną i dziećmi, mnie powiedział: Umieram spokojnie, zostawiam im ciebie. — I małż to są obowiązki moje względem tej zacnej niewiasty, tej świętej prawdziwie wdowy, która do dziś dnia, po siedemnastu leciech dochowuje wiary mężowi i ani z myśli, ani z ciała żałoby jeszcze nie zdjęła. Straciła wszystkie dzieci, jeden tylko Franciszek jej został; ani go też wypuściła z rąk; w trzecim ledwie roku odsadziła go od piersi, pieściła, dogadzała nad miarę, dawała jeść i pić co jedno chciał, a on też rósł i tył, gdyby w karmniku. Broń panie Boże, różgi, kary, nauki, lub roboty jakiej; nie tylko same igraszki, zabawy a psoty i próżniactwo. Gdy się mu na ósmy rok obracało i widziałem z żalem, iż mimo obietnic pani bratowej; żadna odmiana w jego wychowaniu nie zachodzi, pamiętam, powiozłem mu książkę piękną łacińską z abecadłem i z modlitwami, i powiedziałem, że przyjeżdżać będę go uczyć — albo też brać go będę do siebie. Nuże chłopiec w płacz i w krzyk, a biedna matka: Dajcież pokój Franulkowi — będzie chorował, co on też posłyszawszy, gdym go tylko do książki namówić chciał, wrzeszczał w niebogłosy: — Będę chorował, będę chorował i tak się gracko wywijał, iż do dwunastu lat nie znał ani litery. Martwiło mnie to niesłuchanie, i ilem razy wspomniał na zacnego ojca, ledwim nie płakał, myśląc sobie, iż syn tak odmiennym torem idzie; gadałem matce co się zmieściło, chłopakam zawstydział przykładem moich dziewcząt; wszystko to było jak gdyby groch na ścianę miotał. Nareszcie gdy już młodzieniaszek zaczął rok szesnasty i zawsze był nieuk, a coraz gorszy żarłok, pótym klekotał biednej matce głowę, i gniewem Bożym ją straszylem, póki nie oddała go przecie do Lublina do szkół, i nie przyrzekła

mi, że go tam na całe dwa lata zostawi. Ale cóż? tym co szkołę trzymali, zaleciła, aby Franulko długo i miękko sypiał, wiele jadał, mało nad książką siedział, żeby różga na jego ciele nigdy nie powstała. Tak też uczynili, a ponieważ suto płaciła, suciej jeszcze wszystkiego dosyłała, jeśli jej donosić jakoby panicz bardzo dobrze się sprawiał, prześlicznie się uczył; a matczyśko rosło z radości. Tymczasem ja, który tym doniesieniom nie koniecznie wierzyłem, wybrałem się z umysłu do Lublina i zastałem, iż po roku nie się nie nauczył krom psot od chłopiąt szkolnych, i że się nawet z grubego nie okrzesał; odwiozłem go więc do domu. — Ale ponieważ urósł, tego wyglądał, a zaraz pierwszy obiad nie jadł ale pożerał, matczyśko na wszystko mówiło: nic, nic, zdrów mój Franulko! i rada temu będąc, że już ogląda jednaka, mało na to dbając czy co umie czy nie, ani go chciała wypuścić od siebie. Teraz kiedy już młodzieniec pod wąsem, kiedy synowie drugiej naszej bratowej, pani Mikołajowej z Jasińca; wychodzą na ludzi, biedna matka uznaje niedostatki syna — choć nie wiem czy chce uznać przyczynę — tai je sama przed sobą, chciałyby ukryć przed światem: i pewna jest, że skoro Franulek się ożeni, to się i odmieni. Pragnie tedy tego małżeństwa jak zbawienia, a w naszej Ewie widzi stworzoną dla niego żonę, która go przykładem swoim, namową, nauczy żyć, i być człowiekiem. Widzisz przeto, panie Filipie, jaką jest konieczną potrzebą uprzedzić ją zwolna o tem co między nami zaszło; przygotować ostrożnie i jakąś radę na pociechę upatrzeć.

— Uznaję to wszystko — odpowiedział pan rotmistrz, który przez ten czas stojąc z uszanowaniem przed Kochanowskim słuchoł go pilnie — uznaję; ale czyżby nie

można upraszać pokornie — i to mówiąc skłonił się do ziemi i ścisnął palce u nóg przyszłemu teściowi — czyżby nie można przyspieszyć tego rokowania? — Gdybyś Wasza Miłość wiedział jakim wiekiem dla mnie każda godzina...

— Jutro niedziela — odezwała się na to Kochanowska, która wróciwszy przed chwilą stała na progu we drzwiach i słuchała — pojedziemy jak zwyczajnie do Policzny na nabożeństwo; gdyby się dało, możnaby coś wspomnieć...

— Zapewne — domówił Kochanowski — im prędzej tem lepiej; jabym chętnie dziś jeszcze zbył z siebie ten przykry ciężar. Jutro więc, dosiędę wcześniej mojego siwosza, i jeżeli się uda sprawę wprowadzę; nadjedziesz żono, i może dobijemy targu, chociaż Bóg widzi, ani sobie wystawiam jak się to obróci...

Młodzieniec uradowany obietnicą, objął kolana obojga gospodarstwa całując je na znak dziękczynienia; ale nagle zerwał się jak gdyby wezwanie bojowe usłyszał i zawołał: — Idzie. — Jakoż wracały córki gospodarские z czeladniami dziewczętami z roboty w polu, i wnet ukazały się u wrót, które już Filip na rozścież otworzył; słyż zwolna nucąc smutną piosnkę śpiewaną dotąd w Sandomierskiem przez dziewczki wychodzące na pańszczyznę, a w której były i te słowa:

Nasz starosta dziś był zły
Ześmy rano nie wyszły
Do tej roboty.

— Cóż wam się stało? — zapytał córek ojciec, kiedy przed gankiem stanęły, — zwykle wracacie w skokach i z weselszemi pieśniami; słychać was o kilka staj; Ludwina jedna, ta zawsze zostaje w tyle, i cicho pa-

cierze mówi. — To Ewa nas tak wszystkie zasepiła — odpowiedziała Dorota z żalem — gdzie poważniejsza od Ludwiny! Nastka zaśpiewała jej jak na Podolu śpiewają :

Ondryni — ja lon sieju
Skaży z kim zbierać budu.

A ona się rozpłakała i utulić się nie mogła — Ewa już mocno rumiana spłonęła bardziej jeszcze na te słowa, i prawie z gniewem przytknęła rękę do ust wielomownej siostry. Pan podkoniuszy szepnął do przyjaciela: »Raczek, nie zły to znaczek« a Ludwina przyszła z nieśmiałością i smutkiem do matki, i powiedziała jej do ucha: — Boję się bardzo, czy Ewa nie chora; cały czas nic nie mówiła, chwyciła się często za głowę, oddech ma ciężki, oczy czerwone, ręce gorące. Możeby jej bzowego kwiatu dać na noc? jeżeli jest co złego, prędejby wysypało.

— Nic jej nie będzie — odrzekła matka z uśmiechem. — Oto patrz, już mówi z panem bratem i śmieje się. Idźmy do wieczerzy — ryby się przestoją.

ROZDZIAŁ VII

Cnoty swych dziatek starsi nauczajcie,
To wychowanie synom waszym dajcie.
A niech nie będą nazhyt pieszczonemi
Niech przywykają spać na gołej ziemi.
Księga III. pieśń 3.

Dom w Policzny różnił się bardzo od domu Czarnolaskiego. Tu był ruch, życie, wesołość; tam cichość, milczenie, żałoba.

Pani Kasprowa Kochanowska straciwszy dozgonnego przyjaciela, przyjęła na siebie stan wdowi. Mówię stan, bo wtedy, kiedy większa pobożność była w sercach, większe oderwanie od rzeczy ziemskich, kiedy pismo święte znano gruntowniej, kiedy powołanie kobiety lepiej było rozumiane i wyżej cenione jak dziś, wdowieństwo było stanem osobliwym, jak panieństwo, jak małżeństwo. Nie jedna białogłowa po śmierci męża sądziła, że jej się nie godzi, że jej nie przystoi, być żoną drugiego mężczyzny; choćby też piękną i młodą była; ślubowała chować czystość, a straciwszy opiekuna i obrońcę, którego z rąk rodziców dostała, za jedyne go opiekuna i obrońcę brała sobie Boga. Taka, modlitwą, postami, pracą ręczną, cierpliwością, ubóstwem dobrowolnem, jałmużną, dążyła do doskonałości; taka strzegła się blizkiego przestawania z mężczyznami, zabaw, tańców, śmiechów; takiej, ubiór nawet różny był od ubioru mężatek; smutny, prosty, poważny: taka nareszcie odchowawszy dzieci, im poruczała majątność swoją, a sama najczęściej zamykała się w klasztorze. — Takie wdowy »Chrystusowe« zwane, w wielkim były u ludzi szacunku i miane prawie za święte; urzędnikom wszelakim zalecone było wyraźnie mieć je w szczególnej opiece, gdyż krzywda takowych wołała o pomstę do Boga, a dobro im uczynione ściągało błogosławieństwo. Zresztą, w owych czasach jeszcze nieco rycerstwem tchnących, wdowy taką powszechną obudzały względność, iż wziętość jaką Stefan Batory uzyskał u narodu prawie zaraz po wstąpieniu na tron, powodzenia jego późniejsze, przypisywane były przez wielu temu, iż pierwszym jego czynem, jako króla, była sprawiedliwość wymierzona wdowie.

Pani Kasprowa w rzędzie »wdów Chrystusowych«

śmiało liczoną być mogła. Wszystko u niej barwę wdo-
 wiało. Twarz bladą i wychudłą łagodny smutek po-
 wlekał: usta prawie ciągle odmawiały pacierze, ręce jeśli
 nie zajęte robotą złożone były nabożnie; wysoką i po-
 ważną postać, która wolnym krokiem suwała się tylko
 po ziemi, okrywała suknią długa i płonista z czarnej
 rasy, z kapturem z tyłu, czapka na głowie czarna
 z branką białą związaną pod brodą; a zamiast pasa
 gruby sznur lniany, u którego wisiała koronka z grana-
 tów, z trupią głową z kości słoniowej. — Dwór cały
 dosyć piękny i obszerny oddała synowi i czeladzi, sama
 zachowując sobie nie wielką sypialną izbę, czarnym ki-
 rem wybitą. Łóżka wąskie i twarde, ławek i stołków
 parę, stół dębowy, kołowrotek, krzyż wielki z wizerun-
 kiem Zbawiciela, przy łóżku kropielnica z święconą wodą
 gromnica i dwie książki nabożne na pulce, taki był
 sprzęt cały. Nawet obrazu męża w jego ślubnym stroju
 nie chciała, zawiesiła go u syna. — Mnie tego nie trzeba —
 mówiła — ja go mam żywego w pamięci.

— Przecież jakkolwiek oderwaną się zdawała od
 świata i od ludzi, i cała w Bogu, trzymała się jeszcze
 mocno ziemi, a syn był tym węzłem, który nie tylko ją
 wiązał, ale i wikłał. Dla wszystkich miłosierna, dla siebie
 surowa, dla syna była słabą do zbytku. Jednego tylko
 mając, całe szczęście ziemskie w nim założyła; nie wi-
 działa większej pomyślności nad zachowanie go, większej
 niedoli nad jego utratę. O! zapewne, kiedy po śmierci
 ukochanego męża czwarte już dziecko złożyła w grobie,
 gdyby jej kto był zaręczył, iż przynajmniej ten jedynak
 zdrowo się wychowa, przystałaby chętnie na to, żeby był
 nieukiem, kaleką; nie wiem czem, byle żył. Te okoli-
 czności, te uczucia stały się przyczyną rozpieszczonego

wychowania pana Franciszka; i nie wiem czyby wiele matek ośmieliło się rzucić pierwszy kamień na panią Kasprowę. — Od kilku lat spokojna o zdrowie i życie syna, zaczęła znowu truchleć o szczęście jego tu, i w wieczności; ale na tę obawę wynalazła dwie drogi ratunku: ożenienie go z Ewą, i poświęcenie się własne. Żona kochana i rozsądna miała zastąpić to wszystko czego mu nie dostawało; zrobić z niego człowieka; w miłosierdziu zaś Bżem pokładała nadzieję, iż on jej ofiarę przyjmie jako okup za syna, jak niegdyś przyjął ofiarę Chrystusową za okup rodzaju ludzkiego. Nikt też nawet ani wiedział, ani zgadywał, ile ona męk zadawała sobie za jedynaka: bo kryła się z umartwieniami swemi, jak drugie z rozpustą się kryją. On spał w pierzu i spał długo, ona nocy bez snu na pacierzach trawiła i ledwie parę godzin spoczynku na twardej desce pozwalała sobie; on nosił wygodne i kosztowne szaty, ona włosienicę na gołe ciało oblekła; on jadł i pił co się zmieściło, ona tylko tyle pożywała, ile koniecznie do utrzymania jej wycieńzonego ciała było potrzeba; on często to z lenistwa, to dla zabawy opuszczał nakazane nabożeństwo, ona modliła się prawie nieustannie, co tydzień przystępowała do stołu Pańskiego, codzien w kościele obecną była ofierze ołtarza; a prócz tego jeszcze ślubowała Bogu, iż skoro synowi potrzebną nie będzie, natychmiast wstąpi do klasztoru, a to dobierając sobie zakon jak najostrzejszej reguły. — Tymczasem do tych wszystkich zbieranych tajemnie zasług, dorzucała jeszcze widoczną zasługę ciężkiej pracy; od świtu do nocy nie spoczęła ani jej myśl ani ręka; całe gospodarstwo domowe, cały zarząd dosyć znacznego majątku opierały się o nią; zbierała pieniądze dla syna, odsuwała od niego wszelki

kłopot, nie pomna, że tą zbyteczną dobrocią więcej mu szkodzi, niżeli pomaga.

Jednak zaczynało już niekiedy przychodzić jej do myśli! czy to ona dobrze robi? a ta obawa, coraz więcej ją dręczyła. — I właśnie tej niedzieli, zakrywszy głowę i twarz kapturem, ażeby tem lepiej się odosobnić, i nawet choćby ludzie przyszli nie widzieć ich, siadła w swojej izdebce obok łóżka i dumiała głęboko. — Chora przez parę tygodni, ledwie dziś rano zwlekła się z pościeli, żeby wejrzeć w gospodarstwo, i zaradzić owym nieporządkom i nieładowi jakie wszędzie i zawsze wsunąć się gotowe, skoro braknie oka pańskiego; skoro wreszcie liczna czeladź niewieście tylko rządy czuje nad sobą. Zmęczona dreptaniem, a więcej jeszcze nieochybnym w takim razie gniewem, nie miała nawet pociechy usłyszeć podziękowań jedynaka, albo jakiego troskliwego słówka o zdrowie swoje, z ust tego, któremu to zdrowie poświęcała.

Pan Franciszek nie był zły i matkę kochał bez wątpienia o ile tylko mógł kochać; ale wiek dziecinny rozpieszczony, życie dalsze nieczynne i prawie jedynie zmysłowe, tłumią w człowieku wszystko co duchowe, serdeczne i piękne; dusza kryje się pod grubą zasłoną, uczucie stygnie, myśl tępieje; kończy się na tem, że prawie, samo zwierze zostaje, a jeżeli wydostanie się z tej głębi jaka czułość, zwraca się do najbliższego przedmiotu — do siebie — czyli jak dawniej mówiono — do sobka. Pan Franciszek nic na świecie nie widział prócz pana Franciszka; nigdy mu nie przyszło na myśl cudzą przyjemność nad własną przełożyć; a jeszcze też przyjemność matki, do której poświęcenia przyzwyczajony będąc od pieluch, ani go cenił, ani nawet widział.

Kiedy ona tedy dziś rano, chciała spróbować czyby nie mogła zacząć wyręczać się nim w gospodarstwie, i posłała wezwać go, aby do niej przyszedł, on jej kazał powiedzieć, że się wyleżeć musi, gdyż ma drogę przed sobą. Odpust był bowiem w Zawadzie, dobra wyżerka u państwa Mysłowskich, na którą był proszony; a gdy w parę godzin przyszedł ubrany i do podróży gotowy, powiedział jej: — co wy tam pani matko odemnie chcecie, zdrowicie już Bogu dzięki, to sobie radźcie jakeście dotąd radzili; mnie trzeba jechać, bo się spóźnię na śniadanie. — A nie pytając się ani tłómacząc więcej, ruszył do Zawady.

— Wielki Boże! — mówiła w sobie z goryczą matka patrząc za nim, kiedy za bramę z dwoma pacholkami wyjeżdżał — czyż ja się nie łudzę wmawiając gwałtem w siebie myśl, że mu koniecznie potrzebna, że onby się obejść bezemnie nie mógł? czyż nie grzeszę, narażając szczęśliwą, niewinną, nic nie znającą dziewczkę na dozgonną przyjaźń z człowiekiem, co o nikogo nie dba, o nic się nie pyta; któremu jadło, napój, zabawa za wszystko stają? Żonaż to prowadzić ma męża? nie zakazujeż tego surowo Apostoł święty? A wreszcie jakżeby on żonie dał się prowadzić, kiody on słów matki nie waży; skoroby pierwsze chwile minęły, nie dbałby o nią jak i o mnie nie dba. Nie — jemu podobno lepszy będzie mistrz surowy niż żona; mistrz, któryby zaczął z nim jak z dzieckiem, uczył go, prowadził, zmusił do pracy, któryby to zrobił dla niego, com ja matka, nie-stety! powinna była zrobić,.. A gdyby on żadną miarą nieznanemu sobie jarzmu uledz nie chciał, nie lepiejzeby jednego jeszcze spróbować sposobu i oddać mu cały majątek; niechby sam nim władał, niechby musiał sam

myśleć o sobie... Pan brat zawsze mówi, że ja żyję za niego, i już mu nic nie zostawiam do roboty — może dobrze mówi... A te wszystkie moje udręczenia — rzekała po chwili z podwójną goryczą — te posty, pacierze, umartwienia, sąż one Panu Bogu przyjemne? Czyż nie grzeszę pychą za cudze poświęcając się grzechy? nie mamże ja dosyć swoich własnych? i będęż miała dosyć czasu do pokutowania za nie?... O! już podobno sam Pan znaki mi daje, że już przyszła godzina własnych przewinień się kajać, uchylić się od licznych pokus. Oto i dziś rozgniewałam się, strofowałam ostrzej niż było potrzeba, może nawet posądziłam niesłusznie; już byłoby się czego spowiadać, a nie dawniej jak onegdaj ksiądz był u mnie... Żywot bogomyślny, którego od dawna pragnę, do którego Bóg w miłosierdziu swoim wołać mnie raczy, potrzebuje zupełnego rozdziału ze światem i z zabawami jego; w klasztorze łatwym mi będzie; tam, miej tylko powolne i posłuszne starszym swoim serce i pokorną myśl ku nim, a już cnoty wszystkie masz; tu, ileż to trudniejszych usiłowań potrzeba, jakiegoż nieustannego bojowania! Już też i starość przysyła mi swoje pozwy; nie obeszłam i połowy gospodarstwa, nie wejrzałam we wszystko jak należało, a nogi drżą podemną, serce mocno kołacze, ręce się trzęsą. Nie byłoby to najlepiej naradzić się z panem bratem, oddać synowi cały majątek, jego za opiekuna mu wyznaczywszy, a samej wstąpić niebawem do klasztoru i modlić się? Panie Jezu Chryste ukrzyżowany dla zbawienia nas wszystkich — zawołała obracając zroszone oczy ku krzyżowi i wznosząc ręce — racz mnie oświecić co czynić mam. Ty na niebie mieszkając patrzysz litościwie na ludzkie troski; sierotom opuszczonym Tyś jest ojcem, Ty smętne opa-

trujesz wdowy, Tyś jest ich obrońcą — nie inny... A to powiedziawszy umilkła zalana łzami; wzięła potem koronkę wiszącą u pasa w długie i schudzone palce, a zatopiona w Bogu schyliwszy prawie do kolan twarz osłonioną kapturem, posuwała co kilka minut paciorek po paciorku, a wtedy słychać było te słowa z głębokiem westchnieniem wymawiane: teraz i w godzinę śmierci naszej, Amen.

Kiedy zacna wdowa tak rozpamiętywała i modliła się, nasz Kochanowski przybrawszy kontusz święteczny, podgoliwszy starannie brodę i czuprynę, z karabelą ojcowską przy boku; z ugładzonym wąsem i w białej czapce z czarnym barankiem, już dojeżdżał do Policzny na swoim siwoszu; a mimo całej roztropności i znajomości świata zachodził w głowę z jakiej beczki on to zacznie, jakimi słowy rzecz wypowie, czem panią bratową pocieszy? Dla duszy pocziwej i kochającej, niema zapewne większej przykrości, jak być posłańcem smutku do tych, którychby się rado otoczyć szczęściem. — Możeć mi Bóg dopomóżdź raczy! — powiedział zsiadając pomału z konia i oddając go pachołkowi, który go przywiązał u słupa za średnie srebrne kółko; w owych wiekach bowiem, przed każdym porządniejszym szlacheckim dworem stał na środku podwórza słóp z trzema kółkami do przywiązywania koni; dolne z żelaza dla kmiotka i mieszczanina, wierzchnie z mosiądzu dla szarej szlachty, a średnie srebrne dla panów i urzędników; Kochanowski zaś był wojskim ziemi Sandomierskiej; urząd ojcowski, patryarchalny, o który on sam prosił, odmówiwszy jak wszyscy wiedzą krzesła w senacie; bo wojski musiał pilnować domu i obowiązkiem jego było mieć opiekę w czasie wojny nad żonami i dziećmi, tych co wyszli

bić się za kraj. — Pan Wojski tedy nie mało zakłopotany, odmawiając Zdrowaś Marya do Ducha świętego o dobre natchnienie, wszedł nieśmiało do pani bratowej, która, lubo jej przerwał pacierze, i we łzach ją zastał, przecież uprzejmiej go jeszcze przywitała niż zwykle.

Nie mamy podobno potrzeby opowiadania szeroko tego, co każdy już się domyślił. W usposobieniu umysłu w jakim się znajdowała pani Kasprowa, wiadome rokowanie łatwo pójść mogło; i poszło z nadzwyczajnem zadziwieniem Kochanowskiego. Obok szczerych powinnowań na jakie się zdobyła ta prawdziwie chrześcijańska i miłująca dusza, posłyszawszy o zdarzającym się losie dla Ewy, obok uwolnienia brata od wszystkich dawniejszych obietnic, i zupełnego rozgrzeszenia, od wymówek jakie sobie rad czynił; nie obeszło się jednak bez obfitych łez z jej strony, i ciężkich wyrzutów jakie robiła samej sobie: że nie słuchała dawnych a dobrych rad jego, że nie chowała tak syna jak wszystkie rozsądne matki chowają, jak byłoby nastąpiło, gdyby jej kochany Kasper był żył. — Jedyną moją pociechą — powiedziała nakoniec — jest ta myśl, iż jak ja się oddalę, i już bez przeszkody tylko modlić się za niego będę, on się pomiarkuje, a zostawiony sam sobie będzie musiał się dźwigać. Wy wtedy, panie bracie zasilajcie go waszą radą, a jeżeli da Bóg, stanie cokolwiek na nogach, może mu za jakie pięć, sześć lat, waszej Doroty nie odmówicie.

— Dalekie to jeszcze rzeczy — odpowiedział z wdzięcznym uśmiechem Kochanowski — i mnieby się zdawało niebezpieczna, zostawić tak pana Franciszka bez blizkiej podpory; gotówby paść i już się nie podnieść; ale tak uczynimy: powiedzieć mu, że Ewa go nie chce, bo po-

znała godniejszego; będzie mu to przykro, i wam słu-
chać takich uwag bolesna jest — lecz nie uraziwszy nie
uleczysz rany; wystawić mu przytem, że on póki takim
będzie jak dziś, nigdy dobrej żony nie dostanie, chyba
kupną, która nie nie warta; niech więc jedzie na jaki
dwór pański, naprzykład na dwór kanclerza, pod dozór
brata Andrzeja, i tam niech się kształci. Wasza Miłość
zaś kiedy chcesz tak koniecznie zamknąć się w klaszto-
rze, wypuścić w dzierżawę Polieczną. oto pani Mikołajowa
ma trzech synów; najstarszy Krzysztof na królewskim
dworze jak wiecie, najmłodszy przy niej, ale średni Adam,
co właśnie do domu powrócił, szuka zatrudnienia, a obro-
tny chłopak. Meżeby tedy jeszcze tego lata stało się wa-
szej pobożnej woli zadosyć. I nasza Ludwisia bardzo
już do klasztoru wzdycha; w domu, ma jednak równie
jak i wy, przeszkody do nabożeństwa. Szesnaście lat na
Nawiedzenie N. Panny skończy, pragnęłaby w ten dzień
rozpocząć nowicyat, a my też z żoną dosyćbyśmy temu
byli radzi, żeby na weselu siostry nie była. Czego znać
nie ma, po co przed oczy jej stawiać? lubo dotychczas
wszystkie przysmaki świata tego, nic ją nie wabia. Za-
prawdę, równie jak w was pani bratowo, łaska Boga
w tem dziewczęciu; bo ta jej świętość nie z ojca; z nie-
godnego rodzica święte dziecię się narodziło, wyszła róża
z ciernia... Ślubowaliśmy ją do tego klasztoru, gdzie
moja Hanna się wychowała, są to siostry łaskawe (So-
rores Benignae) szlacheckiego rodu i nauczzone; trudnią
się dziećmi, kalekami i choremi; tam i święte wdowy
przyjmują. Nie dałyżby się tak rzeczy ułożyć, żeby i Wa-
sza Miłość do tego zawinęła portu?...

Odpowiedź wdowy przerwało przybycie naszej Ko-
chanowskiej. Zostawiwszy starsze córki i gości w ganku

szła sama do izby z wielką bojaźnią, niepewna nawet czy już przełamane pierwsze lody? Radość jej równa była zdziwieniu, gdy się dowiedziała, że wszystko ułatwione; ucałowała ręce i nogi pani Kasprowej. Przecież wśród tej radości, kiedy jeszcze schylona była u kolan świętej niewiasty, nagły jakiś smutek ją objął; błysnęła myśl i przeszła jakby strzałą za serce: że to już nie żartem i niedługo córka jej się wymknie, że ją na zawsze z oczu straci, że ten Filip, co dziś tak dorzecznym i porządnym zięciem się wydaje, i tak ogniście się kocha, może później być złym i niewiernym mężem, a niesześliwa Ewa nie będzie miała nikogo, żeby w łono jego wylać żal swój i męki. — Tu zawsze mnie miała — pomyślała w sobie; i w ten moment — bo któż tajemnicie serca macierzyńskiego odgadnie — możeby już wolała wydać ją za pana Franciszka. — Te wszystkie trwogi i żale uderzyły w jej serce, i gdyby się nie była wstydziła męża, pani bratowej i samej siebie, byłaby zapłakała gorzko.

Lecz nie było czasu na podobne myśli i na dzy. Pani Kasprowa wyjść musiała do gości czekających w ganku; a choć bolesną i upokarzającą było rzeczą witać tych, co pozbawili jej syna spodziewanego szczęścia, przecież w chrześcijańskiej pokorze i w polskiej gościnności znalazła dosyć siły, żeby ich przyjąć mile, i zaprosić na śniadanie naprędce. — Do nabożeństwa była jeszcze dobra godzina. — Podlodowski i wychowanek jego, którzy z samej twarzy Kochanowskiego wyczytali pomyslny obrót sprawy, przesadzali się w okazywaniu względów dla gospodyni; a w chęci podobania jej się, zajadali smaczno i rozmawiali ochoczo. Sam też Kochanowski bywał dobrej myśli w Policzny; tyle rze-

czy mu przypominała! Ukochana matka urodziła się w tym samym domu, i jej ta wieś była dana niegdyś w posagu; kościół murowany pod opieką św. Stanisława i św. Anny, założony był przez jej ojca Andrzeja Białaczewskiego, herbu Odrowąż, roku 1531, a dołożył się — bardzo znacznie jak na owe czasy — Piotr ojciec jego; bo czterma tysiącami złp., co na dzisiejszą monetę wynosi 36.000 złotych. Przy kościele obyczajem dowodzącym wielką troskliwość dziedziców, i teść i zięć założyli szkołę. — Dobrze ja tę szkołę pamiętam — wspomniał Kochanowski — a wychodząc z kościoła muszę was do niej zaprowadzić, panie rotmistrzu; nie masz tam ławy, nie masz kąteczka, coby mi się nie dał we znaki; wójt brzeziny miał gęstą robotę z moją skórą; wszędzie i na każdym miejscu mnie bito; to rozciągano na pieńku, to nie raz przyszło uczyć się geometryi niewygodnym sposobem, to jest grzbietem mierzyć ziemię. Bo wszyscy sześciu braci ile nas było u rodziców, wszyscyśmy w tej szkole pierwsze nauki brali, a ja byłem psotnik całą gębą. Czy deszcz, czy pogoda, szliśmy codzień pieszko, raniusienko po śniadaniu; w zimie w baranich kożuszkach, w szłykach i skórzniach; w lecie, w koszulach z szarego płótna krajką przepasani w magierkach, najczęściej boso. Ależ mocny Boże! cóż to za wesoła droga bywała! Ani wiem gdzie zniknęły owe krzaki, owe kamyki, kwiaty, ptaki, motyle, co człowieka wtedy tak zajmowały i bałamuciły, że nieraz Kasper — zawsze najrozsądniejszy — spędzać nas musiał do gromady jak pies pasterski owce. — Najprzód, przyszedłszy do szkoły słuchało się mszy świętej, potem nauka, a o południu już siedzieliśmy w domu u obiadu; i dalipan, wracając nie wałęsało się tyle co idąc, bo o kilka staj

od Czarnolasu już pachniały barszcz z rurą albo kapusta z grzybami; a po tych przechadzkach, jak się to spało na gołej ziemi! lepiej niż dziś w puchu. — Był w szkole *Dominus* stary, Kleofas się nazywał, czytać i pisać po łacinie i po polsku, i śpiewu kościelnego nas uczył; pamiętam go jak dzisiaj, siedział w szkolsku w czapce sukiennej na głowie; w ciżmach na nogach, w czarnej rewerendzie, bat u pasa, a przed nim leżały tablice kamienne, szyfer i gąbka do ścierania. Ale wnet sprowadził ojciec rektora zacnego i mądrego kapłana, który historii, logiki, poezyi, i innych nauk nam udzielał. Był to ów ksiądz Maciej z Zalesia, o którym wspominałem wam wczora...

— A nie przyszło mi się też spytać o szanownego starca — przerwał Podlodowski kiedym był u was ostatnim razem, odwiedzaliśmy go w Zwoleniu; jeszcze nam twoje dawne wiersze, Janie; dobywał a chwalił.

— Jakto nie wiecie? umarł przed trzema laty — odpowiedziała Kochanowska widząc, że mąż się rozrzewnił pamięcią dawnego nauczyciela.

— Umarł — powtórzył za nią ze smutkiem wdzięczny uczeń — i dotąd — nie wiem jak to zaszło, nie zebrałem się na położenie mu nagrobka; a chcę żeby miał kamień obok rodziców moich. Nauczyciel pobożny i uczony ojcem duchownym zwać się może; on z grubej gliny naczynie piękne, godne pańskiego stołu czyni. Księdzu Maciejowi dwa skarby życia mego winienem: niezachwianą wiarę i muzę moją. On wypiaستował ducha mojego, oglądał go, pieścił, i poznał mnie gdzie pierwiej, nim ja sam siebie znać umiałem...

— On wszystkie dziewczęta nasze wodą chrztu

świętego oblał — odezwała się Kochanowska — prócz najmłodszej Orszulki.

— On mego Kaspra na drogę wieczności przygotował — westchnęła wdowa.

— On Ludwinę i mnie — dodała Ewa — katechizmu nauczył i pierwszy raz dał komunię świętą.

— Panie! świeć nad jego duszą — szepnęła Ludwina składając pobożnie dłonie — a jakież to były święte z nim rozmowy!..

— Bo to był ksiądz z owych zacnych i uczonych, na jakich prawemu Kościołowi i nigdy w naszej Polsce nie brakło — mówił dalej Kochanowski — mało znany, gdyż jak ty Jakóbie, o godności żadne się nie ubiegał, a niedawno też mamy takiego króla, co sam zasłużonych szuka. — Wyéwiczony w nauce wiary, nie samemi słowami ale i przykładem pokonywał kacerzy. Kiedy tu osiadł, zagnieździły się były w okolicy religijne nowości; zacząwszy jak wiecie od najpierwszych panów już bałamuciły i szarą szlachtę; pomieszkał czas jakiś, był wikarym w Zwoleniu, i już na całą parafię, został tylko jeden kacerz Łukasz Gupolski; i ten w niedługim czasie do starej wiary wrócił, kształcił się przy nim, i dziś jest u mnie bakałarzem i przepisywaczem gorliwy katolik, jak tego potrzeba. — I mnie on, mogę to śmiało powiedzieć, utwierdził na zawsze w wierze. Zaprawdę miałem ja i mieliśmy wszyscy bracia zaszczerpioną pobożność w kolebce, wlaną z mlekiem. Wiele można jest na dzieciach przykład groźnego ojca, przed którym wszystko w domu drży — a tak działo się u nas — a który przecież sam korzy się przed Bogiem, klęka przed jego obrazem i wzywa go na głos. Wiele także potrafią nauki matki, która bez ksiąg, bez pisma, ale przykładem, sta-

raniem, kładzie w dzieci i jakby w żywą skrzynię pobożność i wiarę — a tak robiła nasza matka. Skoro jedno z nas cokolwiek rączyną władać umiało, rano i wieczór znaczyła je krzyżem świętym, na pamiątkę tego, na którym Chrystus cierpiał; żadne smaku mięsa nie zaznało, dopóki za panią matką nie umiało powtórzyć wyraźnie całego pacierza. Ale — widziałem ja przecież wielu młodzieniaszków, równie dobrze prowadzonych, którzy wszedłszy między ludzi zapominali tych bogobojnych nałogów — mnie zaś ani przebywanie tu i owdzie z różnowiercami, ani nawet blizka zażyłość z niektórymi, jako to: z naszym Modrzewskim, z Orzechowskim, i z tylą innymi nie zachwiała ani na chwilę, bom wszędzie i zawsze pamiętał na słowa księdza Macieja.

— Zaklinam cię Janie — powiedział on mi kiedyś już w świat się puszczał — zaklinam na miłość ukochanego ucznia Chrystusa, któremu podobne imię nosisz, strzeż się przez całe życie sprzeczek i rozpraw z rzutkiego spojrzenia, onej silnej wymowy co to odrazu spostrzeża, zwycięża; twoja wiara jest serdeczna, wierzysz, bo kochasz. Zostaw Protaszewiczom, Solikowskim, powstającemu zakonowi Jezuitów, być młotem na odszczerpieńców, ty bądź dla wszystkich przykładem. Niech każdy powie widząc pobożne a cnotliwe życie twoje: — Po co tu odmian i nowości, kiedy przy starej wierze prawym mężem być można.

— I zawołanym poetą — dodał pan podkoniuszy.

— Zapewne — odrzekł Kochanowski — jemu w części moje pieśni się należą, on sam biegły łacinnik, karmił mnie z młodu wybornymi ich poezjami, on mnie do pisania wierszy z dzieciństwa zachęcał; on i w bra-

ciach moich dar rymowaniarozwinał. Mikołaj, co umarł dwa lata temu w Jasińcu, układał bardzo piękne rotuły; namówiłem wdowę jego, żeby je dała naszemu Andryszowiczowi do druku; drugi brat Andrzej, co jest na dworze kanclerza Zamojskiego tłumaczy wcale gładko; wziął się do Eneidy Wirgilego i udaje mu się nie najgorzej. A co trzeci, najmłodszy, Piotr, ten kto wie czy mnie nie przejdzie; rozmiłował on się we Włoszech, i tam od kilku lat gości; rozmiłował się więcej jeszcze w sławnym dzisiejszym poecie w Tassie; ale jakże on tego poetę żywcem w naszą polską mowę przelewa, przysłał mi niedawno dwie pieśni swojej Jerozolimy; dalipan w niektórych miejscach wolę Polaka od Włocha...

— Już to Kochanowscy powinni się pisać »z Parnasu« — odezwał się tu z przyzwoitą skromnością Filip — bo już nawet lutnia u nich wybiera się iść po kądzieli. Wasza Orszulka jak dorośnie czemże będzie?

— Cudowne dziecię — podparł Podłodowski — nie podobnego jeszcze nie widział odkąd żyję na świecie; na wyjezdnem złożyła nam naprędce przesłiczne wierszyki...

— Nie przywieźliście jej dziś — powiedziała gospodyni z lekką wymówką do Kochanowskiej — ja tak ją kocham — żywy obraz mojej Jadwichny, którą Pan Bóg w jej wieku mi zabrał!...

— Owszem — odpowiedziała matka — jedzie z Nastką i z młodszemi dziewczętami drugim wozem; jam ze starszemi i z miłą bracią osobno przybyła. Pewno zajęchały prosto przed kościół, podobno i na nas już czas.

— I wielki — rzekła pani Kasprowa — dzwonią po trzeci raz; alem nie śmiała zacnych gości wypraszać z domu.

Poszli wszyscy do kościoła, gdzie pleban czekał ze mszą śpiewaną i z kazaniem na kolektorę, a tymczasem lud wiejski z Policzny, z Czarnolasu i z okolicznych wiosek zebrany i snujący się jak mrowisko, zalegał cmentarz, rozmawiał o siejbie, o zbyt wczesnej wiosnie, o zimnie, jakiego należało się lada dzień obawiać, o ozimnie jak się pokazuje, o domowych kłopotach lub pociachach; dostało się i włodarzom, i starostom, i sołtyśsom a nawet i samym dziedzicom; trochę pochwał i błogosławieństw, więcej nagan i skarg — bo świat był zawsze taki sam. — Jak rozmowy ludu tak i powierzchowność jego mało się różniła wtedy, od tego czem dziś jest, zwłaszcza w równej odległości od miast stołecznych jak Policzna i Czarnolas. — Nasz chłop w owym dziewiętnastym wieku tyle oświeconym i zbytującym, tak mało zna i używa, iż trudno sobie wystawić, aby kiedy mógł znać i używać mniej. Owszem, kto wie, czy oprócz chat kurnych wtedy niemal powszechnych, kto wie, mówię, czy lud polski w szesnastym wieku, od granic tatarskich i moskiewskich odległy, nie wyglądał lepiej niż dzisiaj, czy nie był zamożniejszy i mniej się różniący od panów swoich? To pewna, że był ochędźniejszy i zdrowszy. Winni byli kmiotkowie te dobrodziejstwa dwom okolicznościom: najprzód rzadszemu pijaństwu, gdyż gorzałka mało jeszcze gdzie była znana; szlachecka była rzecz wiele pić, chłopska wiele jeść; a panowie więcej dbający o sumienie niż intratę, nie sadzali żydów po karczmach, nie rozpajali poddanych, i tylko piwo lekkie sprzedawać kazali w gospodach; powtóre, kąpielom parowym; te były w powszechnem używaniu; każda wioska miała swoją łaźnię; parą, potami, chłostaniem się różgami, nacieraniem rozmaitem, pozbywali się wieśniacy nieczy-

stości i chorób, i rzecz jest dowiedziona przez uczonych lekarzy, że dopiero z początkiem siedemnastego wieku, kiedy łaźnie zaczęły wychodzić z ogólnego zwyczaju, owa obrzydliwa choroba ludu naszego, kołtun, zjawiła się w Polsce; dawniej wcale nie była znaną.

Ale wracając się do Kochanowskich — skoro święta wdowa szanowana od wszystkich dla żałoby i pobożności swojej, ukazała się i z gośćmi swemi — ucichła natychmiast gawiedz, zrobiono dla niej szerokie przejście, weszła do kościoła i klękała w małej ławce koło ołtarza naprzeciw grobu jaki mężowi tam wystawić kazała, a na którym Jan, następujący dał napis:

Kaspra Kochanowskiego tu schowano kości;
Człowieka cnoty wielkiej i wielkiej godności.
Płaczcie ubogie wdowy i smutne sieroty,
Umarł ten, co na pieczy miał wasze kłopoty.

Do końca mszy, póki pleban nie przyszedł jej podać patyny do pocałowania, klęczała jakby nieruchoma; życie i czucie widać było we łzach, które niekiedy toczyły się jak perły po wybladłych licach. — Goście jej zaś zajęli dwie pierwsze ławki w samym kościele.

Wśród powszechnego nabożeństwa i oznaków jego w obecnej szlachcie dobywaniem na pól, szabli w czasie czytania Ewangelii, śpiewaniem łacińskich pieśni, w chłopstwie dotykaniem się prawą ręką obu policzków, biciem się w piersi, leżeniem na krzyż, nie psuła ogólnego obrazu pani Czarnoleska z córkami. Wszystkie skromno i chędogo ubrane klęczały rzędem; trzy starsze modliły się na książkach, Ewa i Dorota na polskich, jedna na godzinkach o Chrystusowym krzyżu, druga na psalterzu Dawida przekładu ojca, a Ludwina na łacińskiej, bo jako

przeznaczona do duchownego stanu, bieglejsza była w tym języku od sióstr i od matki. Trzy młodsze miały w ręku różańce roboty przyszej Chrystusowej oblubienicy, a spuszczać po ziarnku odmawiały także paciorek ze czcią i z uwagą. Może ich słowa nie były zupełnie wyraźne; rozumiał je przecież Bóg, który na serce i na chęci patrzy. Alboż to i nas starszych zrozumiały są zawsze modlitwy? Wiemyż my sami często o co gorąco prosimy? Lecz ten, który wie lepiej od nas czego potrzebujemy, umie to wybrać i dać co z naszym jest dobrem, jeżeli przede wszystkim i szczerze chwały jego i woli pragniemy.

ROZDZIAŁ VIII.

Żona ucieciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszystek, swego męża ona
Głowy korona.
Ona mężowym kłopotom zabiega
I jego wczasu we wszystkim przestrzega;
Ona wywabić troskę mnie z głowy
Słodkimi słowy...

Księga I. pieśń I.

Po skończonem nabożeństwie w Policzny, dziedzice i goście Czarnolescy pożegnali zasnę wdowę, i wzięli się do powrotu. — Dwaj przyjaciele bez wielu słów rozmówili się i Podlodowski przekonał się z najwyższą radością, że jedyna przeszkoda do spełnienia jego życzeń już całkiem usunięta. Mniej jeszcze czasu potrzebowali kochankowie do zupełnego porozumienia się, lubo ich sprawa była zawilszą, gdyż nie zdawała się wcale roz-

poczęta. Dotąd nie mówili nigdy z sobą sam na sam, rozmawiali głośno o obojętnych rzeczach, dalecy byli od wszelkich układów, a przecież to szło o nich, i rzecz była dosyć wielkiej wagi, godna roztrząsania. Lecz któż nie wie, że między dwoma sercami, które Bóg rozpołowiwszy do czasu na to stworzył, żeby się kiedyś zeszyły i jednym się stały; między prawdziwemi Bóg-danami skoro im porozumieć się wolno, zachodzi odrazu jakaś zgodność, jakaś jakby odnowiona znajomość; któż nie wie, że dla zakochanych wzajemnie, jedno wejście, pół słowa, więcej powie, niż długie innych wywody i rozmowy? — Już idąc do kościoła, pan rotmistrz zachęcony łaskawym żarciem Kochanowskiego — chociaż wszyscy szli razem i droga nie była daleka — znalazł porę i chwilę ofiarowania swojej dozgonnej przyjaźni pannie Ewie, wyrażenia srogiej bojaźni czy przyjętą będzie dobrowolnie? i niepojętego szczęścia, gdy poznał, że odrzucenia nie dozna. — Nie równie dłuższego czasu i daleko więcej słów potrzebowała niewinna Ludwina, której matka i siostra — skoro wszystkie trzy wsiadły znowu do powozu — udzieliły całej tajemnicy. Nie chciało jej się to wcale pomieścić w głowie, żeby rzecz podobna mogła się zrobić tak nagle; i szczerze się rozplakała nad myślą, że Ewa pojedzie tak daleko z obcym i młodym mężczyzną! — O! jakże mi ciebie żał, siostro — powiedziała — ileż niepewności, niebezpieczeństwa w twoim losie — a w sobie samej dodała z pokorą: — Wielki Boże! skądże mnie ta łaska Twoja żeś mi odrazu port zbawienny ukazał i dał za oblubieńca Samego Siebie?

Przyjechawszy do Czarnolasu zebrali się rodzice w pokoju Kochanowskiego, i tam przy czułych i rado-

snych uściśnieniach ułożyli, że skoro pan podkoniuszy z Grodna wrócić zdąży, odbędą się uroczyste zaręczyny Ewy i Filipa; potem jak najrychlej wesele, a w tydzień po weselu przenosiny do Studzienicy. Jutro zaś rano pojedą do Baryczy, do stryja Dobiesława po błogosławieństwo. — Pan Dobiesław był najstarszy z żyjących Kochanowskich; w owym czasie kiedy powaga wieku więcej jeszcze znaczyła niż dziś, kiedy młodzi powstawali przed siwą głową, każdemu noszącemu to imię, zdawało się, że on jego ojcem; i nic ważnego nie zaszło w całej rodzinie bez jego wiadomości.

Po obiedzie wesoło i smaczno spożytym nazjeżdżało się wiele osób z sąsiedztwa. Tak zwykle bywało w Czarnolesie co niedziela i co święto, zwłaszcza kiedy już piękniejsza pora i dni dłuższe nastawać zaczęły. Bo trzeba o tem wiedzieć, Kochanowscy byli wzorem i światłem całej okolicy, nie przesadziła poczciwa Nastka w opowiadaniu swoim w tej mierze. I może nie zawadzi przypatrzeć im się z bliska, przypatrzeć się jakby na własne oczy, choćbyśmy też dojrzeć mieli nie nowych i już napomknionych rzeczy.

Przodkowie Jana z dawnego rzymskiego rodu Korwinów, zagnieżdżeni w Polsce od niepamiętnych czasów — kiedy inne gałęzie tego szczepu wyrastały bujnie i wysoko — trzymali się mierności, i zasłynęli jedynie w swoim powiecie, a to najwięcej bogoboju, zamiłowaniem cnót domowych i pokoju, wstrętem do chciwości i dumy. Zawsze liczni a zgodni między sobą, od zajścia z sąsiadem od sporów prawnych i przysiąg dalecy, do pojednań i przysług skłonni, słowem, *kochający* i *kochani* zasłużyli sobie na piękny *Kochanowskich* przydomek. Ale ponieważ ciche cnoty cichą tylko sławę za sobą niosą, lubo z po-

czątkiem szesnastego wieku kilkanaście wiosek było w ich imieniu, mało kto o nich wiedział, i dopiero Jan zajaśniał jak gwiazda między ludźmi. Matka, brat, nauczyciel, odgadli w dziecięciu przyszłego męża, nie szczędzili starań i kosztów, stało się, jak wiemy, ich szlachetnej chęci zadosyć.

Lecz ów Jan używszy świata i ponęt jego, syt próży, zabaw, powodzeń, urzędów, zaszczytów, syt nawet miłostek; w najpiękniejszej dobie męzkiego wieku zapragnął pokoju, żony i wioski. W skromnem zaciszu oddał się związkom i uczuciom rodzinnym, rolnictwu, przyjaźni: ale dla tego książki i pióra nie zaległ, ani obywatelem być przestał; owszem, umiał spoić w jedno to kilkostronne męzczyzny powołanie i żywot jego nadobną harmonią zabrzmiął. Troskliwszego męża, ojca i pana, uprzejmiejszego sąsiada, lepszego gospodarza, miłośnika większego nauk, troskliwszego syna o dobro ojczyzny, a to nawet w rzeczach mniejszej wagi, z trudnościaby kto znalazł. I kto wie czy Kochanowski nie jest winien owej nieprzeżytej, tak polskiej i popularnej sławy swojej, temu szczęśliwemu a rzadkiemu spojeniu, które przecież jest w mocy nie jednego u nas.

Nie każdy zapewne dostał jak on dar pisania pięknychwierszy, ale czyż każdy polski ziemianin nie mógłby jak on ozdobić wiejskiego zacisza swojego cnotą i nauką, a przytem pracować nad dobrem ojczyzny? — Kochanowskiego życie pełniejsze było, użyteczniejsze i więcej ożywione w skromnym Czarnolesie, niż niegdyś za granicą, u dworu. Dzień, który u niego wcześniej się zaczynał, a nieraz późno się kończył, gdyż często nie dospał dla pisania, wiedząc, że nie będą:

... jego czule nocy bez zapłaty;
A co mu za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy

dzień — mówię, który większa część naszej szlachty nie wie jak napełnić i zabić; jemu, ledwie wystarczał na wszystkie zatrudnienia; on sam prowadził całe gospodarstwo rolne i zewnętrzne, prostego włodarza tylko mając do pomocy; on był doradcą i przewodnikiem żony, córek największą mądrością. Łukasz Gupolski nauczył je wprawdzie czytać i pisać po łacinie, ale nic więcej; z rzeczy wyższych to jedynie umiały, co on im powiedział, te znały księgi, które albo sam napisał, albo z niemi czytał. Niekiedy w poobiednie godziny wołał starsze do swego pokoju. Tam mówił im o tem co na szerokim świecie się dzieje; a najwięcej o tem co w kraju; trzymali się bowiem wtenczas ojcowie owego patryarchalnego zwyczaju opowiadania dzieciom co wiedzieli sami z dziejów ojczystych, aby i one, według słów króla Proroka »oznajmiły je synom swoim, i wiedział o nich rodzaj drugi*). — Utrzymywał także obszerne związki listowne z dawnymi przyjaciółmi, szczególnie z Fogelwerderem, z bratankiem Krzysztofem co był na dworze królewskim, z bratem Andrzejem, który bawił przy Zamojskim, z bratem Piotrem przebywającym od lat kilku we Włoszech, a to i w celu zachowania się w ich pamięci, i widoku wiedzenia rychło i dokładnie, co w Rzeczypospolitej i w Europie ważniejszego zaszło? — Wówczas jeszcze nigdzie, nawet w tak dziś dziennikarskiej Francyi — nie było gazet i pism publicznych, któreby peryodycznie przyniosły przed oczy, do rąk ziemianina,

*) Ps. 79, 5, 6.

wiadomości wszelkich zakątków ziemi, a kiedy teraz w tym oświeconym wieku, nie jeden majętny i bez zatrudnienia szlachcie żałuje kilkunastu złotych, żeby mieć podobny skarb na własność, kiedy się leni wyprawić posłańca o pół mili do pocztowej stacyi, Kochanowski przy szczupłym swoim mieniu i przy innych pracach, niemal co tydzień wysyłał umyślnego z własnoręcznemi listami, coraz w inną stronę Polski; mianowicie tam, gdzie król bawił dworem, gdzie sejm się zebrał, gdzie ważną sądzono sprawę.

Poczta bowiem — jeszcze za panowania Zygmunta Augusta od Włochów Montelupich utrzymywana — była prawie wyłącznie rządowa i królewska; za granicą znała tylko jeden gościniec: z Krakowa do Wenecyi; w kraju: z Krakowa do miejsca, gdzie król przebywał; po drodze zaś nigdzie się nie zatrzymywała, żeby prywatne przyjmować lub oddawać listy. — Nie dosyć na tem, Kochanowski inne jeszcze zadawał sobie prace, inne podejmował zachody i koszta, a w tem naśladował co widział u starego hetmana Tarnowskiego, i tylu innych zacnych Polaków. Naród, który sam o sobie stanowił, który od sejmu do sejmu, od elekeyi do elekeyi przyszłość sobie sam zakreślał, potrzebował mieć nieustannie pod ręką wierny obraz własnych dziejów. Drukowane księgi — aczkolwiek już więcej niż od wieku druk był wynaleziony i za owych czasów więcej było drukarni w Polsce niż dziś — drukowane księgi nie przychodziły mu w pomoc. Kroniki nasze z małym wyjątkiem ukazywały się opodal od chwili obecnej; Polak odważny w boju, zuchwały na obradach publicznych, zawsze był drażliwy na głos historyi własnej — wszystkie śmielsze dzieła zostawały w rękopismach. Naród sejmami stojący nie miał

publicznych dyaryuszów. Wszystko to więc zastąpić należało domową skrzętnością. I lubo niestety! teraz nie należymy do tych ludów co najwięcej skarbów historycznych liczą, śmiało powiedzieć można, iż w żadnym kraju większej nie okazywano troskliwości na zachowanie pamięci spraw narodowych. Każda znakomitsza rodzina staropolska — na wzór klasztorów — które mają księgi, gdzie spisują z kolei dzieje swoje pod tytułem: *Historia Domestica* — utrzymywała także domowe akta historyczne, gdzie syn po ojcu zapisywał, to osobiste przygody, to sejmowe, sejmikowe i trybunalskie wypadki, to szykował w rosnących plikach mnogie polityczne korespondencye monarchów zagranicznych, królów polskich, senatorów, ministrów, relacye wypraw wojennych, poselstw... Kochanowskiego zbiory należały do najbogatszych; wszystkie cztery ściany jego pokoju zastawione były od góry do dołu pułkami w przegrody, z których każda oddzielny w sobie skarb kryła. Żadna ważniejsza publiczna przygoda ujść jego wiadomości nie mogła; prawie każdą ospiewać musiał; niefortuną opłakał, pomyślniej dodał chluby; a kiedy tego potrzeba było, odzywał się głosem przestrogi i prawdy! rzucał nawet błogie ustronie swoje, żeby osobiście w zgietku obradującej szlachty przemówić. Znaczniejsze prywatne zdarzenia, również wiadomości jego nie uchodziły; znać mu o nich dawano z całej Polski; żał po stracie rodzica, towarzyski, lub syna, zdawał się mniej dotkliwy sierocie, mężowi, ojcu — szczęście w zawieranem małżeństwie pewniejsze, chwala o odniesionego zwycięstwa na wojnie większa, kiedy śpiewak z Czarnolasu nastroił złotą lutnię swoją i rozgłosił po kraju, smutek, wesele, czy tryumf. — Zajmowało także mocno Kochanowskiego cokolwiek się

w Rzeczypospolitej nauk, jakby w tem jego państwie działało. O wszystkich tych szczegółach dowiadywał się nie tylko z odbieranych listów, ale i z ust ówczesnych pisarzy, którzy mając go za pierwszego polskiego poetę, odwiedzali go chętnie, czasem w licznym zebraniu. — Na przyjmowaniu tych gości i sąsiadów, na innych obowiązkach nie mało czasu mu schodziło. W każdym położeniu są takie zabawy i trudności, iż człowiek swej wolności użyć nie może, i często ludzkim niewolnikiem być musi; on też dlatego opatrzył sobie ów kącik osobny, ów pokój prawdziwy, i rzadkim był dzień, żeby tam na czas jakiś się nie schronił, nie zamknął się sam w sobie, a w świat inny, w świat lepszy się przenosząc nie spędził kilku godzin w owej błogiej strefie, którą poeta łagodny i pobożny stwarzać koło siebie umie. Najczęściej nawet jego pracę modlitwą nazwać należało; od czasu jak mężem i ojcem został, zaprzestał zupełnie płochych i rubasznych Fraszek; psalterz tłómaczył, pobożne pieśni składał. Kiedy też żona przyszła zakołatać do drzwi, i zaprosić go do stołu, lub donieść o jakiej domowej okoliczności, o przyjeździe posłańca, czy gościa, on szedł natychmiast bez przymusu i gniewu i wnet jego giętki i układny umysł, który do wszystkiego i do każdego sposobieć się umiał, brał czynny udział w potocznem życiu, jak gdyby nigdy nie bujał gdzieś wyżej.

Żonie atoli jednej wolno było przyjść pod drzwi owego pokoju; nawet Orszulka nie poważyła się dotąd pójść ani razu na górę; żona wiedząc ile drogie i miłe są mężowi owe samotne chwile, ułatwiała za niego póki mogła różne sprawy; i wiedział on dobrze, iż jego Hanna nie zakołacze do niego chyba w rzetelnej potrzebie; nigdy dla widzimisię ani dla własnej przyjemności.

Bo też Bóg łaskaw na Kochanowskiego, wypełniając nad nim błogosławieństwo macierzyńskie, opatrzył go owym prawdziwym a rzadkim skarbem: dobrą, wierną, roztropną, rządzoną towarzyszką.

Hanna Dorota Podlodowska tak nieszczęśliwie straciwszy matkę w pierwszym dzieciństwie swoim, wychowana była jak wiemy w klasztorze; i gdyby nie traf, który Kasprowi Kochanowskiemu przypomniał jej imię wtedy, kiedy doradzał bratu ożenie się, byłaby najpewniej została zakonnicą. Trwożył ją bowiem ten świat gdzie nie miała rodziców, z którego pamiętała tylko zamieszanie, tułactwo, żałobę; i sam brat, jedyny jej opiekun i blizki krewny — jakkolwiek go kochała — rycerz zawsze zbrojny i do boju gotowy wzbudzał w niej pewną obawę. Nie miała przecież powołania do duchownego stanu; stworzoną była na żonę i na matkę. Żywa i wesoła, owego świata który ją trwożył, strasznie była ciekawa i myślała o nim nieustannie; nieraz klęcząc przed obrazem Matki Najświętszej,¹ zapominała naznaczonych paciery dla wpatrywania się z lubością w Boskie Dzieciątko, i coś w niej mówiło: — I jabym dzieciątko piastować rada. — Kiedy więc właśnie w porze, gdy lat ośmnaście skończyła, brat do kraty klasztornej ją wywołał i spytał jej się czyby nie miała wstrętu do małżeństwa? zarumieniła się i rozśmiała w miejsce odpowiedzi; a gdy jej oświadczył jaki mąż jej się trafia, ona bez wahania przystała na oddanie mu ręki. Gdy zobaczyła Kochanowskiego, nie pożałowała prędkiego namysłu. Miał on wprawdzie lat prawie drugie tyle co ona, nie był wcale tak piękny jak Podlodowski, a życie może zbyt wesołe przerzedziło włosy przed wiekiem, ale był przyjemny, a co wiele zawsze znaczyło w niewieściach

oczach, był sławny, okrzęsany, dowcipny, rozmowny. Obyczajem owych czasów, w tydzień po poznaniu swego bogdana, już była jego żoną; a na drugi tydzień panią w Czarnolesie. — Złączona z mężem tyłu węzłami, nowe, inne zupełnie życie rozpoczynawszy, pokochała do zgonnego przyjaciela całym sercem, wszystką myślą swoją. Przez niego prowadzona, oświecana, w świecie zupełnie jej obcym, uważała go za pana i mistrza, za prawdziwego wodza młodości swojej. Przyjrząwszy się z bliska cnotom jego, wziętości, widząc jak cząstka tego ludzkiego szacunku i na nią spływa, pojąć się często nie mogła: za jakie zasługi Bóg miłosierny takim szczęściem obdarzyć ją raczył. Łzy pokory roniąc modliła się gorąco, żeby jej dopomógł do stania się godną tej łaski; i temu staraniu poświęciła życie, przyjmując cierpliwie — że nie powiem radośnie — wszelkie przykrości nieodłączne od powołania niewiasty.

Bo wtenczas kobiety mniej uczone, mniej ogładzone i wykwentne, mniej powabne i zajmujące od dzisiejszych, więcej z najważniejszą umiejętnością — z nauką życia i szczęścia obeznane były; i sprawdziło się na nich owo dawne przysłowie: »Nie kto co umie, ale kto co potrzeba, mądry«. Rzetelnie pobożnym i rozsądnym, nie przyszło nigdy do głowy, żeby kto mógł być na tej ziemi zupełnie szczęśliwym. Podległość, bóle, troski, trudy, prace, na które dziś weszło w zwyczaj gorzko i ostro narzekać, w ich oczach prostowidzących należały do powołania kobiety, żony, matki, gospodyni, jak cień należy do światła, starość do wieku; zniesienie ich mężne, osładzanie cierpliwością i swobodą umysłu rachowały do koniecznych obowiązków tego stanu. — Kochanowska byłaby posądziła o niewczesne żarty tego, coby się poważyl

utyskiwać nad nią lub dziwić się, że ona męża słuchać musi, że do spraw rządowych nie jest wzywana ani przypuszczana, że nie jest posełknią na sejm, wojsku nie hetmani*), że w zamian dzieci rodzi, a zatem cierpi i choruje; albo ktoby ją żałował, że karmiąc sama nocą nie dosypia, że trudniąc się córkami, gospodarstwem, rano wstawać musi, pracować, doglądać czeladzi, nieraz zmartwić się lub rozgniewać, że wreszcie prostą będąc szlachcianką, nie używa tego, czego używają żony panów, niema takiego zamku ani dworu jak pani Firlejowa w Janowcu, albo pani kanclerzyna Zamojska w Knyshynie.

Tak myśląc była sobie swobodną, wesołą, szczęśliwą, nie żeby w jej losie żadnych przykrości nie było, ale że znosić umiała. — Zapewne Kochanowski w utworze, w układzie pism swoich, nie radził jej się, ani z nią rozbierał sposobów poprawy Rzeczypospolitej, ani też rozprawiał o wysokich naukach, o teologii, astrologii, filozofii; nie; tego nie było, i podobno — obeszło się; mężczyźnie uczonemu, pracującemu umysłem miłą jest zapewne żona, która go rozumie; ale miłą jeszcze i potrzebniejszą ta, przy której wypocząć może; ta która wszystkie trudy potocznego, poziomego życia bierze na siebie, żeby on swobodniej i bezpieczniej mógł się wznosić gdzieś wyżej.

Nie było jednak bez tego, żeby Kochanowska nie wiedziała o tem co mąż pisze, żeby jej nie przeczytał jakiejś pieśni nowo ułożonej; psalmy zwłaszcza, które w wyższej myśli i z taką pracą przekładał, powtarzał przed nią i przed córkami skoro który wykończył, i były

*) Łukasz Górnicki w Dworzaniu.

w ustach córek i całego domu; co więcej, sam przyznawał, że zyskuje przy niej, że ona najlepiej w to radzi, iż

sajdakiem uzbrojone dziecko
Z macierzyńskich gałązek jemu wieniec plecie;

nieraz bowiem, z jej opowiadania, z pieśni nabożnych i świeckich, które przy robocie śpiewała, uchwycił wyraz, obrót i tok słów, myśl nawet, bogacił tą zdobyczą wiersze swoje; a potem świat się dziwił, skąd czerpie nowych ozdób, skąd dobiera nadobnych i trafnych wyrażen? i jakim cudem, pod jego piórem poezya polska tak długo gruba i nieokrzesa, godna się staje obok greckiej i łacińskiej stanąć?

Gdzie rodzice podobni są do obojga Kochanowskich, tam już prawie potrzeby niema pytać się o dzieci, choćby też ich i najwięcej było. »Jakie drzewo, takie owoce«. Bez wielkiego mozołu, jedynie ciągłym dozorem, dobrym przykładem, wpojeniem od pieluch posłuszeństwa i zamiłowania pracy, dobra matka prowadziła gromadkę swoją, jak biegły i troskliwy pasterz trzodę swoją prowadzi. Bojaźń Boska i bojaźń ojca — owego obrazu Boga na ziemi — całą były jej sztuką. Te proste słowa: »Pan Bóg na nas patrzy«. »Ojciec się dowie« były prawie zawsze dostatecznym hamulcem od złego dla starszych; a z małemi, które jeszcze prawd moralnych nie rozumieją, a są najczęściej harde, uparte, kłamliwe, obchodzono się też wtedy powszechnie bez dzisiejszych wytwórności:

Różczką dziateczki Duch święty bić radzi,
Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi i t. d.

Tej piosnki — choć podobno nieco później objęte ry-
mem — wszystkie matki się trzymały w najwyższych
i najniższych stanach; a to równie bez złości, gniewu
i uniesienia, jak bez spazmów i płaczów serdecznych.
W dzieciach, ani póki dziećmi były, ani gdy wyrosły,
nie powstawał z tej przyczyny żaden żal do rodziców.
Plagi należały się tak młodym, jak rany i cięcia męż-
czyznom, boleści rodzenia białogłowom; uważane za rzecz
konieczną i zbawienną nie martwiły, ani obruszały ni-
kogo. Wszak Kazimierz Jagiellończyk mawiał: — »żadna
muzyka nie jest miłsza uszom moim jak kiedy słyszę
chłostanie synów«. Nie mówił tego z żadnej skłonności
do okrucieństwa, bo był to król dobry jak cały ród Ja-
giellów, ale mówił tak, gdyż go cieszyło, że mistrze wy-
brani do prowadzenia królewiczów, nie pieczęją ich ani
im folgują, i wykształcą ich, nie tylko na książąt, ale na
ludzi. Bo rzecz uwagi godna, że w owych czasach plagi
nie poniżały, nie bydłęciły — że tak wyrazić się po-
ważę — owszem zdaje się dodawały hartu młodej du-
szy i przyzwoitej śmiałości. Nie wiem jak się to działo —
aleć każdy przyznać musi, że z pod tego bicia nie wy-
chodzili podli i ślepo posłuszni niewolnicy.

Żadne dzieci najwięcej cackane, głaskane, najzupel-
niejszą wolność mające, podług najmędrszych i najno-
wszych ksiąg prowadzone, nie mogą mieć rzetelniejszej
czci i miłości dla rodziców, od tej, jaką miały dziewe-
czki Czarnoleskie; i żadne choćby na łonie zbytku, wśród
hucznych i wyszukanych zabaw, w jedwabiu i w złocie
chowane, nie mogły być od nich weselsze, swobodniejsze,
zdrowsze i szczęśliwsze. Była w prostem i surowem
wychowaniu dawniejszem, korzyść wielka dla samychże
dzieci; wszystko dla nich było wyborne, wszystko je ba-

wiło; wcześniej i lepiej poznawały i pamiętały co złe a co dobre, co im wolno, czego nie wolno; stąd, postępowały raźniejszym i pewniejszym krokiem. — Najmniejsze dziecko, jeśli tęgie plagi za jaką winę weźmie, nie dopuści jej się drugi raz, bo pamięta karę; po lekkim choćby też częstem łajaniu, albo kiedy dziś za jedną rzecz jest napominane, a jutro mu ją przepuszczają, wraca się do niej, gdyż się zapomina albo nie dba; i wiecznie jest strofowane. Również, przy dzisiejszej chęci niektórych matek, żeby ich dzieci były doskonałe, i przy ważności jaką im nadają w wielu domach, otacza zbytnia troskliwość, która je nudzi, psuje, i do rozwinięcia ich natury przeszkadza. — W Czarnolesie nie było żadnej przesady, wszystko szło z prosta. Dziecię każde poczytywano za błogosławieństwo, ale żadna z dziewcząt nie wystawiała sobie, że jest jakąś ważną osobą; a wiedząc, iż rodzicom winna życie i wychowanie, raczej uważała siebie jako stworzoną do posługi i pociechy rodziców, niżli rodziców stworzonych dla siebie. Każda ze starszych wiedziała też dobrze, iż nadejdzie czas, kiedy ich porzuci; kiedy jak gałązka wierzby od pnia odłączona, sama w drzewo kształcić się będzie musiała; spieszyła się tedy z okazaniem wdzięcznej miłości matce i ojcu, pragnąc za tyle łask odebranych oddać choć trochę.

Z tem przekonaniem i w tych uczuciach wzrosła i rozwinęła się Ewa; Ludwina znająca od kolebki przeznaczenie swoje i godna jego, poszła jeszcze wyżej; a za ich przykładem — jak to zwykle bywa — za starszemi siostrami rosły, rozwijały się i dążyły młodsze. Nie powstało w głowie ani ich ojca ani matki układać mądrze plany ich wychowania, albo troskać się o ich umiejętność i talenta. Ów kłopot dzisiejszych rodziców, ów ro-

hak dzień i noc je gryzący, ówczesnym zupełnie był nieznanym. Skoro dziewczę miało matkę, już rzecz była skończona. Edukacya, pensye, guwernantki, instytutu, nawet z nazwiska znane nie były; język nasz nie miał tych wyrazów; sieroty albo panienki przeznaczone do duchownego stanu oddawano do klasztorów, czasem zaraz z dzieciństwa, częściej później, jak to naprzykład Ludwinę; były także po dworach królowych i pań bogatych córki szlacheckie, najczęściej ubogie, pod dozorem poważnej mistrzyni; ale były to już panny odchowane, dorosłe, które po kilku latach wydawano za mąż, dawszy im posag jaki taki, o mężów też daleko było łatwiej niż teraz, bo niemal wszyscy mężczyźni się żenili.

Nie była tedy kłopotem żadnym dla naszej Kochanowskiej, ani edukacya, ani przyszłość jej sześciu córek. Ona nawet — w dzisiejszem rzeczy rozumieniu — nie uczyła je niczego sama; i w tej mierze przyznać trzeba, ówczesne matki daleko mniej miały pracy od dzisiejszych, które często podejmują ciężar nad siły swoje; i dźwigają go z własną i z dzieci szkodą. W każdym szlacheckim domu, gdzie rodzice chcieli, żeby ich dziatki coś umiały, był i bakałarz, który je czytać, pisać, rachować i łaciny uczył, nauki wiary zaś nikt tknąć nie ważył prócz duchownych. To samo było i w Czarnolesie; ksiądz Maciej wyuczył dziewczęta tego co głównem jest w katechizmie, i to w krótkich słowach, bo wtedy kobiety nie rozumowały o wierze, tylko wierzyły; a pan Łukasz wziął inne rzeczy na siebie. Kochanowska na swoje nauki nie miała godzin: i nie dawała żadnych — jak dziś zowiemy — lekcyi. Nauczyła pacierza każdą z córek, zresztą miała je zawsze przy sobie; a głównem staraniem jej było, żeby od chwili, kiedy dziewczę już

sposobne do jakiegobądź zatrudnienia, żeby coś robiło zgodnego z wiekiem swoim i z siłami. W prostem, wiejskim życiu dla trzech, czteroletnich już łatwo było o takowe zajęcie; postępując tak ciągle z każdym rokiem, coraz trudniejsze i cięższe zadawała im roboty, żądając zawsze rachunku z nich, i kończyło się na tem, że Ewa i Ludwina nie ucząc się formalnie, już to samo umiały i robiły co matka, i we wszystkim pomocą i wyręczeniem jej były. — Lecz z czegoż to się składała owa ich umiejętność? Oto umieć chodzić koło nabiału, koło drobiu, koło przedziwa, koło ogrodu; umieć pięknie prać chusty, szyć w rękę i w krosnach; znać sekretów lekarskich i przysmaków kuchennych i aptecznych jak najwięcej. Wtedy prace ręczne i gospodarskie były powszechnem kobiet zatrudnieniem, zacząwszy od królowej Anny, skończywszy na najprostszej szlachiance; mało kiedy zajmowały się piórem albo książką. — Wreszcie, jakże to wówczas inaczej wyglądało czytanie jak teraz! Nie można było położyć się niedbale, i wziąć się do niego z lenistwa, z próżniactwa. Należało zasiąść przed stołem, księgę położyć przed sobą na pulpicie i czytać z całym przyłożeniem uwagi, nie oczami tylko, ale najczęściej głośno, po słowie. Wtedy, tak niedawno po wynalezieniu druku, nie było lekkich książek ani treścią, ani wydaniem; z arkuszowej, gockim drukiem, poważnego stylu, czytało się po trochu, jakby na lekarstwo; i gdyby kto był powiedział Kochanowskiej i jej córkom: że są kobiety co się nie znają ani na kuchni ani na gospodarstwie, co prząść i szyć nie umieją, tylko cały dzień czytają i piszą, byłyby się więcej zdziwiły i zgorszyły niż my dziś, że jakaś osoba wysokiego rodu i majątku czytać i pisać nie umie. — Ale też tamtą

i dzisiejszą porę lat blisko trzysta przedziela! Ciekawa rzecz co będzie za drugie trzy wieki? — Mnie coś mile do ucha szeptce, że i pół wieku nie upłynie, a udoskonalone kobiety nauczą się łączyć prostotę i pracowitość dawną z dzisiejszą oświatą, i znowu dziwić się i gorzyć będą: jak mogły być jedne tak niebaczne, co nie chciały łączyć zalet niewieścich z korzyściami, jakie postęp wieku przynieść koniecznie musiał; a drugie tak ciemne, co dla cząstkowych nadużyć potępić były gotowe wszelkie światło, i do dawnej a już niepodobnej wrócić niewiadomości?

Ale ja wpadłszy na ulubiony sobie przedmiot zapomniałam zupełnie o gościach Czarnoleskich. Czas do nich powrócić.

ROZDZIAŁ IX.

Ale wczas wiedzieć, że nie dźierzę z temi
Który przyjaciół szukają pełnemi.

I. 26.

Goście zebrani w dniu tym w Czarnolesie byli wszyscy bliscy sąsiedzi Kochanowskiego a po większej części krewni; równi jemu urodzeniem, może i wyżsi majątkiem, nie dochodzili go daleko wychowaniem, ogładą i nauką. Jednak lubo z jego poezyi najlepiej rozumieli i cenili Fraszki, lubo o nich to on myślał, kiedy pisał: że »próżen słuchaczy gra za płotem« oni szanowali w nim wyższego człowieka, i z równą chęcią i uszanowaniem wchodzili na jego niskie progi, jakby na najwyższe.

Owej niedzieli jeszcze z większą niż kiedy pospieszyli ochotą, jakby pszczołą na kwitnącą tatarkę; różne ważne publiczne wieści krążyły w powiecie; obaczywszy więc pana wojskiego w parafialnym kościele z panem podkoniuszym królewskim, osądzili w sobie, iż niezawodnie dowiedzą się od niego prawdy, i że więcej jeszcze im udzieli nowin niż zwykle.

Dla całego swego sąsiedztwa, Kochanowski był chodzącym dyaryuszem spraw krajowych, gdyż nikt w okolicy nie miał tyle stosunków z dworem królewskim, z kanclerzem i z innymi panami rad, nikt tyle o wiadomości się nie starał. Nie tajno tedy było nikomu, iż on wie wszystko najpierwej i najrzetelniej; a że ludzie niczego chętniej nie udzielają drugim jak nowin, wiedziano o nim i to, iż je rad rozpowiada, nie ukrywając przytem własnego zdania o rzeczach. — Jakkolwiek wszystkie te względy pomnażały szacunek sąsiadów dla pana wojskiego, nie można przecież przyznać, aby on był kompasem, podług którego nastawiano polityczne zegary w całym powiecie. — Nie. — Trudna zawsze była sprawa z naszą polską szlachtą, i z niej urosło to przysłowie: »Co głowa — to rozum«. Mimo tedy wysokiego szacunku dla Kochanowskiego, mało w czem się z nim zgadzali. — On uczeń starego Modrzewskiego, owego praojca Leszczyńskich, Konarskich, Kołłątajów, zwolennik i wielbiciel króla Stefana i Zamojskiego, chciał poprawy Rzeczypospolitej, chciał silnej najwyższej władzy, porządku w elekeyach, stałych podatków i żołnierza, wołał na uciemnienie kmiotków i mieszczan, na nadużycia panów i szlachty, złorzeczył owej wolności co tak często w swawolę się obracając niewolą groziła, nie mógł przeto znaleźć potakiwania u tych, dla których te wszystkie nadu-

życia były najdroższym przywilejem, którzy mówili, a raczej bluźnili: — Lepiej aby nieprzyjaciel trzykroć Rzeczpospolitę przeszedł i zwojował ją, niżliby się co z praw naszych wykroczyć miało. — Lecz dla tej samej różności zdań, zjazdy w Czarnolesie były zajmujące; wyższe wychowanie gospodarza, znajomość świata, cześć jaką wzbudzał, oddalały nieprzyzwoite kłótnie i krwawe zartargi — gdzieindziej dosyć pospolite — zachowując tylko sporom i rozprawom iskierkę owego ognia, który podchoceniem rozmowy nazwać się może.

Nie mogło też i braknąć wątku do gadania ludziom, co chętnie rzeczami publicznymi się zaprzęтали, tak przez przywiązanie do kraju, jako i z powodu owej wolności i sposobności, jaką miał każdy do ganienia tego co wyżsi robili. — Zawsze też w każdej porze jest jakaś główna krajowa, albo zagraniczna okoliczność, która umysły zajmuje, ciekawość wznieca, krytykę budzi. Od czasu jak ludzie zebrali się w towarzystwo, braknąć na takich nie mogło; jedna tylko zachodziła zawsze różnica: mniejszy lub większy rozgłos nadany tej okoliczności; miarą zaś tego rozgłosu najczęściej traf rządu; nieraz drobna, ladażaka przygoda więcej się rozślawi od wielkiej, jeżeli przyjdzie sama; pamiętam w Warszawie o jakimś malowaniem oknie, o dwóch wierszykach, gadano i pisano przez kilka tygodni, w parę lat potem zjawiła się cholera, i mało kto o niej wspominał.

W owym roku 1584 — który jest jak wiadomo rokiem bieżącym niniejszych obrazów — nadto było wielkości i swobody w Polsce, aby ktokolwiek miał się trudnić mocno, malowaniem albo wierszykami; zanadto znowu szczęścia i bezpieczeństwa, aby podobnie straszliwe zdarzenie jak np. morowe powietrze nie było za-

jęło wszystkich. — Rok ten, ósmy od wstąpienia Stefana Batorego na tron, może się nie liczy do najważniejszych i najpomysłniejszych z pamiętnego jego panowania; nie widział on owych zwycięstw jak pod Gdańskiem, pod Połockiem, pod Wielkimi Łukami; data jego nie została zapisana na podobnie ważnych ustanowieniach, jak trybunały dla Korony i Litwy, urządzenie kozaków, akademii Wileńska; ale był to rok dosyć obfity w wypadki, a zatem i w wieści. — Obecnie dwie przygody miały najwięcej rozgłosu w Sandomierskiem województwie i w Polsce całej; jedna: śmierć okropna Iwana Moskiewskiego, owego niesłychanego potworu, okrutnika, dziwaka, ciemiezcy, którego dzikie panowanie nie było przecież bez blasku, bo póki go nasz Stefan nie upokorzył miał się za niezwyciężonego; druga: coraz większe zuchwalstwo Samuela Zborowskiego, wygnańca za zabójstwo od czasów króla Henryka i skazanego na gardło, gdyby do ojczyzny wrócić się poważyl: a który mimo tego słańiał się po całym kraju z uzbrojoną zgrają, a jak słychać było — z nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej miał znowy i knuł spiski na życie króla i Zamojskiego.

Te dwie przygody, wszelkie ich skutki — gdyż pokój zawarty z Moskwą przed dwoma laty, dwóch tylko monarchów obowiązywał, a zuchwalstwo Zborowskiego albo jego życie, albo powagę prawa na szwank narażało — te przygody, mówię, dostarczyć mogły treści do obfitej i żwawej rozmowy. I dostarczyły. Od godziny drugiej z południa do samej wieczery nie ustała ani na chwilę; a że u Polaków zawsze było łatwiej o głos niż o ucho, słychać było silne gadanie, krzykliwe zdania na kilkanaście staj w około; każdy zaś z obecnych mało

co od drugiego się nauczył i niezawodnie z takim samym zdaniem odjechał jak przybył.

Dzień był jeden z tych najcudniejszych jakimi w naszym kraju, wiosna na samym wstępie czasem nas darzy, a które potem nieraz w maju i w czerwcu mrozem i śniegiem odpokutować przychodzi. Powietrze było ciche, czyste i ciepłe; oddychając, patrząc na błękit nieba i na jasne słońce, zdawało się, że ziemia jedynie przez zapomnienie godową szatę swoją ledwo na pół oblekła. — Zamiast tedy zamknąć się w izbach, cały zjazd na dworzec się rozgościł.

Przed domem Czarnoleskim był jak wiemy obszerny ganek, było i wielkie podwórze okolone płotem, zamknięte wrotami; na boku wznosiła się jak wszędzie studnia, nad nią na belce między dwoma słupami umocowany krąg, po którym liną wciągano kubeł, w środku słup wiadomy z trzema kółkami; z dwóch zaś boków rosło kilka pięknych jaworów; pod niemi stały ławki; na podwórzu leżały, sterczały jak to w gospodarstwie, belki i tarcice, pale i kołki, które synowcom Kochanowskiego, a często i córkom służyły do ćwiczeń rozmaitych wtenczas w używaniu będących, do biegania, skakania, ciskania, trafiania. Każdy więc wiek, płeć każda znalazły tam dla siebie przyzwoite i dogodne zabawy i miejsce. — Pan wojski z panem podkoniuszym i ze starszymi mężczyznami rozmawiając ciągle zajął ganek; kazał stół wynieść, dzbany z piwem i kusle postawić, i zalecił piwnicznemu, żeby raz na raz pełne były. Nie popróżnował stary Marcin i chwili; i to nie do piwnicy chodził dzbany swoje nalewać; przezorny i doświadczony wystawił beczkę na podwórze, położył ją na ligarach, już z umysłu zawsze koło ganku stojących, i tak toczył

piwo, póki szło klarowne. — Kto wiele i żwawo mówi, temu w gardle zasycha; wiadoma i najmniej zaprzeczna prawda.

Koło prawego węgła domu, pod najstarszym jaworem, przy którym kilka ławek stało, pani wojska zebrała sąsiadki przybyłe z mężami. Ewa i Ludwina przyniosły stół, nakryły go białym obrusem, zastawiły ciastem, owocami smażonemi i suszonymi, nawet kilkanaście jabłek szczecinek, zachowanych z zimy wynalazły; dobiły także z piwnicy butelkę syconego miodu, podały małe srebrne kubeczki. Szanowne białogłowy kosztując przysmaki, popijając je słodziutkim trunkiem wcale nie milczały: i one miały wiele do powiedzenia sobie; znając się od dawna i z bliska, jeden rodzaj życia prowadząc, podobne mając zatrudnienia, też same widując osoby, wszystko im było wspólne, wszystko zajmujące: rozumiały i uciechy i kłopoty wzajemne, oceniały trudy i prace. To jedna druga pytała o młodsze dzieci pozostałe w domu, o słabość przebytą lub spodziewaną; o czeładź, jak się sprawia, o krowy, czy poprawiają się z mlekiem? to znowu o ogrodzie, o innem gospodarstwie była mowa. Jedna się chwaliła, że już grządki w swoim wirydarzu zasiała pachnącemi ziołmi, róży nasadziła; druga, że ogórki posiała w skrzyni, także i melony; trzecia, że z lipowych korzeni napaliła wódki do apteki; ta, że już się jęła do bielenia płótna; tamta, że pokrzywy młode z otrębami pszenicznymi daje kokoszom, żeby się jej dobrze niesły, owa, że już ma spore kurczęta, bo je pod własnem łóżkiem wyhodowała. To znowu opowiedziawszy sobie co już zrobiły, wyliczały co zrobić zamysłają: wszelkie obawy i nadzieje swoje; a w tej całej pogadance widać było, że i starsze i młodsze bardzo po-

legają na zdaniu pani wojskiej, i nie mało o jej dobre słowo im idzie. — Kiedy już o domu, i o sobie do woli się nagadały, nie ręczę czy na nieobecne sąsiadki jaka fatalna kolej nie przyszła; czy się tam czego nie dostało próżniactwu tej, roztropności owej, niedbalstwu lub kordyace tamtej; czy nie było mowy o snach, o urokach, o czarach, w które wtedy najrozsądniejsze wierzyły? ale to pewna, że im nie wiele czasu zostało do tych pocisków i do tych bajek, ile, że przerywaną była często i głuszoną ich pogadanka przez dziatwę i przez młodzież.

Bo dwie gromadki, któreśmy tu opisali, uważać tylko należy jako dwie podstawy zebranego towarzystwa; znajdowały się tam inne nierównie głośniejsze, ruchawsze i weselsze, które zdawało się, że całość stanowią. Zaczniemy od bliższej.

Były to trzy młodsze Kochanowskie, a z niemi kilkoro dzieci sąsiedzkich. Trzymały się niedaleko matek, jak gdyby pod ich cieniem, i choć które odbiegło, wnet wracało i zawsze coś miało swojej do ucha powiedzieć. Prawda, że ich też wabiły nie pomału rozstawione tuż przysmaki. Dla nich nie postawiono ani ławki ani stołu; murawa była im siedzeniem i nakryciem, jeżeli się zdarzyło, że które usiadło i chciało zjeść porządnie. — Chłopcy rzucali w górę chwytkę, łapali ją zręcznie, puszczały cygę, pobudzając ją biczem kiedy już kręcić się przestawała, wywracali kulki; dziewczynki wiązały trawę, ubierały sobie łątki, albo też która z figlarniejszych, siadała naprzeciw drugiej jak mogła najbliżej, wpatrywała się w nią oko w oko, mówiąc:

Patrzajmy się,
Nie śmiejmy się:

Kto gębą ruszy
Tego za uszy.

A z tego zalecenia nie śmiania się powstawały śmiechy tak wielkie, iż matki musiały aż strofować za ten zbytek, z bojaźni, żeby się dzieci nie zaniosły, albo kaszlu ze śmiechu nie dostały.

I druga gromada już cały krąg podwórza zajmująca doczekała się niekiedy strofowania poważnych białych głów, przynajmniej należące do niej dziewczeczki, skoro która bez pamięci biegać i skakać zaczęła, albo też dała się ciągnąć za ręce, szarpać za suknie. Prawda, że tam było najwesелей, najzabawniej, tam była młodzież, ta prawdziwa pani świata. Prócz dwóch córek gospodar- skich, Ewy i Doroty — gdyż Ludwina świadkiem tylko bywała wszelkich igraszek — było jeszcze kilka mło- dych panien. Było i mężczyzn drugie tyle: Adam i Ję- drzej Kochanowscy z Jasiénca, Mysłowscy z Zawady, Dąbrowscy z Piastkowa, Sieniński z Sawczyna; zjechał i pan Franciszek z odpustu i z uczt, ale ociężalszy niż kiedy, a nawet smutny, gdyż mu jakieś niespokojności przychodzić zaczynały, i jakby przewidywał, że dostanie odkosza przysiadł się do starszych, i niby słuchoł czy du- mał, a podobno drzemał; nasz pan Filip, którego pobu- dzały miłość i szczęście, był na czele całego grona i co- raz nowe wynajdywał zabawy, popisy, w których on zawsze wydał się najlepiej. To — podzieliwszy się na dwie strony, grali w żołnierzy czyli w obóz; Adam Ko- chanowski był carzykiem tatarskim, pan rotmistrz het- manem koronnym; wraz z towarzyszami staczali wza- jemne boje; najzaciętsza jednak walka była o branki. W obozie nieprzyjacielskim stały smutne wszystkie dzie- weczki, odbić je było trzeba; zaczałszy się misternie,

dotknąć się której z nich, a potem odbiedz tak prędko, żeby nikt dogonić nie potrafił. Nie łatwo to przychodziło; przecież Filip cztery uwolnił, a najpierwej tę, której sam był niewolnikiem. — To znowu nasunawszy czapkę na oczy, *zmurżkiem* się ogłosił i krzyczał: z drogi! z drogi! biegał jak szalony, wszyscy uciekali przed nim, on nie widział, przecież zawsze Ewę uchwycił. To zachęcał do takich ćwiczeń, w których mógł dać dowody zręczności lub siły; młodzieńcy na przechwał jeden przed drugim ciężary niosąc na oszczepach, biegli do naznaczonej mety, rzucali do słupa, pociskiem, mieczem; strzelali do celu, jajka rzucali w górę i łapali je w całości, wskakiwali pędem na wysoko leżącą belkę jakby na drewnianego konia, po wązkim płocie chodzili, broniąc się z całych sił tym, co zepchnąć ich chcieli. Gdy w tej ostatniej zabawie przyszło do głośniejszego gadania, a nawet do lekkich przemówień między młodzieńcami, dziewczeczki cokolwiek zestrachane zbliżyły się do matek, i z młodszą gromadką bawić się zaczęły. Ewa, której nigdy wątku do zabawy nie brakło, i w której oczach śladu już nie było łez wczorajszych, wybiegła na chwilę, za drugi róg domu do kuchni, do Nastki; a wnet obiegając przez ogród, pokazała się dzieciom jak stara baba; schyłona, kulawa, cała owinięta płachtą trzymała w ręku kij, jakby wielką kądziel, także osłonioną białą chustą. Oznaczyła kijem wielkie koło, powiedziała grobowym głosem: — To moje państwo — i kazała wszystkim dzieciom usiąść w wieniec w tem kole. Dzieci usłuchały chętnie, patrzyły na nią, a ona siadła w środku koła, i niby przedzie na swojej kądzieli i drzymie. Nagle owa stara baba zrywa się, podskakuje w górę, spada z niej płachta, spada i chusta z kądzieli, i okazuje się pęk

świeżych pokrzyw wiązanych koło kija. Tą bronią miotając na wszystkie strony goni za spłoszonymi dziećmi, wołając: *Rusałki! Rusałki!* ale jej władza za naznaczonym kołem ustaje, rzuca ze śmiechem parzącą broń, i znowu co innego wymyśla. — Oto do *przepióreczki* zwołuje i wabi; to także gra zabawna. — Kto chce być *przepióreczką*? — pyta. — Ja! ja! — odpowiada kilka głosów. Ona Dorotę jako domową obiera, stawia ją na miejscu jednym, a całej drużynie każe wziąć się za ręce, kręcić się koło niej, i śpiewać:

Jako rybka tuż za rybką,
 Jak jaskółka za jaskółką;
 Tak dłoń w dłoni, rażno w kółko,
 W płasach, w skokach, krążmy szybko.

Ale stojącej w środku dziewczeczce przykrzyć się zaczyna; jakkolwiek jej więzienie ruchawe, wesołe, zawsze więzienie; wreszcie drudzy biegają, śpiewają, a ona stoi jedna na jednym miejscu i milczy. Bieży tedy w tę i w ową stronę, pragnie wydobyć się z żyjącego wieńca; lecz na próżno! czy rozerwać chce trzymające się mocno ręce, czy przeskoczyć, czy podejść, wszędzie wyjście zagrożone, wszędy piosnka brzmi wesoła:

Fit, fit, *przepióreczko*,
Przepióreczko młoda, hoża,
 Nie ucieczesz nam do zboża,
 Nie ucieczesz, *kochaneczko*.

Z rozpaczyny dobywa siły, rozrywa koło, wybiega, niski płot przeskakuje i ucieka daleko; gonią za nią drugie, i przyprowadzają nareszcie zmęczoną, dyszącą, jak prawdziwą ptaszynę, kiedy ją strzelec lekko zrani i póty goni, póki nie schwyci.

Lecz nie tylko sama Dorota, już cała gromadka zmęczona. Kochanowska zaleca Ewie, żeby poważniejszą grę wymyśliła. — Grajmy w piekło i w niebo — odpowie Ewa — do tej gry i Ludwina należeć może. Przyjęła wezwanie łagodna dziewica, choć byłaby pewno wolała pójść samotnie w ogród dokończyć pacierzy; siostra dobrała jej w parę, gładką, wesołą, dziarską Justynę Mysłowską, i coś długo z obiema radząc i błagając Ludwiny prawie na klęczkach, postawiła je pod dwoma jaworami na dwóch kamieniach co za siedzenie służyły, i dała każdej w rękę koniec długiej rąbkowej tuwalni. Utworzył się tym sposobem łuk biały; Ewa stanęła pod nim i wyrzekła poważnym głosem: — Oto droga żywota; na jednej stronie niebo, na drugiej piekło; idźcie i wybierajcie! — a zebrawszy sznurem po starszemu wszystkie dziewczeczki i dzieci, przeszła z nimi dwa razy pod łukiem wielkie tworząc koło. Kiedy już trzeci raz przechodziła, Ludwina z Justyną zatrzymały Orszulkę, która jako najmłodsza szła na samym końcu; zatrzymały ją spuszczaając pod jej nogi białą tuwalnię, i powiedziały:

Pierwsze przepustne,
 Drugie darowane
 Trzecie: Do kogo chcesz?

Śliczna dziecina spojrzała i jednej i drugiej w oczy, a przyglądając się mile pięknej i łagodnej Ludwinie zawołała: — Tu niebo! — i przy niej stanęła. Podobnie za każdym nawrotem pod łuk dziewczeczki stojące zatrzymywały i pytały każdego; każdy obierał sobie jedną z nich, a większa połowa poszła za przykładem Orszulki. Nakoniec gdy już z całego sznura sama Ewa została,

krzyknęła z całych sił skazując na siostrę: — Oto starosta piekielny; oto dyabeł — i przywiązała ją do drzewa, białą tuwalnią. Wesoła zaś Justyna zeskakując z kamienia mówiła z tryumfem: — Ja wrotny niebieski, ja anioł! — Wszyscy potępieni strachem przejęci, ile że się tego bynajmniej nie spodziewali, uciekać, kryć się poczęli przed wybranymi, i musieli dać okup za swoje dusze. Jedna tylko Orszulka została przy Ludwinie; wcale jej się nie podobała ta gra: Matka zawsze prawdę mówić każe — powtarzała zachmurzona — Pan Jezus za kłamstwo się gniewa. A całej siły swojej używszy wstąpiła na kamień, i wspinała się na palce, żeby uwolnić uwiązaną siostrę. Patrząc na tego białego aniołka, i na dziewicę w czerni, jakby święte męczeństwo cierpiącą, i starszym zdawać się mogło: Tu niebo.

Ale szło teraz o odebranie okupu złożonego za dusze w ręce udanego anioła. Były to rzeczy nie drogie, przecież szacowne jak zwyczajnie u młodych: paciorki, wstążeczka, pierścionek, szpilka, medalik i t. d. Justyna usiadła na kamieniu, nakryła te wszystkie skarby chustą i pytała się na głos: — Co ma ten zrobić kogo fant trzymam w ręku? — Na to zapytanie zbliżyła się młodzień męzka oświadczając, że ona sądzić będzie, gdyż płci białej żadne urządowanie nie przystoi; a na powtórne zapytanie Justyny, krotofilny Adam Kochanowski odpowiedział: — Niech pokaże kolanko! Padł ten wyrok na Marychnę, ale się nie strwożyła; wiedziała z dawniejszego doświadczenia, że w takim razie kolanko, to łokieć. — Niech nogi założy na drzewo — odezwał się także z uśmiechem pan Andrzej. I w tem nie było nic nieprzyzwoitego, bo to nogi — od stołka. — Niech węgiel żarzący przyniesie w uchu — wyrzekł Mysłowski. Na

małą Orszulkę ta kara wypadła; pobiegła do kuchni i przyniosła rozpalony węgiel w uchu — od klucza. — Niech pokaże sztukę — postanowił Filip Owadowski. Dzieweczka, której się to wykonać dostało w wielkim była kłopotcie; ale wybawiła ją Ewa; zbliżywszy się do stolika uderzyła weń drobną pięścią po kilka razy i zapytała się sędziego: A co, czy nie sztuka? — Sędzia uznał się zwyciężonym i poważyl się ucałować tę drogą rączkę pod pozorem, że stłuc się musiała, stukając mocno w stół twardy.

Lecz w ciągu tych i tym podobnych zabaw, gospodyni, która się była wymknęła przed chwilą z uwolnioną Ludwiną, stanęła w ganku i zaprosiła na wieczerzę. Na ten głos powstali poważni mężczyźni, obudził się pan Franciszek, panie zbliżyły; ruszyła młodzież po panny i wszyscy weszli parami do izby. W czasie kiedy zjadali i zapijali smaczno, zajęły całe podwórze, wozy, półwózki, osiodłane konie, wreszcie woźnice i pacholki. którzy przez ten czas także się posilali z łaski gospodarzy.

Po wieczerzy nie zatrzymywała nikogo Kochanowska, i męża prosiła żeby nie przedłużał pożegnań. Przyczyną tego niezwyčajnego postępowania była chęć wypoczynku. Jutro raniutko mieli jechać do stryja Dobieśława — należało wstać przed świtem.

ROZDZIAŁ X.

Słuchaj, mogłeś na winnik chrustu nie żałować.
Ostatni wiersz Satyra.

— Pani żono, panno córko, nie mitrężyć; kwadrans czasu jeno pozwalam i w drogę. — Tak wołał naza-jutrz w poniedziałek, Kochanowski, wychodząc z izby do sieni, a wtórował mu pan podkoniuszy stojący w ganku i zupełnie gotów: — Ot! gdyby białogłowy i dziewczeczki żołnierzami były mówił z przekąsem — nieprzyjacielby uderzył, rozgromił, poraził, wszystką korzyść odjął nimby się one — ubrały.

— Matkę wstrzymuje dziatwa co zostaje w domu — powiedział ciszej Kochanowski — ale co Ewulka, to pewno przed zwierciadłem się mizdrzy i pyta go się: czy jej do twarzy? Panie Filipie, wasza w tem wina, dawniej, zaprawdę, rychlejsza była w swoim ochędóztwie.

— Już przy śniadaniu nie pannie Ewie nie brakowało — odrzekł młodzieniec skłaniając głowę z uśmiechem — mnie się widzi, że pani matce pomaga i z siostrami się żegna.

— Niema lepszych rzeczników jak kochankowie — powiedział pan wojski — ale źle robią niewiasty co się nie spieszą; konie wasze już strasznie niecierpliwe; patrzcie na mego, jaka powaga! — I w rzeczy samej konie Podlódowskiego i Filipa, konie nie ładajakie, przyzwyczajone do trudów, od jakiegoś czasu próżnujące a na dobrym obroku, dziś tak wczesnie okulbaczone wystawić sobie musiały: że ich rycerska wyprawa czeka; rżały, pieniały się, nogą ziemię kopały, wydzierały się wstrzymującym je pachółkom, aż Filip musiał chodzić od je-

dnego do drugiego, głaskać je ręką, łagodzić słowem, zwłaszcza ulubionego sobie a zawsze żwawego Turczynka; ki dy przeciwnie siwosz pana wojskiego stał sobie spokojnie, a jakby na dopełnienie rannego obroku skubał czubki młodych pokrzyw co pod płotem rosły. I trzy klacze zaprzężone do półwózka, którym Kochanowska jechać z córką miała, także bardzo cierpliwie owo czekanie znosiły, znać do tego nawykłe.

— Białogłowy już z zrządzenia Boskiego dom lubią — mówił dalej Kochanowski — i wielkiem to jest szczęściem. Ja tam prześladowę i niby gromię panią żonę, ale w duszy rad w niej widzę to zamiłowanie. Która mężatka chętnie i łatwo dom rzuca, za biesiadami chodzi, w towarzystwa różnych ludzi się wdaje, czyż nie otwiera drogi do tego, aby kto o jej stateczność się starał? a jak może działać się dobrze w domu, w którym gospodyni nie siedzi i sama wszystkiego nie opatrzy? Pani jest głową czeladzi, co ona czyni, to i oni. Trudno żądać, aby słudzy lepszymi byli od panów. — Jednak dziś chciałbym, żeby moja Hanna nieco prędzej się wybrała. Do Baryczy dwie mil drogi a pan stryj gniewałby się gdybyśmy późno przyjechali. Na godzinę przed południem jada a skromnie żyje kiedy sam; nie mogłaby już stryjenka dodać jednego i drugiego półmiska do obiadu, i przykro byłoby staremu. Brońże mnie Boże w czem najmniejszym go obrazić; szanuję go jak ojca. Nie uwierzycie, przyjacielu, co to dla mnie za wesele patrzeć na oną sędziwą twarz, co na moich rodziców patrzyła. On mnie dzieckiem znał, do chrztu podawał; on jeden już na całej ziemi Jankiem mnie nazywa; kiedy jestem w Baryczy, zda mi się, żem o jakie trzydzieści lat młodszy. Wreszcie i skorzystam nie raz od zacnego choć su-

rowego starca; mego Satyra jam prawie z jego słów ułożył?...

— A co się dzieje z jego synami? — zapytał Podlodowski — powiedz że mi, nie przystoi jadąc do ojca o synach nie wiedzieć.

— Zacni zawsze ludzie obadwa, zdrowi, i dobrze im się powodzi; pan Jan przeniósł się do ziemi Stężyckiej i jest podstarostą; pan Andrzej poseł na sejmy, stolnik Sandomierski mieszka zawsze w Gródku z żoną; nie widzieliście ich u nas; gdyż oboje pojechali do Lublina, objąć jakieś dziedzictwo po Mysłowskich; a potrzebny im grosz, gdyż dużo łożą na wychowanie dwóch synów w Lublinie i zaczęli już stawiać kościół w Gródku; chwalebnyć to cel, i stare stryjostwo zbiera co może, chcąc im w tem dopomódz...

— Poczciwy i bogobojny ten ród wasz — przerwał Podlodowski — mój Filip — dodał widząc młodzieńca zajętego ciągle końmi — nacieszyć się nie może, iż z takiego domu będzie miał żonę; wczora do północy prawił mi o swoim szczęściu; a dla mnie jakaż pociecha! siostrzenicę, córkę twoją, nazwać córką...

— Prawda — dopowiedział Kochanowski — tego jednego wężła nam niedostawało, żeby nas te same dziatki ojcami zwały.

— Przyjdą da Bóg i takie — rzekł wesoło podkoniuszy — co i dziadami wspólnie nas nazwą, i my się o to nie rozgniewamy. — I zaczęli oba przyjaciele rozwodzić się nad błogą przyszłością; która do nich się śmiała.

— A zda się — rzekł Jan — że się nią nacieszymy; stoimy w samym pośrodku życia, co to już nie jest młodością, ale od starości przecie jeszcze daleki; zdrowie

rzenki czyli buty z miękkiej kozłowej skóry do kolan dochodzące, gdyż takich wówczas używały kobiety do drogi. Nie zaraz jednak wsiadły obie do półwózka, który wnet przed gankiem stanął; wszystkie dziewczęta, Nastka, cała prawie czeladź wyszły przed dom; już od dawna się nie trafiło, żeby pani Czarnoleska na cały dzień odjeżdżała, było więc poleceń, zapytań, pokłonów, pocałunków nie mało. Aż pan podkoniuszy się rozśmiał: Nie miałem tyle do powiedzenia domowym — rzekł — kiedy wyjeżdżał na moskiewską wojnę. — A niech małe dziewczeczki nie chodzą blisko stawu, i daleko w pole — zalecała jeszcze Kochanowska starej piastunce. — Pani siostró, choćby też i poszły, i Tatarzy je napadali — dopowiedział pan Jakób — toby nasza Nastka nie dopuściła do nich nic złego; ręczę za nią. — Skłoniła się mu do nóg zasłużona niewiasta a biorąc na ręce Orszulkę, zawołała: — Osobliwie tego oczka pilnować będę. — O pilnuj! pilnuj! zawołał już siedzący na koniu Kochanowski.

— A wracajcie rychło — powiedziała dziecina wyciągając do niego ręce. — Wy sami znacie ojczyznę,

jak to licha

Dziecina zostawiona, do matki swej wzdycha.

Nie stulę oczków póki was nie zobaczę. — W Kochanowskim już powstawała chętka wziąć ukochane dziecko z sobą; byłby ją z duszy przez całą drogę trzymał na koniu; ale nie była ubrana, wypadaloby czekać, a czas naglił. Ruszył więc z mężstwem i wszyscy za nim; mimo kołatu skaczącego półwózka po nieutartej jeszcze zupełnie grudzie zimowej, mimo stąpania rączego dzielnych

koni, słyszeli jeszcze długo głosy pożegnań i błogosławieństw dzieci i czeladzi.

W drodze nasz Jan jadąc koło swego Jakóba rozmawiał z nim ciągle; Filip harcował koło półwózka. Rad on był sposobności popisania się nie tyle z jazdą swoją — bo wtenczas wszyscy jeździć umieli — ile z ulubionym koniem. Wtedy koń dla młodzieńca polskiego, był prawie tem samym czem dziś jest jeszcze dla kozaka, dla Araba, towarzyszem, przyjacielem, bratem, jakąś częścią jego samego. Wtedy bowiem nie widziano mężczyzn ni starych ni młodych, rozpartych w rydwanach, zamkniętych w kolebkach; wszystkie powozy znane i używane zostawione były kapłanom, niewiastom i chorym; szlachcic każdy musiał mieć konia, jak dziś muszą nasi panicze mieć kocz i zegarek; i pewno wyżyłoby bez niego nie umiał. — Filip jak wiemy, całą duszą do swego był przywiązany i przyznać należy, że pięknie im było razem; w dniu tym zwłaszcza, w swoim biegunie, w swojej osobie, w broni, i ubiorze, połączył wszystko co wówczas było miane za najlepsze w rynsztunku młodzieńca:

Koń Turek
Chłop mazurek
Szabla węgierka
Czapka magierka,

i miło było na niego patrzeć. — Wydało się to jeszcze lepiej kiedy przestając wstrzymywać dłużej swego Turczynka — któremu nie bardzo był w smak jednostajny kłus przy kołach — puścił mu cugle, klasnął i jak wiatr poleciał. — Kochanowska krzyknęła i Ewa miała ochotę ale wstrzymała się; pobladała trochę, i dumnym okiem ściagała za silnym i zręcznym jeźdźcem. Już zniknął

przed jej wzrokiem, lecz wnet go ujrzała; nawrócił nagle w największym cwale, kilka szerokich rowów i wysokich płotów przeskoczył, a w samym pędzie, kiedy już zbliżał się ku niewiastom, zebrał cugle, zawołał stój! i w mgnieniu oka koń rozhukany stanął jak wryty; zdawało się, że wszystkie cztery kopyta nagle wrosły w ziemię.

Lecz już dojeżdżali do Baryczy. Już widać było podwórze, słup dla koni, studnię z żurawiem i skromny dwór państwa Dobiesławów, który mało co się różnił od otaczających go chat włościańskich; chyba tem, że był większym i miał komin murowany wyprowadzony nad dach. Podobny i do dzisiejszych naszych dworów szlacheckich zawierał w sobie sień, po lewej ręce kuchnię obszerną, gdzie czeladź, a często domowe zwierzątka i ptactwo przytułek miały — sporą komorę czy alkierz, a po prawej ręce dużą lecz jedyną izbę z piecem i z kominem, gdzie państwo oboje spali, jedli, gości przyjmowali, a załatwiwszy zewnętrzne gospodarstwo, trudnili się na przemianę, to ręczną pracą, to modlitwą. — Nam, inaczej przyzwyczajonym, wreszcie inaczej czas trawiącym, podobny układ mieszkania zdawałby się bardzo przykry; dawniejszym ludziom nie był wcale uciążliwy, jak i dziś nie jest nim dla prostego ludu. — Nie mającym zatrudnień, któreby wymagały odosobnienia i cichości, taki układ jest wygodniejszy i przyjemniejszy; w jednej izbie cały dzień siedząc wszystko mają pod ręką; w zimie im cieplej; w smutku raźniej, w chorobie weselej. Nie raz na starego chłopka, parę lat przed śmiercią przyjdzie taka niemoc, iż prawie z łóżka ruszyć się nie może; coby on robił sam w jakim odosobnionym choćby i najpiękniejszym pokoju? tak leżąc w wspólnej izbie

jeszcze żyje, bo dzieli przygody rodziny, a nie tyle zawadza, gdyż usłużyć mu łatwiej.

Ale nie wchodząc w to dowodzenie podobno zbyteczne dla czytelniczek moich, wolę je poznać z szanownymi mieszkańcami owej jedynej izby.

— Gości nam Pan Bóg prowadzi — przemówił do żony słysząc kołat powozu i tentent koni, starzec najmniej ośmdziesięcioletni, prawie sążnisty, szlachetnej i pogodnej twarzy, oczu niebieskich, długiej siwej brody, w koszuli szerokiej i długiej do kolan, w szarawarach płóciennych, w giernaku z szarego sukna, rzemieniem opasany, i w skórzniach za kolana krajką przytrzyma-nych. — Ktoby to mógł być? Andrzej ze swoją w Lublinie, Jan był nie dawno? — A dogadzając ciekawości swojej wstał z zydelka, na którym siedział okrakiem, położył na stole kosz z rokićiny, którego dopłatał, i zbliżył się do okna. Żona może z jakie dziesięć lat młod-sza, małego wzrostu i szczupła, w głębokiej czapce z futrem i z uszami, w kożuszku baranin powstała z ławy pod piecem; mówiąc sobie: Nie czemu też to sroczka krzeckała dziś na płocie, i kot się głaskał rano? — a odstawiwszy na bok kądziel z wełną, poszła także do okna; i wyjrzeli oboje oceniając sobie osłabione już oczy długim patrzeniem na świat. — Zaprawdę mój to chrze-stny, Janek, ze swoją panną i z dziewuchą — zawołał radośnie starzec — poczciwe chłopczyko! — Ale i obcy są panowie — dodała żona. — Pomóż Bóg! nadarz Bóg! Witajcie w niskich progach naszych! — mówili oboje wychodząc spieszenie przed się: a Czarnoleska drużyna już na nogach, pozdrawiała ich czapkując i ściskając za kolana. Kochanowski przedstawił z imienia i z godności, przyjaciela i jego wychowanka, napomykając nieco o chlu-

bnie odbytej przez nich ostatniej wojnie. — Otóż to, otóż to — wołał pan Dobiesław — rad ci zawsze jestem mój Janku, a dwojako kiedy mi przywozisz mężów rycerskiego rzemiosła. — Siadajcież mili panowie i bracia, rozgośćcie się — mówiła pani Dobiesławowa wprowadzając gości do izby, wskazując ławy pod oknami i pod piecem, i dwa skromne łóżka w dwóch rogach izby stojące, przedzielone oknem i stołem.

— Niech kto co chce mówi — prowadził dalej stary skończywszy opowiadać na troskliwe wypytywania się przybyłych o zdrowie jego — niech sobie będą księża, panowie radni, nie przeczę iż potrzebni; ale u mnie nie nad żołnierza i jego zabawy; a proszę, czem tu lepiej skrócić młodego burzliwość, jak niespaniem, zimnem, wojenką? Możeż być co sprawiedliwszego a świętszego jak zastawić własne gardło dla ziemi w której się urodził, dla domu, w którymś wychowan, dla żony, dzieci, zgoła dla całej Rzeczypospolitej i wiary ku Bogu? Jestże większe męstwo, jak gdy na ten cel gdzie z działa biją, żołnierz na miejsce zabitego następuje; wie, że najpewniej zginie, przecież na rozkazanie hetmańskie idzie, aby się rząd nie targał, i nie czyni tego dla pieniędzy, ale z miłości sławy, ojczyzny i czci Boskiej. I nie bywaliż i święci Pańscy żołnierzami? W Krakowie nie mamy ciała Floryana rycerza; kiedy król Kazimierz prosił papieża o jakie święte kości, papież bez namysłu wybrał kości rycerskie, bo wiedział co upodobają sobie na ziemi polskiej. A czemże, jeżeli nie wojną, owa nasza ziemia urosła, rozciągnęła swoje granice od morza; i czemże przecie dziś jakby z długiego snu otrzęsła się i zajaśniała? Gdyby mi się raz jeszcze rodzić przyszło, skarż mnie Panie Boże, niczemby nie chciałem być ni

papieżem, ni cesarzem, jedno żołnierzem. Polacy póty chwalebni, póki bitni; a na innego króla się nie piszę, tylko na wojownika. — Podlodowski, któremu te słowa bardzo trafiały do przekonania, ścisnął starca za kolana; Filipowi zaiskrzyły się oczy; a na twarzy Ewy błysnęła żywa radość i jakby tryumf, że męża wojennego serce podbiła; tytuł księżnej nie brzmiał tak mile w tej chwili w jej uszach, jak tytuł pani rotmistrzowej. — Dla was panie podkoniuszy — mówił jeszcze starzec — to z czem się tu popiszę nie będzie żadną nowiną; ale ciebie dzieciaku — dodał bijąc Owadowskiego po ramieniu — ciebie na świecie nie było, a może i ojca twojego, kiedym ja tę zbroję przywdział i bił się w niej. Zaprawdę, były to czasy pomyślne i dla nas i dla Rzeczypospolitej, jakie już potem nie wróciły i podobno nie wrócą...

A to mówiąc silną jeszcze ręką wysunął z pod łóżka ogromną, długą, dębową skrzynię, podniósł ciężkie wieko i okazała się jakby olbrzymia postać leżącego rycerza. Filip drgnął mimowolnie. Rozśmiał się starzec na głos. — Żywego byłbym się, dalibóg nie przeląkł — rzekł pan rotmistrz nieco zawstydzony. — Myślałeś, dzieciaku, że to umarły? — domówił pan Dobiesław z uśmiechem. — Niedługo czekając, legnie w tej skrzyni umarły; śmierć wyciągnie do miary i wyprostuje członki skurczone dziś przez wiek; bo ta skrzynia, bratku, to moja trumna, a ten ubiór towarzysza pancernego, który nosiłem w najpiękniejszych latach mego żywota, będzie moim ubiorem pośmiertnym. — Wam młodym, co wam mleko jeszcze po brodzie ciecze — dodał spostrzegłszy ile ten widok zaćmił smutkiem twarze obecnych — wam młodym, pojąć trudno, jak można przed czasem grobem się otaczać; ale nam zgrzybiałym i śmierci bliskim, którym świat co-

dzień tańszym się widzi, słodko i zbawiennie mieć tuż koło siebie, owo ostatnie mieszkanie. Człowiek wie wczesnie jak z jego cielskiem będzie, a tem goręcej Pana Boga prosi, żeby się okazał miłosierny dla duszy. Nie raz kiedy mi się trafi nie spać w nocy dla bólu albo kłopotu, i w ciepłej pościeli miejsca sobie znaleźć nie mogę, myślę z radością o owem zimnem łożu, gdzie mnie nie dolegać nie będzie. I moja panna równie przezorna jak ja; jedno codziennie Matki Boskiej proszę, żebym tego nie widział; jak ją tam złożą. To synów i wnuków sprawa — jam starszy, ja pierwszy śmierci się stawię. — I tu wysunął drugą skrzynię nieco mniejszą z pod łóżka żony, otworzył ją, i ujrzeni w niej obecni ubiór zupełny zakonnicy. — Co kto lubi — rzekł stary z uśmiechem — i co komu przystoi. Ja księży szanuję, ale ani za życia, ani po śmierci mnichem być nie chcę; mojej pannie po ośmiorgu dziatkach, mniszką być się podobało. Wolno jej. — To mi habit i paciorki — powiedział nachylając się znowu do swojej trumny. — Patrz, dzieciaku, nie brak tu niczego; jest pancerz stalowy, jest miszurka, a z niej spuszczone kratka żelazna co nam zakrywała część twarzy, kark, ramiona i plecy, z ranienia przez pancerz wisiała ta oto szabla, łuk, kołczan; dziś, leżą spokojnie, ale swego czasu chłastały one, cięły, trafiały nieprzyjaciela Rzeczypospolitej... U pasa krucice, czarka do picia, sztuciec z łyżką, widelcem i nożem, boć bez pożywienia żyć i bić trudno; kańczug na łotrostwo i kilka łokci sznura do krępowania jeńców; zaprawdę, tak uzbrojony żołnierz jak dosiadł tęgiego konia był straszny i śmiały. Dziś słyszę, więcej na lekką jazdę rachujecie; piechota zaczyna wchodzić w komput woj-ska, a szlachta nawet nie wstydzi się służyć w piecho-

cie; za moich czasów mówiono: Polska piechota — lichota — była to rzecz cudzoziemców najętych, kmieci i miejskich synków, szlachcie wzdrygał się konia porzucić; jabym zda mi się nie uznał herbu pieszka.

— Ja sam — odparł pan podkoniuszy — piechotę mniej sobie ważę lubo przyznać należy, iż w ostatniej wojnie przy dobywaniu fortec tego się sprawiła — za żadne skarby świata tego służyłbym w niej nie chciał ani dał syna; i uważam to za wielki dowód władzy naszego króla i wziętości Zamojskiego, iż potrafili zebrać kilka tysięcy piechoty, ze szlachty, herbowych zrzucić dobrowolnie z konia; ale chociaż mam największy szacunek dla ciężkiej jazdy, dla husarzy i pancernych, chociaż wiem, że na niej polega największa siła i ufność wojsk naszych, i że »póki kopii, póty Polaków« przecież lekką jazdę, jak ją zowiemy kozacką, wysoko sobie cenię. W naszych nagłych wyprawach i spotkaniach, ona dalipan najlepsza; ubiór lekki, nie kosztowny, koń szybki, do małych utarczek zwinny i zdatny, siodło i strzemię tak urządzone, że się na wszystkie strony obrócić można; dzidy łuku, szabli, rusznicy, z jednaka łatwością używać..

— Tak — przebąknął stary — boście już sami zdrobnieli i osłabli. Mnie cały ten wiek kark gniecie, bom się urodził podrzędnie, tysiąc pięćsetnego roku, a podobnom wyższy od was. — To mówiąc wstał, wyprostował się; i prawda, że lubo Podlodowski był jak wiemy z dorodnych i także wstał i prosto stanął, dawny towarzysz pancerny o pół głowy go prznosił; takąż sama znowu była różnica między podkoniuszym i młodym rotmistrzem. — Wszystko na dół idzie — rzekł smutnie pan Dobiesław — ze śmiercią starego króla i hetmana,

i Rzeczpospolita umierać zaczęła. To mi był król, to hetman, to czasy! Możecie tam sobie zwać panowanie syna złotym wiekiem dla nauk — dodał patrząc życzliwie na Kochanowskiego — równać go z onym niegdyś rzymskim Augustem, może i dzisiejszy król być dzielnym wojownikiem, sprawiedliwym mężem i mieć walecznych koło siebie, już to przecie nie to, co było za wielkiego Zygmunta, za ojca jego i dziada, owych zacnych Jagiełłów, a cóż dopiero za owych mądrych Kazimierzów i przesławnych Bolesławów? Wówczas mało komu było dane znać tajemnicę państwa; dziś każdy chce być głową, nikt innemi członkami ciała, każdy chce mieć więcej władzy i rozumu od monarchy i senatu, wszystko sobie chcemy wymyślać i nadawać sami, i wiarę i króla. Oj! te elekcyje! elekcyje! wymyślił to dzisiejszy, który jeżeli się utrzyma — Panie! nie dosłysz słów moich! wtrąci Rzeczpospolitą do grobu. Alboż tom ja nie był już dwa razy świadkiem owych gorszących tumultów? Alboż to nie widzę jaką już odmianę zaprowadziły w sposobie myślenia, w obejściu się braci szlachty?

— Panie stryju — odezwał się nieśmiało Kochanowski — wszak od początku naród polski mianował sam sobie królów, a w żadnych konstytucjach nie wyczytacie, aby kiedy wyrzekł się tego prawa?

— Co mi tam chłopcze, prawisz mądrze; — odpowiedział z żywością starzec — co było, jak było, co było, co napisano, co wyczytano, nie wchodzę, to jedno wiem, że od starego Mieczysława, król następował po królu, syn po ojcu, i nigdy go nie brakło jak teraz za waszych czasów. Dziadowie nasi, jeżeli chcieli dawali, przysądzali koronę, ale pewno nią nie frymarczyli. Nie obiecywał ją jeden Francuzowi, drugi Niemcowi, trzeci

Moskalowi, a to nie patrząc bynajmniej, który będzie lepszym ojcem dla Rzeczypospolitej, ale który lepiej posmaruje mu łapę. Jestem szlachcic jeszcze od Rzymian, drogi mi każdy przywilej szlachecki, ale choćbym — czego broń Chryste Jezu — króla dzisiejszego przeżył, nie pojedę już na żadną elekcję. Piękny mi przywilej spychać się z mostów, grabić mieszczan, i puszczać gawieź w koło panów rad?...

— Wybaczcie co śmiem wam przerywać — odezwał się tu Podlodowski — ale wielu braci szlachty dzieli wasze zdanie, sam król jasno tę rzecz widzi i niezawodnie mają być uchwalone porządne opisy elekcji, które złemu dalszemu zapobiegną.

— Opisy? opisy! — zawołał trzясając głową starzec — młodzik jesteś niedoświadczony, panie podkoniuszy, wszystko ci się widzi różowo, łatwo. Alboż to już nie upatrywano złego na sejmie Lubelskim, lat temu piętnaście? alboż nie wołano o opisy? Dawał rozumną radę marszałek Czarnkowski, popierał ją król, któremu także nie zbywało na łaćnińskim oleju. Wszystko rozpruł niecnik Drohojewski. Wszak ci to ów zuchwalec w moich oczach, wobec królewskiego majestatu, wśród koła starszej i młodszej braci porwał się do kija na Czarnkowskiego, wszczął zamieszanie i wszelakie mądre myśli udaremnił... Gdybyć jeszcze wybierała króla starszyna, ludzie rozumni, Rzeczpospolitę miłujący, od województw wybrani, byłoby może pół biedy; ale wybiera każdy, który tylko do krwi szlacheckiej przypytać się może, hołota luźna, bezbożna, krnąbrna, jadąca na elekcję jakby na obławę, byle zalać gardło i napełnić mieszki. A to pierwszy ten obyczaj uchwalił, oto wasz pan kanclerz, hetman czy starosta — bo i nie wiedzieć jak go nazy-

wać, podobno najlepiej jak w Babinie: »Totum-fakiem«. Mądry to i zacny mąż, nie przeczę, miłuje Rzeczpospolitą, dzielnie jej służy, a nawet dobry żołnierz z niego, ale gdzież to kiedy słyszano, żeby taki, co niedawno z teką do szkoły chodził, dziś już pieczęć i buławę piastował. Zanadto on bierze na kark swój, nadto ufa rozumowi z książki, zbyt łechtliwe ma ucho na pochwały młodszej braci; dziś ma ją w kieszeni; będziemy mieli tego króla, którego on nam dać raczy, ale niech nie potakuje zbytecznie swawoli, bo nie zatrzyma on rozumem co rozumem rozpuścił, i sam tego pożałuje; a daj Boże, aby z nim nie pożałowała i matka nasza Polska stara... Dalibóg, ile razy wspomnę o tem co po mnie będzie, gorzki smutek zalewa mi serce. Już jakbym widział, jako ta zacna Rzeczpospolita w niwecz się obróci. Radujecie się wyborem królów, wolnościami waszemi, a oto haracz pohańcom płacicie. Klóćcie się u siebie, upominacie się o własną najmniejszą krzywdę, a kiedy Moskwicin szarpie i urywa co może, wypędzić was przeciw nim nie można; grosza wydrzeć z gardła na broń na konie. Bóg litościwy zesłał wam raz jeszcze — a bodajby nie ostatni — dzielnego i mądrego króla; ale wytrwał on długo przy żywocie jeżeli mu tak dopiekać będziecie? Dobrecć on ma zęby, ależ trudno wszystkim się odgryzać. Wreszcie cóż on zrobić potrafi, kiedyście mu związali ręce? Wszak ci to on w najnaglejszej potrzebie, jednego żołnierza bez zezwolenia stanów zaciągnąć nie może; a oweż stany kiedy się zwykle zbierają? Wstyd mówić, najczęściej wtedy, kiedy nieprzyjaciół wpadnie, splądruje i łupy uniesie. Dawniej hetmani wetowali przynajmniej straty w krajach najeźdźnika, dziś im zaledwie przez ćwierć roku pozwalacie szukać pomsty za

granicą. Dawniej królowie i hetmani wojowali według prawideł rycerskiego rzemiosła, czy częstkami czy kupą, dziś, zabroniliście królowi rozdzielać was na części. Chcecie wszędzie chodzić kupą; oj! nie miłość to Rzeczypospolitej wami władza, ale obawa, aby nieukrócono w czem waszej swawoli. Oj! pójdziecie wy kiedyś kupą, ale jako wojenni brańce, pod panowanie wroga, co włoży jarzmo na wasze karki... — Tu mocne wzruszenie przerwało mowę starca; ulżyły ciężkiemu żalowi dwie łzy, które stoczyły się gdyby perły po białej jak śnieg brodzie, a których ślady obtarł co prędzej z twarzy połą giermaka. — Ej — przemówił z przymuszonym nieco uśmiechem — po co ja się też rozrzewniam jak baba jaka, po co wam to wszystko prawię i wymawiam, jakbyście temu co winni byli; wybaczcie staremu co ludzi rzadko widuje, dużo rozmyśla, co lepsze czasy pamięta, kraj nad życie miłuje, i któremu się zdaje, że wstałby z trumny choć w kilka wieków, gdyby obcy na grób jego wstąpił... Zapomniałem nawet przy onem gadaniu o przyjęciu was jak należy. Kachno! wódki, chleba, soli, co Bóg dał: nim obiad będzie, trzeba przepić i przegryść trocha.

Nie czekając na to wołanie męża, skrzętna gospodyni wraz z dziewczką służebną postawiła na stole flaszkę kminkówki czystej jak łąza, chleb pytlowy położyła, świeże pachnące masło, kiełbasy wędzone, szynkę odgotowaną, pierniczki, śliwki na rodzenkach, i różne owoce suche i w syropie. — Wszystko to nie wytworne — powiedziała z pokorą — ale z dobrej woli wam ofiarowane.

— Wiemy z dawna — odezwała się nasza Kochanowska — że u pani stryjenki wszystko smaczne; jedno się uczyć, a oblizować palce.

— Ja zawsze mojej Hannie głowę suszę czemu jej wódka nie tak wyśnienita jak Waszej miłości? — przemówił Kochanowski przyjmując od Podlodowskiego kubeczek wódki, który tenże jako gość z rąk gospodarza był już wychylił.

— Może pani Janowa włoszczyzn nie kładzie przepalając, ani surowego mięsa, jak my stare rabiamy; wszystko to smak łagodzi i odtręt oddala.

— A cóż za doskonałe konfekta! — powiedział podkoniuszy — czy kijowskie? a piernik bez wątpienia toruński.

— Kijowskie! Toruńskie! — powtórzył z uśmiechem pan Dobiesław trzymając przy ustach najmniej łożkieć kiełbasy, z którego już ugryzł dobry kawałek — słyszy-cie Kachno? Wszystko co tu widzicie, mili panowie i bracia, Barykie jest, nie kosztuje złamanego szeląga. I mogłoby bezsprzecznie tak być w każdym szlacheckim domu, gdyby młode gospodynie równie były skrzętne a przemyślnie jak stare; wtedy i w Rzeczypospolitej lepiejby się działo. Bo co dziś najwięcej nas gubi? oto zbytki, obczyzna, cheiwość; bez pieniędzy ani wyżyć; trzeba ich co niemiara, na trunki, na sprzęt domowy, na szaty; a więc się przedaj, upodlij, kraj i duszę zastaw, byleś złota dostał. Dawniej, sami panowie chodzili w bławacie, obuwali szafronowe buty; dziś, ubogiej szlachcie to co domowe nie przystawa, nie smakuje. Ja zaś powiadam: ani jadła, ani napoju, ani rozumu, ani wiary Polak z daleka nie potrzebuje; wszystko najzdrowsze i najlepsze co w domu: kuchenne rzeczy zkąd inąd przywozić, piwnicę i spiżarnię napojem i pokarmem postronnym napełniać, izby zastawiać sprowadzonym zdala sprzętem, zda mi się istnem szaleństwem. U mnie wszystko po

staremu; co dom ma — i to jest; czego niema, i bez tego się obejdzie: tak nasi rodzice się obchodzili, a żyli długo i wesoło. Łyżką cynową na drewnianym talerzu człowiek się naje, aby było czem. Nie zobaczycie też u nas srebrnych półmisków i złotych kubków; z glinianej miski jadamy, z czarki drewnianej pijemy...

— I rzetelnie — zapytał się z ciekawością Podłowski. — Wasza miłość nic nie kupujesz?

— Ani na owinięcie palca — odpowiedziała jakby nieco obrażona pani Dobiesławowa — wstydziałabym się jeździć po strawę do miasta, jatki i apteki zwiedzać, albo żydowi się spowiadać.

— Przecież — coś nie coś?...

— Nic zgoła — odpowiedział starzec — i po cóżby pytam się? Alboż to na wiosce gdzie grzyby i ryby, łąka i mąka, brakować czego może? W naszej Polsce jak wiadomo, »jest z łaski nieba, żyto do chleba, len do płótna, owca do sukna, stado do koni, kruszec do broni«. Jak się raz z młodu w broń zaopatrzyło, to i czegoż szukać więcej?

— Ależ — dowodził podkoniuszy — jakże stół dostatecznie opatrzyć, gdzie korzenie, wino?

— Wina nie pijamy — odpowiedział pokornie Dobiesław — i wybaczycie, że go wam nie dam; nie widzujemy wina inaczej jedno na ołtarzu, przy mszy świętej, a nie kosztujemy go chyba raz na rok w kościele, w dzień Niewiniątek. Niema się tego człowiek napierać co się w domu nie rodzi; kiedy Pan Bóg naszej Polsce winnych jagód nie dał, a te co gwałtem od czasów królowej Bony sadzą, kwaśne są, znać, iż Polak może być zdrow, i bić się tego bez wina. Piwo, miody, wiśniaki, maliniaki, gorzałka, azaż to nie dosyć i do ochłody i do

zagrzaną żołądka? W miejsce imbiru, pieprzu, i onych nieprzeliczonych korzeni, bez których jak słyszę, mało która kuchnia szlachecka dziś się obchodzi, mamy chrzan, gorczycę, jałowiec, kmin, anyż, majeran, szałwię, koper, rdest, nasionko wyborne, co go moja panna pieprzem polskim nazwała; mamy dla smaku grzyby, cebulę. Za linonię stanie nam agrest i jabłka cienko krajane, za rodzenki wiśnie suszone, za migdały orzechy, za cukier miód. Co nam po oliwach zamorskich, kiedy domowy olej z maku, dobrze czysto wytłoczony bardzo dobrze smakuje, równie tłusto omaści, i jeszcze od kurczenia się żołądka strzeże. O ryż nie dbamy, są natomiast rozmaite krupki. A co do tego, czem stół zastawić, albowt to niema w ogrodzie jarzyn, albowt ja sobie wołu upaść nie mogę? a moja panna czy nie trzyma zawsze wieprza w karmniku? Są też i braki między owcami, i cielętą wszystkie trudno wychować; drób jest, w Boskiej oborze zwierząt i ptactwa dostatek, w stawach ryb bez liku; kury jaja znoszą, krowy mleko dają, po sól jedno pojechać do Kazimierza — dalibóg, ani wiem coby tu kupić? Przedać — to nie mówię; gospodarz winien grosze zbijać, trzeba mieć kilkadziesiąt złotych w zapasie, na chwałę Bożą, na podatek w czasie wojny, dla synów, na jaką nadzwyczajną przygodę własną lub braterską...

— Lecz przecież są jeszcze rzeczy konieczne do domu — badał dalej Podlodowski widząc, że starych cieszy owa rozmowa — trzeba świec, mydła...

— Mydło moja panna sama robi, nawet białe, co go to królowa Bona ze swego Baru do nas zaprowadziła — a byłoby się i bez jej mydła obyło. — Co do świec, a kto w lecie o świecach słyszał? słońko do woli objaśnia, w zimie jest ci tęgi ogień na kominie, to i wi-

dno w izbie; są kagańce tłuste dobrze postanowione, jest też i smolne łuczywo kiedy kto chce iść z miejsca na miejsce...

— I wybaczcie, panie ojcze — przerwała gospodyni — mam ci ja i świece w zapasie, pani Janowa nauczyła mnie je robić; są łojowe i woskowe; łój jest raz na raz z naszego bydełka, a wosku obficie pszczołki nam dają; sprzedaje się trocha i mam już w komodzie stos kręgów odłożonych do kościoła, do Gródka, da Bóg doczekać, jak go pan syn wystawi.

— Wszystko to nie — odezwał się Kochanowski — i mojej Hannie przyznać to trzeba, że prócz korzeni i wina, których wychód nie wielki i u nas wszystko co się pożywa, to domowe. Ale co dziwniejsza, pan stryj i pani stryjenka ani łokcia jednego materyi, ani jednej nitki nie kupują nigdy, a i zimą i latem, i oni i czeladź dobrze są odziani.

— Jeszczeby też! na to niktzemne cielsko wydawać! — odburknął się pan Dobiesław. — Szaty wynalezione są dla wstydu i dla potrzeby, żeby nagość okrywały, od zimna i od gorąca chroniły, nie zaś dla zbytku. Jest swój len, swoja wełna, swoje konopie, a czegożby więcej trzeba? Nasz sam król i z braćmi, kiedy był chłopięciem, w szłyku i w baranim kożuchu chadzał, a starej szlachcie miałoby się chcieć bławatów? u mnie lnianka, parcianka, sukno, to czamlot, falendysz i aksamit; pani żona i dziewczki kądzieli pilnują; mamy dwóch tkaczy, przedrzeć nie można szat i bielizny co oni wyrobiją; ze skór kozłowych i cielęcych mamy obuwie, ze spożytych baranów i jagniątek kożuchy, ze złapanych lisów szuby, z ubitych wilków futra na łożku. Przypatrzcie się naszym łożom zaprawdę wygodne i nie kosztowne;

tapczan w domu sporządzony, wór z własnego płótna, siano codzień się w niem przetrząsa, a odmienia co sobota; mamy w Janowcu kuśnierzy; za parę korczyków zboża, który z nich tu przyjdzie i co wypada zrobi; oto zeszłej jesieni wycelował tę wielką oponę z wilków, okrywa cały tapczan i na podłodze jeszcze kawał spory leży; ja na tych wilkach sypiam i dalipan miękko staremu a ciepło. Do przykrycia się mamy koce wełniane, a na wierzch jeżeli zimno lisy. Poduszki pierzem nasypane, co go moja panna z gąsek swoich skubała i darła, nasypki i prześcieradła z domowego płótna. Za łózkami na ścianach w miejscu waszych tureckich makat, są jak widzicie maty słomiane; uplotłem je własnymi rękami w zimowe wieczory a od wilgoci i robactwa wyśmienicie chronią. — Łyżki drewniane, kubki sam strugam, kosze plecę, chodaki z łyka robić umiem i wiele innych rzeczy co drudzy młodszy kupują. A na czemżeby człowiekowi czas zszedł inaczej? Wioska maleńka, większe synom się oddało; nie źle urządzona, wszystko idzie gdyby z płotka; jak wstanę ze słońkiem, trochę pochodzę, potem konia dosiędę, to i w parę godzin wszystko ułatwione w gumnach i w polu; na resztę dnia cóż zostaje? pacierze i robota ręczna; gość u nas nie koniecznie częsty, do starych obcy nie rad zagląda, chyba synowie, krewniacy czasem przyjadą, albo mój poczciwy Janek, chrzestnego odwiedzi. Jeden nasz wydatek, to na garnki, na miski, i na żelazto: dwa razy do roku jedno z nas do miasteczka wybrać się musi i zostawić tam kilka złotych — aleć się więcej daleko przywiezie, to za wełnę, to za miód, za wosk, za masło, i inne rzeczy, których w domu spotrzebować trudno.

— Apteka i lekarze, Bogu dzięki waszego grosza nie widzą — podsycił znowu z uśmiechem Kochanowski.

— Uchowaj Boże! — odrzekł starzec. — Wszystko to są nowe, obce wymysły, które się nie czepiają nas dawnych ludzi, cośmy chwała Bogu z granic Polski nie wyjrzeli, chyba ścigając nieprzyjaciela. Dobrze ja wiem, co »koń bez uzdy, Tatary przez Podole, pigułki przez brzuch, nigdy bez szkody nie przejdą«. Z owych Włoch z owej Francyi przyszły na Polaków z ich zbytkami, jakieś dziwne, bezecne a nieznanne choroby, z chorobami leki i lekarze, co jeszcze złe pogorszyli. Są ci i bywały zawsze od grzechu Adamowego bóle cierpienia na człowieka; na przemienne, dał Pan Bóg każdemu krajowi właściwe ziółka, i baby leczyc niemi nauczył. Oto i moja panna zna się na wielu i umie dziwne sekreta; kiedy naprzykład chce chorego przeczyścić to bierze bzu polskiego, trzeba, żeby górą, to do góry, a jak da zażyć, zawsze jest oczekiwany skutek. Takie tedy i tym podobne mamy lekarstwa, proste domowe na cierpienia przemienne, a co na śmierć nieodmienną, niema rady; nikt się od niej nie wybiega, czy król, czy hetman. Dlatego też w dawniejszych czasach, jak mi jeszcze ś. p. mój ojciec powiadał, sami duchowni byli lekarzami; choroby nie bywało innej jedno ostatnia śmiertelna; ksiądz kiedy bywało, przyszedł do chorego ulżył nieco ciała, a co ważniejsza duszę opatrzył... Ale mili panowie i bracia rozgadaliśmy się do zbytku o starych i domowych rzeczach, powiedzcież proszę was, co się tam na świecie dzieje, co jest nowego? Prawdaż, co przecie Moskiewskiego czort wziął jako swego? możeć znowu Pan Bóg da wojnę! A ten śmiałek Zborowszczyk długoż on tak gospodarować będzie po kraju? piękna mi władza króla

i hetmana kiedy jednemu młokosowi dać rady nie mogą? — Lecz wyjdźmy przed dom, mili bracia, siądźmy sobie na krokwiach co się tam suszą na podwórku, będą kiedyś służyć da Bóg choć na dzwonnice w Gródku! słońko dogrzewa, żywioł to starego, a nie było jeszcze kiedy nacieszyć się niem latoś; białołgłowy zostaną w izbie, aż nadto się dziś nasłuchały rzeczy poważnych.

— Z Panem Bogiem i owszem — rzekła z udaną urazą gospodyni — za drzwi, co do wąsa; zostawcie nas same w izbie, nie braknie nam wątku do rozmowy i do roboty.

Poszli mężczyźni; nie ręczę czy pan rotmistrz chętnie wyszedł i czy się nie obejrzał parę razy, co pan Dobiesław, to wypytywał się o wszystko, i ganił prawie wszystko, w sposób, jakiegośmy próbkę już widzieli.

Tymczasem pani Dobiesławowa pogadawszy z synowicą i z Ewą, z pomocą dziewczek swoich, a nawet z pomocą gości — gdyż między krewnymi przymusu i tajemnie wtedy nie bywało — zajęła się obiadem i zastawą stołu. Do zwyczajnej domowej strawy dodała parę półmisków, i nie wyszło dwóch godzin kiedy wezwała panów braci, przekomarzając się jednak z nimi: iż możeby woleli, daleko od niewiast, rozmawiać do wieczora o poważnych rzeczach. Ale oni — zdania pana Filipa na ten raz — nie chcieli słyszeć o dłuższym rozdziale; na świeżem powietrzu pamięć śniadania wywietrzała zupełnie, i gotowi byli spałaszować obiad. Dobiesław nawet naglił, żeby szli co prędzej mówiąc: — Stare ustawy, świeże potrawy — najlepsze.

Przed obiadem stanąwszy za stołem przeżegnał się, krótką odmówił modlitwę, a potem rzekł: — Proszę was,

goście mili, pożywajcie co Bóg dał z weselem i posilcie ciało wasze.

Obiad był bez wykwintu. Postawiono najprzód na środku stołu donicę krupniku z gęsiami dróbkami, pachniał koperkiem i grzybami, a ziarnka białej kaszy jak prawdziwe perełki w nim się uwijały; na drugie, była tuczna gęś smażona z cebulą i z jabłkami, potem dano groch żółty okrągły z jagłami i z wędzonką; dalej dwie ryby: łupkiego dwułówkiowego szczupaka i ogromnego a tłustego karpia, z niemi aż cztery polewki czyli sosy w miseczkach: do szczupaka jeden biały z chrzanem i ze śmietaną, drugi żółty z krokoszem, do karpia jeden szary i kwaśny z miodowniku i z octem, drugi zupełnie czarny z powideł. Zakończył się obiad czterema kapłonami z różna, z których goście ledwie kości zostawili, a kapłony były nadziane tartym chlebem pszennym z masłem i z pietruszką. Kochanowski osobliwie zajadał ochotnie i jadł jeszcze choć już drudzy skończyli; stary stryj rad patrzył na niego, a trochę podniósłszy nad nim ręki, mówił: — Boże, daj ci zdrowie! — Przy rybach hojnie zlewanych wytrawnym miodem, i na końcu obiadu, pan Dobiesław raz jeszcze gości przeprosił, że niema wina. — Zdawna to tak bywało w Baryczy — powiedział — a inaczej w Sycynie, gdyż ś. p. brat Piotr lubił wino i miał go zawsze pod dostatkiem. Panowie bracia, o tem nie wiecie, a Janek może tej okoliczności winien swoją umiejętność pisania wierszy; pierwsze jakie złożył, będąc jeszcze dzieciakiem, były z tego powodu, chowam je też dotąd. To mówiąc wstał od stołu, wziął książkę łacińską od nabożeństwa, w czarną skórę oprawną, której kartki niegdyś białe, zupełnie żółte się zrobiły, i wnet wynalazł nie duży papierek wielkimi literami zapisany

i także dobrze już pożółkły. — Wróciłem był właśnie z wojaczki do mojej panny — ciągnął dalej — wyparliśmy byli z hetmanem Tarnowskim wojewodę Wołoskiego z Pokucia, spoczywam w domu, aż tu przyjeżdża posłaniec od pana Piotra z Sycyny — gdyż tam jeszcze w on czas mieszkał, z tym oto karteluszkim. Otwieram i czytam:

Dobiesławie
W twoim stawie
Na Baryczy
Ryb nie zliczy;
A Sycyna
Nie bez wina.
Złącz oboje
Ryby twoje
Z dobrą naszą
Wina flaszą.

Biegnę natychmiast do stawu. Bo trzeba wam wiedzieć, że od młodości byłem wielki stawiarz; po wojnie, nic mnie tak nigdy nie bawiło jak rybołówstwo, i dotąd w porządek stawiarzski równie dobrze jestem opatrzony jako i w żołnierski. — Zarzucamy sieć na szczęście pana brata; połów okazuje się cudowny, prawie taki jak on Piotrów w Ewangelii; szczupaki gdzie dłuższe od dzisiejszego, i karpie jak łopaty; dalejże ja na konia, a ryby na wóz; zastaję w Sycynie zjazd wielki, było to święto pani bratowej. Jedliśmy i pili, i dalipan nie znać było po mnie, iżem wina nieprzyjaciel; dałem buzi węgrzynkowi, a Janka wszyscy chwalili; ksiądz Maciej rósł jak na drożdżach, matka płakała z radości, a chłopak przy stole wyciął nam łacińskie wierszyki.

— Już to u mnie wtedy nie było nowiną — powie-

dział Kochanowski — wiersze sypały się jak z rękawa, łatwiej niżli teraz.

— Możeć przecie i dziś powiesz nam jakie, Janku? — rzekł pieszczotliwie starzec głaszcząc poetę pod brodę — słuchać starszych trzeba — dodał grożąc mu palcem na nosie.

— Radbym z duszy — odrzekł Jan poddając się pieszczotom stryja — ale nie nowego nie przychodzi mi jak na złość do głowy.

— Powtórz stare — szepnął Podlodowski — te na przykład coś dla mnie napisał: *»Sława jedna zostaje po człowieku«*.

— Nie — odparł Kochanowski — inne powiem choć nie skończone.

Kto ma swego chleba
Ile człeku trzeba,
Może nic nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, o wysokie grody.

To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem:
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.

Siła posiadł włości
Kto ujął chciwości:
Trudniej to przyjdzie niż Turki sholdować
Albo waleczne Tatary wojować.

— A widzisz co się znalazły, i wyśmienite a prawdziwe — zawołał starzec — młodych pogłaskać nieco potrzeba, pogrozić trocha, i zrobisz z nimi wszystko.

— Młodych! a te nici srebrne w głowie, panie stryju, co znaczą?

— Siwiejesz, Janku? być nie może; co się też to z dzisiejszemi ludźmi dzieje! A wieleż lat sobie rachujesz?

— Pięćdziesiąt czwarty kończę na wasze usługi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! mnie się zdaje jakby nie było więcej nad tuzin lat od dnia jakęś to przyjechał do mnie na pożegnanie... Janku, pamiętasz łaźnię?

— Pół kopy z górą, panie stryju; ale i ja to pożegnanie pamiętam jak gdyby wczorajszą przygodę — dodał poprawiając się na ławie.

— Mężu kochany — poprosiła nasza Kochanowska — opowiedzcie tę przygodę; młodym nie zawadzi słyszeć takie rzeczy. — A wiedziała, że tem przypomnieniem i mężowi i stryjowi dobrej myśli przymnoży.

— Oto — zaczął Kochanowski spełniwszy kubek miodu, który mu stryj nalał — wiecie wszyscy, że nie dokończył nauk w domu, ale mnie wcześniej matka i brat wyprawili między ludzi. Jakkolwiek mnie cenili wysoko, i za mądrego mieli, przecież osądzili oboje, iż ośmnastoletniemu parobkowi wypadało dać na drogę staropolski upominek. Ojciec już przed rokiem był umarł, ksiądz Maciej chory na suche bóle leżał w Policzny, w wigilią tego mego wyjazdu z domu, matka wysłała mnie do pana stryja z listem, i kazała mu go oddać do rąk własnych. Nie zamknęła go żadnym woskiem ni sygnetem ale byłbym pewny, że ręka mi uschnie, gdybym się był ważył otworzyć go i przeczytać. Przyjeżdżam tu — oddaję — opowiadam jako już puszczam się w świat. Było to może na godzinę przed obiadem. Pani stryjenka wyszła za gospodarstwem. Pan stryj przeczytawszy po cichu list, i pogadawszy trocha ze mną, pyta mi się: —

Używałeś dziś łaźni, Janku? — Nie używał — odpowiadam w dobrej wierze. — To pójdź ze mną, pora po temu, zdrowo ci będzie. — Zgoda. — Idziemy. — Leżał tam stos chróstu w kącie, alem ja nań nie zważał. Aliści kiedy dobrze dodano pary i pot lać się ze mnie zaczął, pan stryj do chróstu; — a nie winniki to były takie jak nasze, panie Jakóbie, cośmy się dziś niemi głaskali — gałęzie grube a świeże, daj Boże zdrowia. Nuże jak mnie zacznie z całych sił okładać nie szczczędząc przytem nauk, oczywiście jako chrzestnemu, jak się mam sprawiać na świecie, Pana Boga chwalić, starej wiary nie opuszczać, wstydu pilnować, matki nie zasmucać. Nie wiem czy słowa były przejmujące czy cięgi skuteczne, alem płakał jak bóbr...

— A nie krzyknął i razu — przerwał starzec z rozczuleniem — a gdym skończył padł mi do nóg.

— Jużem ja dobrze wiedział, iż tego dla uciechy ani przez gniew nie robicie, jedno na moje dobro i z polecenia matki. — O! jadłżem też obiad potem dzielnie! pamięta pani stryjenka; na koniu jednak długo przykro było siedzieć, dłużej jednak nawijał się suty podarek pana stryja, bo po staremu ociąwszy pogłaskał; po łaźni dał ścierkę, jak nasz Chrobry rabiął. Do samych Włoch za wasz grosz dojechałem, jak wiecie...

Przy podobnej o dawnych czasach rozmowie, przy coraz nowym gąsiorku miodu zeszyła jeszcze u stołu z jaka godzinka mile i wesoło. — Wstawszy, po zwykłych dziękczynieniach Bogu, gospodarstwu i obecnym, Kochanowski wziął stryja na bok, i opowiedział mu główny cel swoich odwiedzin. Ucieszył się starzec, wieść o dobranem małżeństwie zawsze była rodzinną radością; za panem Franciszkiem nie wstawiał się też nigdy, jak

łatwo zgadnąć można. Żona jego już wiedziała o wszystkim od naszej Kochanowskiej, oboje tedy dali najchętniej i z głębi duszy błogosławieństwo swoje młodej parze klęczącej przed niemi. — Gdy się to spełniło, pan Dobiesław szepnął coś swojej Kachnie do ucha, ona poszła do komory, i wnet wyniesła garnek natłuczony. Starzec trząsać nim zaczął, ozwał się dźwięk kruszczu; z różnych sztuk złota i srebra bitych za Jagiełłów, zebrał złotych sześćdziesiąt, całą kopę, kazał Ewie nadstawić sukni i wsypał je. — Masz to od nas dziewczeczko, na gospodarstwo, na on nowy klasztor, do którego się zabierasz, wielu rzeczy potrzeba. — I zanucił piosnkę dotąd śpiewaną w takich razach między naszym ludem:

Trzeba jej dać
 Nie żałować,
 Trzeba jej na miskę,
 Trzeba jej na łyżkę,
 Trzeba jej na sitko,
 Trzeba jej dać
 Nie żałować...

— A jak posłyszysz o naszej śmierci, Jewulku — dodała pani Dobiesławowa — westchnij tam za naszą duszę. Pan Bóg i z Ukrainy usłyszysz.

Te ostatnie słowa zmieniły radość wszystkich w tęskne jakieś rozczulenie, zwiększyło się jeszcze kiedy sędziwy Dobiesław żegnając się już z gośćmi swemi powiedział Kochanowskiemu całując go serdecznie: — Nigdy cię jakoś tak nie kochał jak dziś, mój Janku, nigdyś mi tak ojca nie przypominał; jakby coś we mnie mówiło: — Już go więcej nie zobaczysz — raz to ostatni. — I nie dziwota, dla takiego dziada jak ja, któremu starość już trzecie wici okazuje, każdy dzień uproszony.

I rozjechali się — ani przyszło komu wówczas pomyśleć, że nie stary Dobiesław z brzega.

ROZDZIAŁ XI.

A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia
 Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
 Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,
 Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba.
 Dziewosłab.

Ów dzień poniedziałkowy nie tak wesoło się skończył jak zaczął. Ledwie drużyna Czarnoleska wróciła do domu, ledwie matka zdążyła przywitać stęsknione córki i czeladź, a ojciec popieścić cokolwiek swoją Orszulkę, która najpierwsza zoczyła z daleka wracających rodziców — zaraz pan podkoniuszy oświadczył, iż jeszcze tego wieczora odjechać musi. Gorliwego sługę królewskiego korciło już mocno, że dla rodzinnych powinności i uciech, ukradł dni dziesięć obowiązkom urzędu. — Przyjaciel i siostra nie śmieli go zatrzymywać ile wiedząc, iż nie rad zmienia słowa. Wyjechał więc zaraz po wieczery na całą noc, nie tak suto opatrzony w żywność jakby gospodyni była życzyła, gdyż konno samotrzeć ruszył. Stanąwszy w Grodnie, po odebraniu rozkazów królewskich, miał natychmiast wyprawić posłańca i napisać Kochanowskiemu, kiedy będzie mógł zjechać na zaręczyny, ażeby oni stosowne porobili przygotowania.

Pan Filip bez żadnego przymusu, jednak z wyraźnego rozkazu ojca — który jakkolwiek nie znał prawie miłości, wiedział przecież, że o niej człowiek marzy

całe życie, a używa ledwie chwil parę — został w Czarnolesie; na to jedynie pozwolił Podlodoski, żeby go o mil kilka na pierwszy nocleg odprowadził, i młodzieńiec poradził sobie dobrze, żeby ani jednej chwili widzenia Bogdanki nie stracić; na tę noc bez snu się obcho-
dząc, wrócił do Czarnolasu ze świtem, a zdążywszy tylko wykąpać się w czystym stawie — jak miał codzienny zwyczaj — i przebrać się świeżo, stawił się wraz ze wszystkimi na odgłos dzwonu Ludwiny; na łóżko zaś Ewy rzucił nieznacznie wieniec, z urwanych w drodze przez las pierwiosnków i przyłaszczek; oznaka miłości wówczas bardzo używana przy najskromniejszych zalotach. Ewa w dowód łaskawego jej przyjęcia włożyła natychmiast wieniec na głowę i nosiła go póki nie zwiądł, bo od chwili powrotu z Policzny, nie było już nic tajnego w miłości Filipa; cały dom wiedział i mówił o rychłym zamężciu starszej panienki; a stara Nastka podwoiła dawną ważność swoją, gdyż rozgadywała wszędzie i każdemu: że — ona nie kto inny wzbudziła ową miłość, w sercu przebranego kozaka swoim opowiadaniem w kuchni, że nawet poznała się na nim odrazu. — Czy tak było — nie wiem, to jednak pewna, iż już nie jedno usłyszała dobre słowo z ust szczęśliwego młodzieńca, i nie jeden dostała podarek. Tak ujęta przestała nie tylko popierać pana Franciszka, ale i żałować go, że odkosza dostał, że go Ewa w grochowy wieniec ubrała. On zaś zaprzestał zupełnie uczęszczać do Czarnolasu. Kochanowski, którego charakter otwarty i serce kochające nie mogły znieść żadnego udania, zwłaszcza z tymi co mu drodzy i blizcy byli, zaraz nazajutrz po wyjeździe Podlodoskiego pojechał do Policzny rozmówić się sam na sam z panem Franciszkiem. Zastał go jeszcze w łóżku

pod pierzyną, i dobrą miał porę zawstydzienia go i wymawiania mu tak gorszącego lenistwa. — Nie dziwuj się synowczyku — powiedział — że cię ubiegł w sercu Ewy taki, który dziś całą noc oka nie zmrużył, mil kilkanaście czwałem ujechał, byle nie stracić jednej chwili oglądania swojej lubej. — I opowiedział mu wszystko, tak jak się był z panią Kasprową ułożył; biedny pan Franciszek aż zapłakał, ale nie umiał odpowiedzieć i bronić się. W tym stanie upokorzenia nakłonił go ławostryj, żeby przecie raz wziął się do czego, świata przewidział, otrząsł się z tej gnuśności; a ukartowawszy wszystko z matką, posłali go go naprzód do ziemi Stężyckiej, do syna pana Dobiesława, żeby tam się trochę przetaił, nimby do dworu Zamojskiego był oddany. — Pojechał nic nie mówiąc, milczał jak baranek, zrobił wszystko co kazano, jednak do Czarnolasu nie chciał ani raz zajrzeć nawet na pożegnanie: — Rozchorowałbym się niezawodnie — powiedział.

Nasi kochankowie tymczasem słodkie dni i godziny pędzili, a im więcej poznawali się wzajemnie, tem się lepiej kochali. Ale ich obejście się i rozmowy nie były wcale w dzisiejszym wytwornym guście, obraziłyby i zgorzszyły nie jedną wysokich uczuć damę; i jakkolwiek ich opisowi cały przeznaczyłam rozdział, lękam się, żeby nie był bardzo krótki i nudny. Tak mało jest do powiedzenia obojętnym, o niewinnej i szczęśliwej miłości. — Oboje tedy, mimo tego, że się kochali serdecznie — jedli, pili, spali wyśmienicie; Ewa odpłakawszy przez dzień jeden czy obawę pójścia za pana Franciszka, czy myśl rozstania się z rodzicami zaniechała łez, zapewne myśląc sobie: że dosyć będzie wtedy płakać kiedy chwila odjazdu na prawdę już przyjdzie. Tymczasem zamiast coby

się miała pokryć uroczą, księżycową bladością, zajmującym smutkiem, jeszcze była kraśniejsza, weselsza niż zwykle, bo rumieniła się i śmiała daleko częściej. Zamiast powłóczyć zwolna kroki chwiejące i przywozić obraz słabej i giętkiej rośliny szukającej podpory, raźniej jeszcze niż dotąd chodziła, biegała koło gospodarstwa, bo sporzej jej szły domowe zatrudnienia od czasu jak Filip na nią patrzył, jak jej pomagał, i dążyła z nimi jeszcze usilniej, żeby je pokonać co prędzej, zasiąść do kądzieli albo do krosien i rozmawiać z nim swobodnie.

Ale i te rozmowy jakżeby się wydały zimne, proste, gminne nawet, obok tych z jakimi nas oswoiły terazniejsze obyczaje i romanse? Nie było w nich ani słowa o spojeniu dusz, o morzu uciech, o nieśmiertelności kochania, o rozkoszy łez, o sile poświęcenia, o owych nadziemskich a przecież w gruncie cielesnych uczuciach, o niesmaku życia, o wstręcie jaki reszta ludzi wzbudza, i t. d. Ani Filip, ani Ewa nie tyłkoby się zdobyć nie mogli na podobne rozmowy, ale nie zrozumieliby ich z innych ust. Wolą Boga przeznaczeni sobie, wolą rodziców zmówieni, wiedzieli: że chociaż podobało się jedno drugiemu nawzajem, przecież dlatego jedynie wolno im jest się kochać, że wnet mężem i żoną się nazwą; o tej więc przyszłości mówili najchętniej, a ich czystych rozmów nawet dziewicza Ludwina słuchać mogła. On jej rozповідаł o rodzinie swojej, o wychowaniu, o siostrze, o przybranym ojcu, za którego w każdej chwili gotów był dać życie; o wsi rozległej, co ich własnością będzie, wyliczał piękności i bogactwa zielonego Podola, szerokiej Ukrainy. — To zupełnie co innego jak u was, inne niebo, inna ziemia; rola raz nawozem spulchniona rodzić

może przez lat dziesięć najwyborniejszą pszenicę; pod oziminę orzą dwa razy, pod jarzynę raz, i na tem cała uprawa się kończy; nie spracuje się tam ani człowiek, ani bydłę; te krainy powinnyby zamieszkane być jak tu żadna, i należałoby się, żeby tam król przebywał i sejmy zwoływał, gdyż niema żadnej części Polski i w tak dogodnem i pięknem położeniu. Obaczycie sama, da Bóg, że tak jest, że ja we wszystkim mam prawdę. — Ja też we wszystkim wam wierzę — potakiwała Ewa.

— U nas w wielu miejscach niema potrzeby sadzić drzew owocowych, rosną same z siebie; wiśni, czereśni, tyle co chłopstwo ledwo przejeść je może; gruszki, jabłka, śliwki suszą, i całą zimę żywność zdrową mają; kawony słodkie i soczyste większe od dyń waszych rosną na polu. Gospodarze skrzętni gdyby na żart się zajęli sadem, wnetby najcudniejsze mieli owoce, prawie winogrona. — O! ja się nauczę od ojca i nasadzimy winnice — dopowiadała dziewczyna — będziemy potem mu przysyłać Studzienickie wino. Tego i dziadunio Dobiesław skosztuje bo nas nie kosztować nie będzie, krom trocha pracy. — A jakie to łąki nasze i pastwiska! co za bydło! jakie konie! jaka woda kryniczna ze skał wytryskuje! Wasza Wisła szeroka i poważna, ale nasz szumny Dniestr gdzie piękniejszy; wody jego czyste, zimne, bystre, dziwnie zdrowiu pomocne. Nasze pola dotykają lewej jego strony; każę wam rozbić namiot, cośmy w wojnie moskiewskiej zdobyli, i będziecie się kąpać bezpiecznie, z kobietami dobrze świadomemi miejsca. W łożysku Dniestru w górach ja sam znajdowałem kamyczki krzemieniem powleczone, w których ukrywają się drogie kamienie, czerwone rubiny i inne; w Łuczyńsku, niedaleko nas, jest głęboko w ziemi glinka miękka,

mydlasta, która do prania płócien używaną być może; a jakie to lny u nas, dopiero prząść cienko będącicie... Ewa słuchając tego otwierała oczy; już z pewną pogardą na piaski i na sosny Czarnoleskie patrzyła, ziemią obiecaną było dla niej Podole. — To tylko bieda — mówił jeszcze — że lud daleko ciemniejszy jak wasz; nie mówią po polsku, nie umieją radzić sobie, ni to jarzyn przechować przez zimę, ni płótna dobrze wybielić — prawda, że to po części wina panów; jest ich nie wielu, gdyż posiadłości ogromne, a mało który w nich siedzi, mając inne dobra bliżej stolicy; druga rzecz, nie takie bezpieczne życie jak tu, oczywiście jak na pograniczu; jeśli nie od Tatarów to od Turków, a nie, to i kozacy umieją się dać we znaki. — Ani jedno, ani drugie nic mnie nie odchęca, ani straszy — mówiła Ewa — kiedyś mnie pan Łukasz wyuczył dosyć gładko łaciny, to wy mnie nauczycie daleko prędzej ruskiego bratniego języka; będę z kmieciami rozmawiać, będę ich tak odwiedzać jak naszych Czarnoleskich, będę ich uczyć różnych tajemnic gospodarskich, których mnie matka nauczyła, i obaczycie wnet złagodnieją. — Przy was, nie bałabym się też żadnej napaści, wy mnie obronicie. — I miałbym nawet gdzie was ukryć, broń Boże, jakiej straszliwej. W naszej rzece Ladawie nad samym Dniestrem jest skała, do której my jedno z ojcem wiemy jak się dostać i gdzie już po kilka razy chowano co było najdroższego w domu; tam jest jakby cerkiew i trzy cele wykute: musieli tam przed wiekami czarńcy mieszkać; ojciec niedawno kazał drzwi i okna porobić, samiśmy je osadzali, widok z nich pyszny i rozległy; opatrzyłbym tak, żeby wam i kobietom waszym na niezem nie brakowało — a skorobym pogodną chwilę upatrzył,

zakradałbym się do was. — Na takie opisy Ewa widziała się już w owej niedostępnej skale nad Dniestrem, witającą męża zwycięzcę, i kto wie, może i rada była w tej chwili, żeby znowu kiedy Tatarzy na Podole napadli. — Za to — mówił jeszcze młodzieniec — nasze wieśniaczki ubierają się piękniej niż wasze (a właśnie kiedy to zaczął, przyszła była do Ewy dziewczucha wiejska z jakąś prośbą, w grubej koszuli, w szarej ciasnosze, i w płachcie, którą głowę i kibić nakryła); nasze Podole już niedaleko owej sławnej niegdyś Grecyi, i nasze kobiety przejęły cokolwiek ze stroju Greczynek. Kiedy wychodzą z domu zupełne namiotki kładą na głowę; jak je rozpuszczą, całe są zasłonię do samych stóp, a kiedy je zdejmą, widać koszulę płonistą, nieco otwartą na piersiach, krótką spódnicę, zapasek krótszy jeszcze, a na głowie włosy splecione, jakby korona, wieniec zielony, i wstążki w kilku barwach rozpuszczone z tyłu; zaprawdę, strój śliczny, ale to też i kobiety nasze dorodne.

Na ten raz nie podobał się jakoś Ewie ten taki szczegółowy obraz; nie powiedziała nic, lecz z większą jeszcze życzliwością niż zwykle dała odpowiedź czekającej — a suto szpetnej — dziewczusze. Filip może bez namysłu tylko z instynktu, dał już pokój kobietom podolskim i strojom. — Będę też miał gdzie was wozić, i różne osobliwości wam pokazywać, — pod Jampolem, na Dniestrze jest poróg, skąd na jakie dwadzieścia stóp wysokości woda spada! rzecz to prześliczna, mianowicie kiedy słońce świeci, jakby dyamenty się toczyły, wśród śnieżystej kurzawy. Pojedziemy i do naszego Mohilowa; dziwne miejsce! tygodniem całym wcześniej w nim wiosna, a tygodniem później zima niż gdzieindziej; kiedy na

górach otaczających miasto jeszcze saniami jeździć trzeba, tam już drzewa kwitną. — Czy i w Studzienicy tak? — zapytała już udobruchana Ewa — Filip kłamać nie umiał, nie przyszło mu też na myśl słówko, którem więcej wprawny zalotnik byłby się wywinął: »że gdzie ona będzie, tam wieczna wiosna«; nie więc nie odpowiedział, tylko tak dalej mówił: — Z Mohilowa pojedziemy przez wielkie, głębokie, długie doliny do Kamieńca, mil blisko dwadzieścia. Może kiedy i do starego Kijowa zajrzemy; na ośm mil wokoło dawne mury się ciągną i pyszne są cerkwie. W pieczarach pełno jest ciał umarłych niegdyś za wiarę świętą męczenników, które się nie psują a są cielistej barwy wcale nie czarne. Jest tam osobliwie ciało dziewczki, świętej Barbary, zaprawdę podobna wielce do waszej Ludwiny, ładnie a wdzięcznie patrzy, w długie i przejrzyste płótno odziana, z długimi i miękkimi włosy gdyby len... Wiele ona już serc nawróciła i nawróci ku Bogu, tem swoim wdzięcznem patrzeniem... Ten Kijów musiało to być wspaniałe miasto starymi czasy. Słyszałem sam od naszego księdza biskupa, Paca, iż do Kijowa aż ku Smoleńsku są podziemne przechody, co nawet pod Dnieprem są prowadzone; przezacnaby to była a prawie nadludzka robota. Będziemy też zwiedzać i miejsca cudownymi obrazami słynące: Tynnę, Latyczów, Gródek, Wońkowce...

— A i tam jest Gródek, jak tu nasz, co stryj Andrzej w niem mieszka — zawołała zdziwiona Ewa — ale wy mnie coś bardzo bałamucić chcecie tak wielkimi podróżami? Matka nigdzie nie jeździła, a ja ślubowałam naszej Matce Boskiej, że będę tak dobra jak matka; ojciec zawsze mówi: Białołowie domu pilnować należy. Biada tej co cudzych domów patrzy.

— Jedno też w pierwszym roku — zapewnił Filip — kiedy jeszcze nikogo do pilnowania nie będzie. Dalszych lat ja sam nie pozwolę.

Na tę uwagę Ewa uśmiechnęła się, ale wnet spłonęła i spuściła oczy, Filip tak jeszcze powiedział: — Bo nawet dla potrzeb gospodarskich po różne rzeczy do miasta jeździć wypadnie, młodzi nie mogą dziś tak obchodzić jak pan Dobiesław z żoną; należy tak robić jak inni. U pana ojca, jednego jest nadto, drugiego wcale, zwyczajnie jak tam, gdzie gospodyni od tylu lat niema. Jabym rad, żeby u nas tak było jak u waszych rodziców; jeszcze żaden dom szlachecki tyle mi się nie podobał. — I tu dopiero rozpowiadać zaczynał szeroko Ewie, jaką to jest Studzienica. — Jeżeli byli w ogrodzie kreślił szablą na piasku gdzie stał dwór, gdzie stajnie, gdzie wieś, gdzie kościół udatny, który pan ojciec z bogactw na nieprzyjacielu zdobytych postawił, i co raz go czem nowem zdobi, gdzie inne zabudowania; gdzie się odbywają ćwiczenia i gonitwy rycerskie, gdzieby ogród, gdzie sad najlepiej założyć? kędy nową drogę poprowadzić? radził jej się o sprzęt domowy, o liczbę czeladzi, i o inne podobne rzeczy. A widać trudna musiała być rada — choć się nigdy nie spierali o sposoby — bo rozmowy ich codzien wznawiane nie wyczerpane były.

Kochanowska nie przeszkadzała im do nich bynajmniej. Wprawdzie sama poszła za swego męża nie przemówiwszy do niego więcej nad słów parę w obecności brata albo zakonnic, i była szczęśliwą, ale uważała to zdarzenie jako i cały los swój za traf nadzwyczajny, równie jak miała męża swego za nadzwyczajnego człowieka; w pospolitem życiu, z ludźmi pospolitymi; zgadywała, że wielką musi być ulgą i pomocą dla dziewe-

czki znać choć cokolwiek tego, któremu wnet całą siebie oddać przyjdzie, i ośmielić się do niego trochę. Już tedy jako prawdziwa matka wyzuwając się zwolna z praw swoich do córki, mniej dbając o własną posługę i wyłączenie, nastęczała sama Ewie jak najczęstszą sposobność rozmawiania z Filipem, zawsze jednak pod swoim okiem. — Słyszeć nie mam potrzeby co bzdurzycie — mówiła do córki — wreszcie wiem, że mi to powtórzysz, lecz widzieć nieustannie was muszę; i pamiętaj to sobie raz na zawsze, teraz dla siebie, później dla córek, jak ci je Pan Bóg dać raczy: panna uczciwa nigdy pokątnych rozmów mieć nie powinna — już ani wspominam z obcymi mężczyznami, bo mi się to widzi płochosć zbyt wielka — ale nawet ze swoim Bogdanem do samego ślubu zawsze starać się ma, żeby ją na każdy moment oczy ludzkie widziały. Na taką pannę nigdy nikt nie złęgo nie powie, choćby też jakim przypadkiem, zamierzone małżeństwo nie doszło do skutku. Zimówiny, to nie zaręczyny, narzeczony jeszcze nie mąż; i od ołtarza oblubieńcy się rozchodzą.

— Dziwne też to były za tego Batorego matek nauki i bardzo nudne romanse — pomyśli sobie przeczytawszy ten rozdział nie jedna dojrzała dziewczica — za tych dawnych czasów tak zachwalanych ani warto było być młodą i ładną. — Młode zaś, niewinne i dobrze wychowane dziewczeczki powiedzą na głos w tem miejscu: Mój Boże! jak też ten świat nic się nie odmienia! Matka nas tak samo przestrzega, jak przestrzegano w szesnastym wieku, i my tak samo postępować chcemy.

Lube dziewczeczki, słusznie mówicie, na wszystko co dobre, i piękne przedawnienia niema; błogosławcie matkę i idźcie za jej radami, skromność wasza i sława pewne;

może nie tyle się nasłuchacie w oczy cukrowanych słówek, ale też was nie obmówią za oczy, może mniej użycie zabawy, ale więcej szczęścia, może mniej albo wcale zalotników mieć nie będziecie, ale pewno i mąż zacy wam się trafi. »Cnota hojnie płac utraty dla niej podjęte« powiedział mądry i pobożny pisarz.

ROZDZIAŁ XII.

Kto z gospodarstwa, a kto zaś z wysługi,
Zbierze dostatki i z kupiectwa drugi,
Jeśli się żona nie przyłoży ktemu,
Zginąć wszystkiemu.
I. 1.

— Cóż dziś moja Hanna tak nas do pacierza zagania? — szepnął jednego wieczora Kochanowski Filipowi, widząc, że żona — ledwie co usta po wieczerzy otarli — już każe Ludwini iść dzwonić na modlitwę. — Pewnie, musiała coś arcywagłego wyczytać, i jutro chce wstać przed świtem. Ta księga, nie wiesz jeszcze bratku, to nasz statut Czarnoleski, wszyscy rządzić się według niego musimy i ty się nie wybiegasz.

A wiedzieć trzeba, iż Kochanowska jako staranna gospodyni miała prócz kalendarza krakowskiego drukowanego — który oczywiście co rok się odmieniał — swój osobisty, pisany, wieczysty, czyli *pamięć robót gospodarskich* w każdym miesiącu, zacząwszy od pierwszego stycznia do ostatniego grudnia. Zebrane tam było dokładnie i prawie dzień po dniu: co i jak przez cały rok z kolei robić wypada, żeby dom był zawsze zaopatrzony

jak się należy, żeby czas się znalazł na każdą robotę. Był to sposób najlepszy niezapomnienia o niczem i załatwienia każdej rzeczy w właściwą porę. Ta księga arkuuszowa, w treści swojej bardzo ważna, użyteczniejsza podobno dla ziemianek od sztambuchów i albumów, oprawna była w skórę, zamknięta na srebrną klamrę, i pisana na pergaminie wielkimi literami; każdą kartę przegradzał arkusz białego papieru: a to dlatego, że rok każdy nowe doświadczenie przynosił, i do nowych dopisków stawał się powodem. Znana i szanowana od dzieci, domowników i sąsiadek, leżała zawsze w pokrowie, na pulpicie, w oknie wspólnej izby, i nieraz zastać było można Kochanowską dumającą głęboko nad nią, albo też odczytującą głośno wyjątki z niej córkom i czeładzi.

Dosłyszała pani wojska słów nieco ucinkowych męża, a z przyrodzoną sobie wesołością odrzekła: — Zapewne, żem wyczytała; jutro wyjąwszy Waszą Miłość i wasz pokój, cały dom będzie w ruchu pod mojemu rozkazami i znajdzie się i dla gościa robota. Maj za pasem, wszystko do samej niedzieli wróży nam czas piękny, kalendarz obiecuje pogodę; jeźliby deszcz padał to chyba stronami — jak pisze — słońce też jasno zachodzi, sól sucha, jaskółki wysoko latają, żaby rażno skrzeczą, Nastka dzwony Zwolenkie dziś słyszała — co zawsze stała pogodę zwiastuje; trzeba przeto wziąć się bez zwłoki do roboty zapisanej w moim statucie na początku piątego rozdziału. Wstąpiwszy — da Bóg — w przyszły miesiąc, wypadną inne zatrudnienia nieprzewidziane w tej księdze — dodała z uśmiechem patrząc na Filipa — a co z głowy, to zawsze zyskane. »Co masz dziś zjeść

schowaj na jutro, a co masz jutro zrobić, zrób dziś — tak mawiali starzy ludzie.

Nie przekomarzał się już więcej Kochanowski, owszem gorliwość żony i zamiar pochwalił; ona zaś prawdziwa kobieta, a zatem cokolwiek przebiegła, nie wymieniła głównej przyczyny, dla której przyspieszyła robotę zwykłe w ciągu maja odbywaną; oto rada była zręczności popisania się od niechcienia przed przyszłym zięciem z dostatkami domowemi i z biegłością swoją i córki w ich utrzymaniu.

Tą robotą bowiem był przegląd szatni i jej przewietrzenie. Ale trzeba naszym dzisiejszym czytelniczkom jaśniej to opowiedzieć.

W owych wiekach, kiedy ubiory i męskie i żeńskie trwały nie parę miesięcy jak terazniejsze ale kilkanaście, czasem kilkadziesiąt lat, po wszystkich pańskich domach bywały izby, komory, często i budynki osobne przeznaczone na szatnię, czyli na schowanie wszelkich szat, to jest rzeczy należących do stroju, ubioru, odzieży, a do których liczyły się i niektóre porządki domowe, jako to: kobierce, makaty, obicia, pokrowce, pościel i t. p. — Dozorca szat pana zwał się szatnym, miał kilku pacholców pod sobą, i był uważany za jednego ze znaczniejszych urzędników dworu; dozorczynią szat pani była panna wyprawna, czyli z wyprawą jej dana; rozkazów tej panny orszak dziewcząt słuchał. Oboje odbierali powierzone sobie skarby pod rejestrem, i przynajmniej raz do roku przed wyższymi od siebie urzędnikami, albo też i przed samem państwem liczbę ścisłą zdawać z nich musieli. — Zwyczaj ten bardzo chwalebny, który wiele oszczędzał, do wielu zbytków i nadużyć panom i służącym drogę tamował, rozsądnej hojności dogadzał, był

naśladowanym przez gospodarniejsze domy szlacheckie, i Kochanowska rządna białogłowa, wprowadziła go i utrzymywała u siebie, z tą jedynie różnicą, że szatnia Czarnoleska nie była w osobnym budynku, ale w domu mieszkalnym pod dachem, nad bawialną salą, a ona sama była i szatną pana i własną gieradną panną, naprzód z pomocą Nastki, a od lat kilku z wyręceniem się starszych córek.

Nie jedna dzisiejsza polska gospodyni, w której podróże i pobyt w obcych krajach, zabawy światowe, nie wytepiły zamiłowania ojczystego gniazda i niewinnych uciech, jakie kobieta tylko we własnym kraju i domu mieć i kosztować może — nie jedna, mówię, prawdziwa Polka (a staje mi na myśli kilka podobnych w tej chwili), z rzetelną przyjemnością byłaby przejrzała szatnię pani Kochanowskiej, i ściagała ją samą we wszelkich zatrudnieniach i pracach, jakich wymagało utrzymanie tego składu, nie tylko w dnie przeglądu, który na wiosnę i na jesień się odbywał, ale przez ciąg całego roku. — Poddasze było obszerne i długie przez całą głębokość domu, z dwoma oknami na przestrzał; w środku były stoły, pod ścianami szafy z grzędami, z pułkami, skrzynie na krąglakach luzem stojące, żeby je zewsząd owiewało powietrze. Każda szafa, każda skrzynia szczelnie zamknięta obejmowała odmienne rzeczy: tu były szaty Kochanowskiego, tam jej samej; ówdzie córek, tu nie tylko futra, tam bielizna, tu znowu domowe porządki, albo nietknięte jeszcze zapasy: półsetki płótna, obrusy, ręczniki, płócienka, drylichy, baje, sukna. — Raz w tygodniu zimą czy latem, owa szatnia okurzana i zamiatana była, wietrzona, ile razy dozwalała tego pogoda. W każdy wieczór sobotni, Kochanowska przychodziła tam z koszami, dla siebie,

dla męża, dla córek; ku domowej wygodzie, brała, co na tydzień potrzebnem być mogło, do czego znowu na dole w sypialnej komnacie miała przyzwoite schowanie. Nic do szatni inaczej nie wracało tylko czyste i całe; to czego już nie podobna było naprawić i nosić, odkładano w skrzynię osobną do głównego przeglądu i do ostatecznego wyroku; a zgadnąć łatwo, iż w domu nie mającym a oszczędnym, gdzie sześć było córek, nie jedna szata już leżąca w ukryciu czas jakiś, wychodziła znowu na jaw wyczyszczona, przerobiona, ale coraz mniejsza. — Lecz do tego wszystkiego trzeba było zachodu, wiadomości i biegłości, i koniecznie należało zająć się tem parę razy do roku — z gruntu.

Nic tedy dziwnego, że jak już nadeszła pora owego zajęcia, gospodyni była czynniejsza jeszcze niż zwykle, i raniej wstać chciała niż codziennie. — Muszę nawet wyjawić, że Kochanowska nie spała dobrze tej nocy, choć i mąż i wszystkie dzieci były zdrowiuteńkie. O północy zdało jej się, jak gdyby mocny deszcz padał, i wstała słuchać pod oknem; koło drugiej, znowu się obudziła: przez serce wykrojone w okiennicy promień księżycy do sypialni się wciskał, a ona myśląc, że to już słońce, zerwała się i ubrała, a choć się przekonała, że to jeszcze noc, bojąc się zaspać, od niechcenia już tylko na łóżku się położyła, i drzemała lekko do świtu. — Skoro się ukazał, w moment jeden cały dom zbudziła a sama wyszła przed ganek.

Wszystkie wróżby pogody się spełniły, niebo było zupełnie czyste, czasem tylko lekki obłoczek, jak gołąb biały ukazał się na chwilę na błękitcie i zniknął. Zacie-
rając ręce z radości, gospodyni zaczęła rozrządzać robotą i robotnikami. — Już za dworem, ze strony sadu,

w tak zwanym ogrodzie, niedaleko ciennika chróścianego na łączce, gdzieśmy pierwszy raz Orszulkę poznali, parobcy wbijali kilkanaście rzędów pali wysokości człowieka; na tych palach skoro opadła rosa, zaciągnięto sznury; a po rannym pacierzu i sutszem niż codziennemu śniadaniu, zabrali się wszyscy do pracy.

Kochanowska rozpowiedziawszy dobrze starszym córkom i Filipowi w jakim porządku wieszać i rozpościerać szaty, poszła z Nastką na górę, i przez dziewczki służebne posyłała suknie, futra, inne rzeczy, dopóki ich stało. Schodziły obładowane kobiety z trudnością, głowy im nie było widać przed stosem ubiorów, ale zato wracały lekko i swobodnie wyprzedzając jedna drugą, i ochocho nadstawiały plecy i ramiona po ciężar nowy. — Gdy już wszystko w szatni wypożniono, dziewczki z miotłami i ze szczotkami zajęły się wyczyszczeniem poddasza, szaf i skrzyń. — Jeżeli pyłku kurzu i ani jednej pajęczyny nigdzie nie zostawicie — powiedziała im pani odchodząc — czółko z pięknymi wstążkami każdą z was czeka. — Zabrały się do roboty z podwójną ochotą, a ona zeszała na dół pańskim okiem wszystko zobaczyć.

Już wszystkie sznury były zasute; niektóre nawet rzeczy, jako to: kobierce, opony, makaty, sztuki całe rozciągnąć musiano na trawie, i piękny był widok tych szat rozmaitych i tkanin różnobarwnych. Rozjaśniło się czoło Kochanowskiej na widok tyłu przyborów, a niektóre wzbudziły jej czułość. Tu wpadła jej w oko ślubna suknia ogoniasta, adamaszkowa biała z wielkim wzorem srebrnym, tyłu tajemnych i rozmaitych uczuć świadek niemy, która już nieszczęsnej jej matce w podobny dzień służyła, wnet Ewie posłuży, i z nią na Podole wróci; — tu znowu spojrzała na kożuszek jarmuszkowaty tabi-

nowy popielicami obłożony z szerokimi rękawami, w jaki była ubrana, kiedy pierwszy raz zjechała do Czarnolasu, i obaczyła ten świat, gdzie miała żyć zawsze — i tak szczęśliwie. Tam dalej postrzegła kabat z atłasu amarantowego sobolem obłożony, który mąż jej kupił w Krakowie za pierwszą córkę; trzy razy go tylko miała na sobie, bo go chowa na dzień zaręczyn i ślubu dzieci swoich. — Na drugim sznurze wiszą męzowskie szaty: płaszcz rasiany, rewerenda falendyszowa, kołpak gładki aksamitny, jarmułka tabirowa, ubiór zupełny, w którym zagranicą chadzał, kiedy się uczył w akademiach i księdzem miał zostać; nieco bliżej, strój czarny dworski jedwabny, trochę z hiszpańska, biret z piórami, krezy białe, bo Zygmunt August taki lubił i nosił najczęściej. Na obadwa niechętnie i niedługo patrzy Kochanowska, zawsze jej to przychodzi na myśl, że kiedy je mąż nosił, jakaś tam Lidya, paryżanka, jakaś Hanna dworska panowały w jego sercu — woli przeto obejrzeć żupan fiołkowy z wysokim kołnierzem, kontusz zielony aksamitny z guzami koralowemi, pas złocisty, czapkę aksamitną białą sobolem obłożoną, bo to ubiór jego ślubny; woli przyjrzeć się starannie futrom rozmaitym, z których niejedne kosztowne i rzadkie. Bo wtenczas Polacy i Polki nie zbałamuceni klimatem zachodnich i południowych krajów, zgadzali się z własną strefą i stosowali się do niej, korzystając ochoczo i wdzięcznie z wszelkiej obrony przeciw zimnu północnemu, jakiej nam hojnie udzieliła Opatrzność. Zamiast się starać o blondyny, koronki i wielkie robótki na przebój, dziś tak wzięte i przepłacane, a które i od wietrzyka letniego nie osłonią, dawne Polki w futra się zaopatrywały, futra były ich odzieżą i strojem. Zawsze na kołku przy łóżku wisiał dostatni kożu-

szek, u bogatych sobolowy, u mniej majątnych popielicami, lisami, wreszcie królikami, barankiem podszyty; niewieście zrywającej się w nocy do dzieci, albo skoro świt do gospodarstwa, nie raz i w sierpniu nie wydał się zbytecznym, gdyż jak wiadomo, tym co rano wstają, u nas — »od świętej Anki, chłodne poranki« a i przed świętą Anką nie tak wiele ciepłych. — Skoro zima nadeszła, już Polka futra z siebie nie zdjęła; miała lżejsze krótkie szaty niem podbite do domu, ciężkie, długie do kościoła, czy w sąsiedztwo. Do stroju, na wielkie zgromadzenia, do dworów królewskich i pańskich, aksamitne, adamaszkowe i atłasowe jej suknie, pod samą szyję z długimi rękawami, takż futrem podszyte, a przynajmniej okładane były; naszych królewien najzamożniejszych wyprawy, niemal z samych futer się składały; im białogłowa była bogatszą, tem ich więcej na sobie nosiła uważając ciepłych szat niedostatek za dowód srogiego ubóstwa; wszak nawet owe krostki, które występują na ciału z zimna, w naszym logicznym a tak często poetycznym języku *sierotkami* się zowią. I zapewne, gdyby jaka matrona z czasów Zygmuntofskich obaczyła dzisiejszą polską elegantkę, z której, w mróz trzaskający suknia koronkowa prawie do połowy ciała spadła, która do krótkich przed łokieć rękawów, ledwie się zdobyła na króciutkie do kostki rękawiczki i resztę gołej a zsiniałej ręki jak może przezroczytą chusteczką osłania — nie poznawszy się na tem, że owa suknia kilka tysięcy, a owa chustka kilkaset złotych kosztuje, litowałaby się nad nią jak nad biedaczką i sierotą jaką, co niema czem się odziać; a gdyby jej kto z boku powiedział: że to bogata pani ale niewolnica mody, przezegnałaby się zapewne z podziwienia, albo też ruszyłaby ramionami.

Ale też matrony Zygmuntofskich czasów, owych dziwnych bólów i chorób rozmaitych, które dziś nasze Polki dręczą, nawet z nazwiska nie znały; żadna, ani hetmanowa, ani kanclerzyna, ani senatorowa, tem bardziej prosta szlachcianka nie potrzebowała wód i lekarzy zagranicznych, włoskiego nieba; każda zdrowa, czerstwa, dzieci silne rodziła ojczyźnie, później i szczęśliwej dochodziła starości.

Kochanowska idąc za powszechnym przykładem i za własnym rozsądkiem, największe bogactwo szatni swojej zakłada w futrach.

I ona i córki miały parę kożuszków codziennych i jeden od święta, miały i czuchy czyli szuby, a na wielkie mrozy spódnice ich nawet były futrem podszyte. Traciła może na tem kibić, ale zdrowie zyskiwało. Kochanowski miał także kilka futrzanych ubiorów zupełnych, delią, szubę; i ten był cel najważniejszy wiosennego przeglądu szat: żeby futra zimowe dobrze wytrzepane, ponaprawiane, ułożyć w skrzyniach — póki jeszcze robactwo łądz się nie zacznie — przekładając je smolnem łączywem, przesypując pieprzem i różnemi ziołami, a potem owinione ściśle w płótna, zamknąć szczelnie aż do pierwszych dni października; pora, kiedy je wydobywano z więzienia, żeby znowu do maja służyły; miano bowiem wówczas za jedną z największych kalendarskich bajek owe słowa: zima się zaczyna 21-go grudnia, a kończy 21-go marca.

Ucieszona Kochanowska widokiem domowych dostatków i pomyślnym stanem szacowniejszych rzeczy, równie dumna jak troskliwy dowódzca kiedy przed nim sute i dobrane rotę w porządku występują, nie mogła na ten jeden raz oprzeć się pokusie; pobiegła do męża

pokoju, zastukała do drzwi, chociaż wiedziała, że on tam rozmyśla i pisze, i prosiła, żeby koniecznie przyszedł niebawem, bogactwa ich zobaczyć. — Właśnie pewien paru godzin wolnych, zdjął był z siebie zwierchnie suknie, odparał szablę, usadowił się wygodnie, i rzucał na papier pieśń co sobie był w myśli ułożył, wracając dziś z pola; uderzył go był nagły postęp wiosny, szeroką Wisłę widział z daleka, gdyż jeździł do wzywającego jego rady sąsiada. Tyle już był napisał:

Serce rośnie patrząc na te czasy!
Mało przedtem gołe były lasy,
Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,
Lody zeszły a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje
Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;
Ptacy sobie gniazda omyślają
A przededniem śpiewać poczynają...

Przecież, chociaż dopiero był w połowie tak miłego i gładkiego utworu, na pierwsze zawołanie żony położył pióro, a wdziewając na siebie złożony kontusz, mówił sam w sobie: — Należy mężowi brać uczestnictwo w pracach dobrej żony, ona nieboga cały rok się trudzi, i nie wymaga innej zapłaty nad dobre słowo moje. — Poszedł więc — a skoro spojrział na ubarwioną łąkę uśmiechnął się nadobnie i rzekł: — Panie rotmistrzu, nie zdaje się wam, żeście z ojcem jaki obóz tatarski zabrali, i w namiotach carzyka i ułanów znaleźli moc dostatków. Pani żono! wy cichaczem musicie się bawić z dziatwą podo-

bnemi wyprawami, bo ja dalipan tylu domowych przyborów nie pamiętam.

— Są ci tu i tatarskie, i moskiewskie, i tureckie zdobycze — odrzekła Kochanowska, a to mówiąc pokazywała mężowi i Filipowi podarunki braterskie w rozmaitych czasach im przysyłane.

— Zaprawdę — powiedział poeta obszedłszy sznury, na których szaty jego wisiały — jakbym kronikę mego życia czytał! Ten kontusz piaskowy wytarty i taki szczupły, którego bym dziś ani dopiął, przerobiony z ojcowskiego żupana; miałem go na sobie, kiedym poznał drogiego przyjaciela; on był świadkiem naszej zmowy, on słyszał naszą przysięgę, Jakób przypomniałby sobie pewno odrazu. A ów zagraniczny, ów dworski strój! o! dobrze co gadać nie umieją, miałyby wiele do powiedzenia... Ręczę, co tam w kieszeniach jeszczeby znalazł jakie wierszyki krotofilne czy miłośne:

Lubeż me wesele, lube me biesiady!

albo:

Matko miłości

Szafarko trosk i radości...«

— Już ja zdawna wszystko wytrząsnęłam — przerwała Kochanowska nie bardzo rada przypominaniu tych czasów i wierszy zwłaszcza przy córkach — móle najśladniej w papier się wdadzą, rzecz niebezpieczna. Ale panie mężu, ja nie dla samej mojej uciechy was tu zwabiłam, musicie mnie dopomódz w jednej ważnej sprawie. — To mówiąc odprowadziła go cokolwiek na bok, a głos spuściwszy tak powiedziała: — Przy Boskiej pomocy zdaje się być rzeczą pewną zamężcie naszej dziewczki; po zaręczynach wypadnie zaraz myśleć

o wyprawie; nie podobna inaczej jedno uczciwie córkę opatrzyć i dać z domu, a jeszcze najstarszą! Chciałam tedy za jedną drogą odłożyć co będzie można i radą waszą.

— Zupełnie w tem na ciebie się zdaję, Hanno moja — odpowiedział Kochanowski — ty się na tych rzeczach lepiej znasz; rób przeto co jedno zechcesz, pamiętajac przecież, iż Ewa jakkolwiek pierworodna nie jedynaczka, i że da Bóg doczekać cztery takie wyprawy, matko, będziesz miała do dokonania.

— Pięć, panie mężu, pięć — odrzekła z żywością — jedna Święta nasza co niczego nie potrzebuje i potrzebować nie będzie; jej najlepsza częśćka już się dostała, patrzy na te wszystkie kosztowności, jak drugi na błoto; ale co Orszulka, ta dostanie odemnie sutą, bogatą wyprawę, a choć najmłodsza, doczekam przecie tego, żebym ją także do ślubnej łóżnicy w moim amarantowym kabacie zaprowadziła. Patrzcie sami, jak ona tu ciągle biega, śpiewa, chwali, śmieje się. Jak się przygląda teraz ciekawie owej zielonej bławatnej sukni z tureckim haftem — schowam ją dla niej... Orszulko, Orszuleczko, chcesz życie moje, daruję ci tę sukienkę? wołała na nią pieszczotliwie.

— A mnie na co? — odpowiedziała dziecina — i według swego zwyczaju poczęła sobie biegać i śpiewać rymując:

Te stroje
Wezmą siostry moje,
Orszulki szaty
Gieźleczo i kwiaty.

Ojciec już zapominając i wierszy zaczętych w pokoju, i rad, które miał dawać żonie, zajął się cały ową

najdroższą pociechę swoją, poszedł z nią i długo bawił się jej słowy, jej wdzięcznemi żarty; to mu trafiała ukłon pana rotmistrza, to wyrażała wspaniałą postawę Podlowskiego, to udawała obyczaje panien i dziewcząt, które były w Czarnolesie ostatniej niedzieli; to jakie bądź on jej powiedział wiersze, zatrzymywała je w pamięci jak gdyby na kamieniu się wryły, a co chwila obejmowała jego szyję rączynkami swemi, jakby mu dziękując, że ją nie oddała od siebie, że jej pozwala z nim się nacieszyć. O zaprawdę dziwić się nie było można Kochanowskiemu, iż tak miłuje to dziecko, bo rzadkie to było dziecko i z ранego rozumu i z dziwniejszej jeszcze dobroci i czułości, i sprawdzało te słowa:

Iż ledwie się kiedy dziecię urodziło
Coby łaski rodziców swych tak godne było*).

Tymczasem Kochanowska ciągnęła dalej rozpoczęte dzieło. Córkom rozdała roboty, Ewie zszywanie porozparanych futer, Dorocie wybieranie ze starej bielizny lepszych kawałków na onuczki, a była niemała potrzeba płótna na tyle osób — dwom młodszym kilka szat do sprucia dla łatwiejszego przerobienia. Ludwinie zaś w takim razie dostawało się zajęcie zgodne z jej sercem, i naprzód się cieszyła na nie. Jej było poruczone upatrywać i odkładać rzeczy, które już jedynie dla ubóstwa przydać się mogły, a które potem połatawszy, przerobiwszy własną ręką rozdawała według potrzeby, to wieśniakom Czarnoleskim i ich dzieciom, to przechodnim żebrakom. Bo Ludwiny pobożność była razem oderwana i czynna; a jeżeli jej anielska dusza najczystszych rozkoszy używała w modlitwie, jeżeli dla niej

*) Tren XII.

samej, Bóg wystarczał zupełnie, lubiła żeby przed nią drudzy dóbr i pociech ziemskich używali i to było jej najśladszą uciechą. Kiedy ją kto chwalił z tego wyzucia się samej siebie, a wylania się całkowitego dla bliźnich, mawiała z głęboką, z rzetelną pokorą: — Czego mnie chwalicie? ani ja się sama stworzyła, ani sama wychowała, Bogu i rodzicom chwała. — I dlatego to wyższe jej usposobienie, nie było nikomu natrętne, nie pokorzyło nikogo, ani też ją samą wbijało w dumę i w tę myśl, która tak często jest skopułem dla doskonalszych, więcej duchownych osób: iż są wyżsi nad sferę swoją, i marnieją w niej żyjąc.

Ale wróćmy do Kochanowskiej.

Po wielokrotnem obejściu sznurów i troskliwem liczeniu na pięciu palcach, po głębokim namyśle i długiej naradzie z Nastką, odłożyła na bok część starszej córki do wielkiej skrzyni, która już od dawna Ewy imieniem naznaczona była; zamawiając jednak u samej siebie, iż rozpatrzy się jeszcze w tych rzeczach za dni kilka, i wezwie do ostatecznego sądu nie tylko męża, ale i brata, skoro wróci. Kiedy idzie o to, żeby drugich dzieci dla jednego nie skrzywdzić, możeż dobra matka być nadto troskliwa? — Suknia tylko ślubna bez żadnego namysłu i pytania się odłożoną została dla przyszłej pani rotmistrzowej, chociaż w całej szatni nie miała równej sobie; był to już przywilej starszeństwa, na który sarkac młodsze siostry nie miały żadnego prawa; i Ewa podobnie, choćby jej Pan Bóg dał dziesięć córek, dla najstarszej zachować ją była obowiązana.

Dokonawszy co było najtrudniejszego, już dalsza robota poszła Kochanowskiej jak z płatka. A chociaż dopiero w sobotę przed wieczorem zdążyła uporządko-

wać wszystko w szatni, chociaż przez te wszystkie dni prawie ciągle była na nogach — co w jej stanie mogło być z jaką szkodą na zdrowiu — przecież więcej daleko doznała uciechy niż zmęczenia. Nie brakło jej też na pomocy. Dwóch kuśnierzy i dwóch krawczyków sprowadzonych wcześniej z Kazimierza, co trudniejszego było podszyli, pocerowali, skroili, uszyli; córki pracowały także sercem całym, nawet Orszulka, która już umiała pomódz do każdej roboty, która w posłudze rodzicom wszystkie sługi wyprzedzała, która nawet klucze matki często nosiła i wiedziała gdzie co znaleźć, jak do wszystkiego trafić. — Pan Filip też nie dopuścił nikomu pierwszeństwa w dzielnem a ostrożnem trzepaniu futer kosztowniejszych i szat, w przyzwoitem i ścisłym układaniu ich w skrzyniach; uważano tylko, że skrzynię Ewy imieniem oznaczoną, bardzo tymczasowo pakował. Kropla deszczu nie padła przez te wszystkie dni, chociaż kilka razy wiatr się zrywał i niebo groziło; wyznać też należy, że młodsze dziewczynki w piątek rano wzięły dobrze różgą, żeby — się lepiej modliły o pogodę. Słowem Kochanowska w wieczór sobotni odpoczywając w izbie przy kominie, kazała Ludwinie zapisać w księdze pamięci pod artykułem *szatnia* na białej karcie między kwietniem a majem następującą przestrożę:

— Pilnować odtąd, żeby ile możności przed końcem kwietnia odbyty był przegląd zwyczajny wiosenny, gdyż to jest pora najlepsza, jak mieliśmy tego jasny dowód latoś roku pańskiego 1584. Zaczęliśmy w imię Boże w dzień pięciu świętych papieżów, a skończyli pomyślnie w dzień ś. Witalisa. Panu Bogu niech będzie chwała i Matce Najświętszej. Amen. — Czy jednak ta przestroga na drugie lata nie okazała się mylną — za to

ręczyłbym nie śmiała? Tak rzadko kiedy rok do roku podobny, nie tylko w pogodzie!

ROZDZIAŁ XIII.

Szlachetne zdrowie — nikt się nie dowie
Jako smakujesz -- aż się zepsujesz;
Tam człowiek prawie — widzi na jawie
I sam to powie — że nie nad zdrowie
Ani lepszego — ani droższego.
Bo dobre mienie — perły, kamienie,
Także wiek młody — i dar urody,
Miejsca wysokie — władze szerokie
Dobre są, ale — gdy zdrowie wcale.
Gdzie nie masz siły — i wiek nie miły.
Klejnocie drugi — mój dom ubogi
Oddany tobie — ulubój sobie.

— II. 30 —

Kochanowska uradowana pomyslnym skutkiem jednej roboty, wnet zebrała gromadkę swoją do drugiej. — Deszcz jak gdyby tylko czekał na ukończenie przeglądu szatni spadł był obfity; z razu zimny ocieplił się był stopniami, zajaśniało też potem słońce i maj przyszedł jak zawsze przychodzić powinien, zupełnie zielony i kwiecisty — ziół zbawiennych i kwiatów leśnych rozwinęło się mnóstwo. — Troskliwa gospodyni nie mogła opuścić tej pory, ile że ją miała zapisaną wielkimi literami w księdze pamięci; przy śniadaniu więc we wtorek widząc męża dobrej myśli zapytała się:

— Panie mężu! — nie zechcecież nam dziś towarzyszyć na wielką pieszą wyprawę?

— Pani żono — odpowiedział — wiesz zdawna, że ja trzymając z moim Jakóblem i z całą bracią szlachtą,

lubo Kochanowska od dawna go znająca, groziła mu że z tego papieru trąbki porobi, jak jej miejsca na zioła w koszach nie zostanie.

Lecz nie było tej obawy, wszystkie nasze dziewczęta, Nastka i dwie dziewczki kuchenne stawiły się uzbrojone w koszałki, w kosze, a nawet i w wielkie płachty, było przeto gdzie mieścić, choćby najobfitszą zdobycz.

Ruszyli tedy wszyscy, Kochanowska na czele; Ludwina tylko została: uboga komornica umarła tej nocy, była przy jej skonaniu, własną ręką zamknęła jej oczy, a teraz poszła obmyć ciało, modlić się nad niem, pocieszyć, nakarmić, opatrzyć pozostałe dziatki.

Nasza drużyna weselsza, ale zapewne nie więcej szczęśliwa od świętej dziewczki, pełna była żartów, piosnek i śmiechu, jak to zwykle bywa, na wsi, na wiosnę, w rodzinnem i swoim gronie, i na swojej ziemi. — Nie zawadzał nawet i pan Bielawski, gdyż był z liczby owych dziwnych i wygodnych ludzi, co to śmieszni i nie mądrzy, ale pozwolą żartować z siebie, bo dobrzy w gruncie i pokorni, są tylko opanowani jakimś rodzajem manii czy lekkiego szaleństwa.

Tymczasem pani wojska dobrze miejsc świadoma, zaprowadziła gromadkę swoją w pola na pozór nieurodzajne, w odwieczne odłogi, lecz gdzie w zamian zboża, na piasku, na kamieniach i wydmuchach, wśród jałowców i berberysów, w dołkach, na wzgórzach, wiele szacownych ziół rosło. Rwali je wszyscy ochoczo, na wyścigi, każdy rodzaj kładąc osobno, a Ewa, która się najlepiej bawiła, najwięcej śmiała, zebrała przecież najwięcej; może i nie trudno odgadnąć przyczyny? Filip zawsze był przy niej i oddawał jej co znalazł. — Poszli potem na brzeg lasu, a gdy słońce dobrze w górę się wzbilo

weszli w głąb, tam obfite zebrali żniwo kluczyków, inaczej zwanych pierwiosnkami, których kwiat żółty i pachnący sparzony ukropem, wybornym jest napojem na uspokojenie krwi, a moczony w okowicie, suche bóle skutecznie leczy.

Po kilku godzinach chodzenia, schylania się i pracowania wróciła ochocza drużyna z tak sutym plonem do domu, że pana Bielawskiego — który w ciągu całej przechadzki błagał na próżno, żeby gdzie siedli i posłuchać go chcieli — już bardzo strach brał o jego papiery. Zaraz po obiedzie wzięli się wszyscy do dokończenia dzieła, to jest do oczyszczenia z piasku, z niepotrzebnych liści i trawek zerwane zioła, i do zrobienia z nich przyzwoitego użytku. Jednemi czysto oskubanemi jako to kluczkami, piołunem, macierzanką, napełnione zostały próżne gąsiorki i nalane okowitą, inne jak np. oman prawy, rozchodnik, przeznaczone zostały do usmażenia w tłustości, jako bardzo pomocne na rany, a najwięcej ziół zaniesiono na górę pod dach. Tam obok szatni była suszarnia, gdzie na stołach i pułkach — jak wypadło — to zioła i korzenie, to krupy, mąki, grochy, suszyły się i wietrzyły, bo Kochanowska w tem jednym pozwalała sobie, i na to mąż rozsądny i wyrozumiały bynajmniej jej nie żałował, żeby miała gdzie wygodnie się rozpoztrzeć ze swoim gospodarstwem. Sama nie posiadała osobnego pokoju; komnata z nią była sypialną i dla męża, i dla niej i dla dzieci, w wspólnej izbie cały dzień siedziała, albo w oknie, albo przy kominie, według pory dnia i roku; ale za to miała nie tylko szatnię i suszarnię, ale inne jak wtedy zwano komory. Miała na górze ogromną spiżarnię, skład główny krup, mąk, okras, grzybów, owoców suszonych i innych gę-

bnych grubszych zapasów, a na dole pod ręką skarbczyk czy apteczkę, gdzie były smaczniejsze, kosztowniejsze rzeczy. W tej apteczce całą jedną połać przeznaczyła *szacownemu zdrowiu*. Tam stały gąsiorzy z różnemi wódkami naciąganemi na słońcu albo przepuszczanemi przez alembik na suche bóle, paraliże, na słabości wewnętrzne; były tam wódki z szyszek młodych, z glist kopanych na wiosnę, a nawet z gadzin różnych. Tu znowu wody z konwalii od bólu głowy, z goryczki, z rzęsy od trzęsionki, z róży na zapalenie oczów, a nawet wody piękności: marcowe, poziomkowe, liliowe; ówdzie octy zaprawne ziołmi, korzeniami od mdłości. Tu jeszcze cudowne maści z żywokostu, z łopianu, pod któremi złamane kości się zrastały, a jad z ukąszenia gadów moc swoją tracił, tam, ulepki z fiołków i z innych kwiatów na kaszel, na żołądek; w słojach pijawki, żaby, maiki, w słoikach rozmaite proszki: to korzeń liliowy utarty na słabości dziecinne, to raki suszone i utłuczone na miazgę od ukąszenia psa wściekłego, a w worach i trąbkach z papieru w szuffadkach ziółka, kwiaty, korzenie suszone na napoje, do nakadzania, do kąpieli. Każdy zaś szczegół właściwym był napisem oznaczony po polsku i po łacinie jakby w prawdziwej aptece. Dziś, chociaż sztuka lekarska nierównie więcej upowszechniona, niejedna troskliwa matka i dziedziczka stara się mieć podobne zapasy u siebie, i nieraz okazują jej się bardzo przydatne i zbawienne: cóż dopiero w owym wieku, kiedy po każde lekarstwo jeździć było trzeba do większych miast, gdyż tam tylko znajdowały się apteki zasobne, i kiedy sami jedynie królowie i panowie lekarzy na dworach swoich trzymali? Kochanowska zacząwszy już lekarskie nauki swoje w klasztorze, gdzie się wychowała,

od zakonnice i od Nastki, z bogaciwszy się potem radami pani Kasprowej i kilku starszych sąsiadek, wiele także doświadczeniem i czytaniem — gdyż wówczas mieliśmy już niemało książek łacińskich i polskich o sztuce leczenia — Kochanowska, mówię, zrobiła się zawołaną lekarką, i tej wiadomości swojej udzielała za każdą sposobnością starszym córkom, to ustnie, to praktycznie, to wreszcie dając im do przepisywania różne sekreta: — My białogłowy — mawiała do nich — mamy na pieczy zdrowie ludzkie, a to nie jedno męża, dziatki, czeladzi, kmieci, ale nawet gościa i ubogiego przechodnia; nie dosyć zaś wiedzieć jak leczyć, trzeba umieć ochronić od choroby zwłaszcza w czasach zarazy. — Lubo też w owych wiekach grasowało po różnych stronach Polski morowe powietrze, Czarnolas uchodził szczęśliwie tej straszliwej plagi. Troskliwa gospodyni za pierwszym posłuchaniem o wrogu kazała palić koło dworu i po wsi całej ognie z drzewek jesionowych, jałowcowych, w domu podwajała schludności, chroniąc kątek każdy od wszelkiego zatęchnienia albo zgnilizny rano, nim jeszcze okna otworzono, kazała kadzić rozmarynem, jałowcem, mirrą, okna otwierała od północy i od wschodu, gdyż z tamąd wiatr bywa suchy i zimny a zatem najczystszy, nikomu z domu wyjść nie dała naczczo, musiał się napić, jeśli w dzień mięsny, polewki, jeśli w post — piwa grzanego, a jeśli z suchotami, zjeść choć skibkę chleba octem nakropioną; zakładała na szyję dzieciom i mężowi orzechy laskowe żywym srebrem napełnione, czeladzi gąbki kawałek umaczanej w occie, z przykazem wężania jej często; podłogi wysypywać dawała codzien świeżym zielenem, tatarakiem, piołunem, jedliną siekaną, ściany nawet

osobliwie nad łózkami okładać kazała płachtami maczanemi w occie, dla zniszczenia wszelkich zarodków złego.

Wielką też były jeszcze pomocą do oddalenia choroby, a razem i nowem polem do zachodów dla każdej gospodyni, wspomniane już łaźnie. Kiedyś każda wioska miała swoją, nie mógł się bez niej obejść i każdy dwór szlachecki. Zwano je potnikiem, suchą wanną; u panów były z wielkimi wymysłami, u uboższych proste ale czyste. W izdebce zupełnie odosobnionej ogromny piec mocno rozpalony zlewano wodą. Osoba chcąca użyć kąpieli — a było wiele takich, co używało jej codzien — wstępowała zupełnie rozebrana na coraz wyższe stopnie, a ogarniona parą coraz obficiej potniała. Wtedy kazała się siec winnikami (miotłą z brzoźowych różczek z liściem), żeby się coraz lepiej pory otwierały, nacierała ciało różnemi wódkami, a tak wszystko złe, cała nieczystość człowieka wraz z potem spływała, smarowanie siły dodawało. W domu Czarnoleskim była łaźnia, a nawet cieplica — tak wtedy zwano dzisiejszą zwyczajną kąpiel — Kochanowska i jej córki używały częściej drugiej niż pierwszej. — Przykład nie zbyt dawny a tak smutny królowej Barbary, która — jak mówiono — najwięcej zaszkodziła swemu zdrowiu i wpadła w nieuleczoną chorobę zbytecznem używaniem łaźni — wstrzymał cokolwiek kobiety od tego zwyczaju, który też zawsze więcej był upowszechniony między mężczyznami.

Łaźnia Czarnoleska obok kuchni będąca, opatrzona była różnemi wonnemi olejkami, różnemi wódkami, ziołami, mydłem, bielizną; był zwinny i zręczny pacholek przeznaczony do usługi mężczyzn, łaźiebnikiem zwany, była dziewczka, łaźiebница dla kobiet, a nad tem wszystkim miała główny dozór sama pani, gdyż każdemu

gościowi, skoro nocował, łaźnię codziennie ofiarowano, a gospodyni w tem zakładała swoją chlubę, żeby wszędzie wszystko znalazł ochędoźnie, przyzwoicie i wygodnie.

Takimi to i tym podobnymi staraniami, Kochanowska stawała się zupełnie duszą domu swojego; dni jej zbiegały szybko, mile i użytecznie. Nieodbita potrzebna u siebie, nie dziw, iż wyjeżdżać nie lubiła choćby na kilka godzin. Od samego zamężcia, nie trafiło jej się podobno dwóch nocy przebyć w gościnie. W owych wiekach niewiasty były prawdziwemi domownicami, *Hausfrauen*, jak dobrze Niemiec je nazwał; najmajętniejsze siedziały zawsze u siebie i na jednym miejscu. Licznym dworem płci obojga otoczone były jak królowe na małą stopę i znały to wybornie, że ich władza i znaczenie, wielkie we własnej sferze, nikły za tym obrębem. — Tem zamiłowaniem własnych śmieci, tem chętnem siedzeniem na temże samem miejscu, kobiety ówczesne lubo daleko mniej uczone od dzisiejszych, więcej znały i lepiej spełniały owo przeznaczenie Boga, który je »w pomoc mężom« stworzył. Znakomici urzędnicy, kanclerze, hetmani, posłowie do obcych krajów, wreszcie ludzie rycerscy, rzadko kiedy mogli siedzieć u siebie, zajęci zawsze to sprawą publiczną, to wojną; w cóżby się były obróciły liczne pańskie dwory męskie i żeńskie, owo źródło największej wziętości u szlachty, w co wszędzie wychowywanie dzieci, rozpoczęte budowy, roboty, wreszcie cały zarząd majątku, gdyby nie zostawała zawsze w domu żona, owa druga męża połowa, na którą zdawał władzę swoją, która w jego niebytności rządziła, zawiadywała wszystkim, z tem większą troskliwością, iż pragnęła za powrotem jego otrzymać pochwałę.

Nie wiem też, czy komu w spółczesnych kronikach

i pamiętnikach zdarzyło się wyczytać, żeby jaka pani polska przenosiła się do Krakowa na zimę, albo jeździła za królewskim dworem. Jeżeli się natrafi kiedy w dziejach na imię jakiej znakomitej matrony, jest to zwykle imię wdowy, która szukając sprawiedliwości u stóp tronu, sama dopominać się musi o skrzywdzenie na dzieciach lub na majątności. Dopiero, gdy z drugą połową siedemnastego wieku zaczęliśmy mieć królowe francuskie, gdy rosły coraz większe frymarzenia o koronę, kobiety okazały się potrzebne do intryg, i coraz więcej świecić się zaczęły na królewskim dworze i po stolicach. — Co do podróży za granicę, w zakładby pójść można, iż w owych czasach żadna Polka nie była widzianą w obcych krajach, u cudzoziemskich monarchów. Badałam usilnie pierwszych śladów owych niewieścich włóczęg, dziś tak u nas pospolitych; znachodzić się dopiero dają w osmnastym wieku. Wiemy wszyscy, jakim pasmem błędów i nieszczęść był ów wiek dla Polski, wiemy także, iż nie jedna z owych Polek, zaniedbawszy dla obcych bogów domu i ojczyzny, za powrotem już nie zastała domu ni ojczyzny.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

OBJAŚNIENIA DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Uwaga ogólna.

Hofmanowa dołączyła do swej powieści objaśnienia. Były one na swój czas bardzo cenne; niektóre nawet wzbogaciły rzeczywiście zasób wiedzy naszej o Kochanowskim i wieku XVI. Dziś atoli powtarzać je w całości nie widzę potrzeby; skorzystali już z tego, co w niej było nową wiadomością; zwykli zaś czytelnicy pomijali i pomijają zbyt obszerne wywody. Zdaniem mojem, objaśnienia, jeżeli mają na prawdę przynieść pożytek, powinny być zwięzłe i obejmować to tylko, co naprawdę dla przeciętnego czytelnika niezrozumiałem lub mało znanem być może. I wstrzemięźliwym być w nich potrzeba. Hofmanowa robiła bardzo sumienne studia dla dokładnego odtworzenia życia polskiego w wieku XVI. lecz niezawsze dotarła do prawdy. Wykazywać wszystkie pomyłki, znaczyłoby to psuć wrażenia czytelnikowi powieści; należy zatem poprzestać na sprostowaniu najważniejszych, wynikłych już to z niewiadomości, już to z chęci zgrupowania wokoło Jana z Czarnolasu wybitniej-

szych pisarzy XVI wieku. A ponieważ obrała sobie do zobrazowania rok 1584 tj. rok śmierci poety, a nie chciała się cofać w opowiadania, więc chociaż wiedziała, że Orszulka umarła już w r. 1579, przeniosła ten zgon na datę, mającą skupić w sobie wszystkie zdarzenia, planem powieści objęte. Nienależy tedy zbyt surowo patrzeć na anachronizmy Hofmanowej.

Z jej objaśnień korzystałem nieraz; lecz wiele dodałem takich, które ona pominęła. Wszystko, co staje się zrozumiałem przez dobre opowiadanie w tekście samym, pozostawiłem domyślności czytających.

Str. Wiersz

- 4 2: *Anna* pisała się właściwie: *Białaczowska*; zmarła r. 1557; a więc w r. 1584 minęło już lat 27 a nie 25 od tego zdarzenia.
- 20: *Stefan Batory* objął tron polski w r. 1576.
 - 23: *Jan Zamojski*, znakomity mąż stanu, kanclerz i hetman koronny za Stefana Batorego, urodził się r. 1541, zm. 1605. W r. 1584 miał lat 43, był w pełni sił, znaczenia i wpływu,
 - 25: *Czarnolas* albo *Czarnolesie*, wioska położona w dzisiejszej gub. radomskiej w Królestwie Polskiem.
- 5 4: Hofmanowa przypuszczała, że *Kochanowski* ożenił się w r. 1566. Wiadomo dziś na pewno, że w tej dacie *Kochanowski* był jeszcze kawalerem. Ożenił się prawdopodobnie w r. 1574. Miał rzeczywiście sześć córek, ale trzy tylko imiona dobrze podała Hofmanowa; trzy zupełnie inaczej brzmiały, a mianowicie: *Poliksena*, *Elżbieta*, *Krystyna*. Wszystkie powycho-

Str. Wiersz

dziły za mąż. Świątobliwej Ludwiny między niemi nie było. Hanna, córka Kochanowskiego, nie żyła już w r. 1584.

5 25: z *klekoczki*; klekoczka jest to nazwa rośliny, której nasiona wyglądają jak paciorki.

6 15: „*Odprawa posłów*“ jest to tytuł dramatu na wzór grecki napisanego, w którym Grecy upominają się u Trojańczyków o wydanie pięknej Heleny, porwanej przez królewicza trojańskiego, Parysa — Aleksandra.

» 27: *Jakób Podlodoski*, brat żony Kochanowskiego.

» 32: wojna moskiewska ciągnęła się od r. 1578 do 1582, zakończona układem podpisanym w Kiwerowej Horce.

7 11: *Orszulka* Kochanowska zmarła już w roku 1579 jako półtrzeciuroczne dziecko. Hofmannowa chcąc przedstawić poetę w otoczeniu całej rodziny, umyślnie dopuściła się anachronizmu, każąc w r. 1584 żyć i Orszulce i Hannie.

» 23: *letniczek* = letnia sukienka; *bramowanie* = obszycie.

8 8: *ciennik* = altana.

» 31: *zemła* (z niemiec. *Semmel*) = bułka; według starego przysłowia bułki wypiekane w Wiślicy były najlepsze (krakowski trzewik, poznańska panna, przemyskie piwo, wiślicka zemła).

10 19: *kordyaką* nazywano chorobę serca, przyprawiającą o mdłości, odbierającą sen i myśl wesołą; stąd *kordyaczny* znaczy tyle co melancholijny i spazmujący.

Str. Wiersz

- 11 29: wiara w astrologię, we wpływ gwiazd i znaków niebieskich na życie ludzkie, w tajemniczy związek pomiędzy ciałami niebieskimi a losem człowieka była w wieku XVI jeszcze powszechną.
- 12 2: *Jan Tarnowski* (ur. 1488, zm. 1561) był jednym z najdzielniejszych naszych wojowników i hetmanów. Kochanowski napisał na śmierć jego piękną elegię, pocieszając pozostałego syna, Jana Krzysztofa.
- 13 7: *Proteusz*, bożek wodny wedle wyobrażenia starożytnych Greków i Rzymian mógł dowolnie przybierać najrozmaitsze postaci.
- 16 29: *Carogrodem* nazywano u nas Konstantynopol (Stambuł)
- 17 10: W czasie wojny z Iwanem Groźnym w roku 1579 Połock po upartej bitwie wrócił pod panowanie polskie.
- » 15: *karawanseraj* = gospoda na Wschodzie, dla odpoczynku *karawany* tj. towarzystwa wspólnie odbywającego podróż w celach handlowych czy religijnych.
- 22 22: płonista = fałdzista, szeroka.
- » 31: *lubistek* albo *lubystek*, *lubczyk*, ziele, w którym dziewczęta od dzieciństwa kąpane, według mniemania ludowego, podobają się mężczyznom.
- 23 4: *łąteczka* = laleczka.
- » 18: *wtojezas* = natychmiast.
- 26 27: *w niemieckich krajach*. Święta Ludwina pocho-

Str. Wiersz

- dziła z Holandyi, z miasteczka Schiedam, zmarła w roku 1433.
- 29 4: Mowa tu jest o przełożonym przez Kochanowskiego »Psałterzu«, który zarówno w katolickich jak w protestanckich kościołach był powszechnie w użyciu. Muzykę do niego dorobił Gomółka.
- 30 1: *giezłeczko* = koszulka.
- 31 4: Albrecht *Dürer* znakomity malarz niemiecki, ur. 1471 zmarł 1528.
- » 10: *trzose* znaczy tu *pęki*; trzos zazwyczaj znaczy pas skórzany, w którym dawniej noszono pieniądze.
- » 14: *duchenka* = czapka, czepek nowy.
- 32 4: *nieboszczyka króla* = Zygmunta Augusta, zmarłego w roku 1572.
- » 10: właściwie Gomółka *zastosował* muzykę do słów Kochanowskiego.
- 33 13: *onuczki* są to kawałki płótna, któremi obwijają się nogi zamiast skarpetek lub pończoch.
- » 20: *nowinnego*: nowinne = datek za dobrą nowinę.
- 34 3: *w barwie* = w liberyi, w mundurze.
- 35 5: *relacya* = sprawozdanie, opowiadanie.
- » 17: *Lipa* Kochanowskiego. Hofmanowa powiada, że w roku 1826 stary gospodarz nazwiskiem Pierzchała pamiętał jeszcze, jak się sama wyróciła, spróchniawszy zupełnie. Na jej miejscu położono kamień, podobno tak szeroki, jak gruby był pień lipy u spodu, a później na tym kamieniu pomnik, który stoi do dziś dnia. Wizerunek tego pomnika podał Konrad

Str. Wiersz

- Prószczyński (K. Promyk) w książeczce: »Jan Kochanowski, jego pieśni i pamiątki po nim« (Warszawa, 1884).
- 36 30: *Fiedor i Bożuj* są to rycerze wprowadzeni do poematu p. t. »Szachy«, jako grający dla rozstrzygnięcia, który z nich ma otrzymać rękę księżniczki duńskiej. Fiedor wygrywa.
- 39 18: *ochędóstwo* = ubiór, toaleta.
 » 19: *bryżowana* = haftowana, i garnirowana.
 » » : *pisany* = malowany, w kwiaty.
- 40 28: *Safo* poetka grecka z VI-go wieku przed Chr.
- 41 11: Kasper Bekiesz, magnat siedmiogrodzki, spółubiegający się z Batorym o tron w swojej ojczyźnie. Gdy Batory zwyciężył, Bekiesz musiał uciekać, ale potem przybył do Polski i usługi swe królowi do poskromienia gdańszczan ofiarował i został serdecznie przyjęty.
 » 14: *dzianet* = koń.
- 42 32: *powinowatym* króla Stefana stał się Jan Zamojski przez ożenienie się z jego synowicą, Gryzeldą Batorówną.
- 43 15: *Gedymin* był jednym z najdzielniejszych i najrozumniejszych w. książąt litewskich; zmarł w r. 1341; *Olgierd* był jego synem (zmarł 1377 r.).
 » 23: *Zygmunt Stary*, król polski, w. książę litewski zmarł 1548.¹
- 44 25: *Cesarzem* w XVI wieku nazywał się cesarz niemiecki, tytułujący się cesarzem ś. państwa rzymskiego.
 » 28: *przybył... i nasz Jan*. Prawdopodobnie bawił

Str. Wiersz

Kochanowski na dworze hetmana Tarnowskiego w r. 1547/48. Zob. R. Pleniewicz: »Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła«, str. 107—113.

- 45 13: *był w tej walnej bitwie*. Nie jest to rzeczą stwierdzoną; prawdopodobnie bawił wtedy Jan na naukach za granicą; a wyrażenie o przypasaniu się do miecza odnosi się do czasów znacznie późniejszych.
- 21: *książę Wiśniowiecki*; jestto Książ Dymitr, pierwszy historycznie znany hetman Zaporozców, opiewany u nas przez Bohdana Zaleskiego, powieszony przez Turków za żebra nad morzem w r. 1563.
- 46 27: *czerniec* = zakonnik, pustelnik.
- 49 16: *Witoldowe czasy*. Witold najdzielniejszy z rycerzy litewskich, pogromca wrogów swojej ojczyzny, syn Kiejstuta, urodził się około roku 1350, zmarł w r. 1430.
- » 22: *rozesłano wici* tj. ogłoszono listy królewskie, zwołujące pospolite ruszenie szlachty.
- 53 15: *Wielkie Łuki*, miasto w gub. pskowskiej, sławne zwycięstwem Batorego w r. 1580.
- 54 20: *warchoł*, oznacza właściwie człowieka skłonnego do kłótni i intryg.
- 55 12: *rotułami* nazywano małe poemaciki liryczne. Pisał je i drukował *Mikołaj* Kochanowski. *Psalmy* tłumaczył *Jan* Koch. Epopeję Torkwata Tassa: »Jerozolima Wyzwolona«, przełożył pięknym wierszem polskim *Piotr* Koch.

Str. Wiersz

- Epopeję Wirgiliusza p. t. »Eneida« przetłómaczył *Andrzej Kochanowski*.
- 55 18: trawą żyje, aluzya do ulubionej przez Włochów sałaty, którą Piotr Kochanowski, jako tłumacz poematu włoskiego, jadać musiał wedle wyobrażenia pana Franciszka.
- 56 10: czy *Rdest* czy *Gaweński*... są to przekręcone przez nieukształconą szlachtę nazwy kandydatów do korony w czasie bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. *Rdestem* nazywano Ernesta, Arcyksięcia austriackiego, *Gaweńskim* — Henryka Walezyusza, księcia andegaweńskiego (Anjou). W czasie znów bezkrólewia po Henryku Walezym, marszałek koronny, chcąc zniechęcić szlachtę do króla—rodaka podał na kandydata do tronu szlachcica *Badurę*, czem wszystkich, pobudził do śmiechu.
- 61 13: *pawęż* = tarcza.
- » 26: *murza* albo *mirza* (czytaj: mir-za), dowódca hordy tatarskiej.
- 65 14: *lątki* = lalki.
- 67 14: *legata papieskiego*. Mowa tu o legacie Possewinie, który pośredniczył w zawarciu pokoju między Iwanem Groźnym a Stefanem Batorem w r. 1582.
- 72 6: *przeborek* = przedział, zrobiony we włosach na głowie.
- 76 9: *mój dziad*. Jan, sędzia grodzki, radomski, zm. 1508, żonaty był z Barbarą Ślizówną.
- » 23: *sześciu chłopców*. Właściwie 7u, a mianowicie: Kasper († 1577), Jan († 1584), Mikołaj († 1582).

Str. Wiersz

Piotr, Andrzej, Jakób, Stanisław († 1550), Cztery córki: Katarzyna, Elżbieta, Jadwiga, Anna. Nie zmarły one w panieństwie, owszem trzy pierwsze wyszły za mąż; o Annie tylko nie wiemy nic pewnego.

- 77 5: *umarł nasz ojciec* Piotr w r. 1547.
- * 12: *Dąbrowscy, Mysłowscy, Sienińscy*. Jest to nie-
trafny domysł autorki. Dziś wiadomo, że Bar-
bara wyszła za *Nieczuję*, a Anna za *Ryskow-*
skiego, O Krystynie i Katarzynie nic pewnego
nie wiadomo.
- 79 2: *do Koryntu przyjsć nie każdemu snadno jest*.
to starożytne grecko-katolickie przysłowie, od-
powiadające naszemu: Chłop strzela, Pan Bóg
kule nosi.
- 80 22: *Ossoliński*: był to zapewne Hieronim, wyznawca
kalwinizmu, wybitne miejsce zajmujący w iz-
bie poselskiej, który bawił w Paryżu w r.
1556 i 1557.
- * 24: *Greta* (z niemiec: *Gretchen*) zdrobniła nazwa
na oznaczenie ładnej mieszczaneczki.
- 81 26: *Manucyusza*. Aldowie Manucyusze byli to sła-
wni drukarze włoscy, głośni z prawdziwej
nauki. Kochanowski znał się z Pawłem Ma-
nucyuszem, który był profesorem wymowy
w Wenecyi.
- * 27: *Karol Sygoniusz*, znakomity humanista włoski,
ur. 1523, autor *Historji panowania Longo-*
bardów we Włoszech, był profesorem w uni-
wersytecie padewskim, gdzie się Kochanow-
ski kształcił.

- | Str. | Wiersz |
|------|---|
| 81 | 28: Łukasz <i>Górnicki</i> , wyborny prozaik polski, ur. 1527 † 1603, autor »Dworzanina Polskiego« i wielu innych pism. Stanisław <i>Fogelweder</i> (1525 † 1603), potomek rodziny niemieckiej przybyły ze Szwajcaryi, odznaczał się wielką nauką i sprawował różne poselstwa. |
| 82 | 1: <i>Filip Padniewski</i> , biskup krakowski, zmarły w r. 1572, pisywał także wiersze łacińskie. Nie był właściwie kanclerzem tylko podkanclerzem. |
| » | 12: <i>Anakreont</i> , dawny poeta grecki z V-go wieku przed Chr. lubił opiewać wino i kobiety. |
| » | 18: <i>Katarzyna</i> , córka Ferdynanda I cesarza i Anny Jagiellonki, poślubiła w r. 1553 Zygmunta Augusta. Była to kobieta zająca, ale brzydka i cierpiała »wielką chorobę« (konwulsye). Gdy ją król zbrzydził sobie w Radomiu, potem wyjechała do Wiednia, zmarła roku 1572. |
| 83 | 4: <i>Hanna Konięcpolska</i> . Miłość do niej Kochanowskiego jest tylko domysłem Hofmanowej. |
| 84 | 31: napis, o którym tu mowa, znajduje się we »Fraszkach« Kochanowskiego. Brzmi on:

Panie, to moja praca a zdarzenie (t. j. dar) twoje,
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje
Inni niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany objijają;
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem
A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nie przykrą starością. |

Str, Wiersz

- 86 5: po *siedmnastu* leciech, właściwie po *siedmiu*, bo Kasper um. 1577.
- » 7: *Franciszek* Kasper pozostawił czterech synów, ale pomiędzy nimi nie było Franciszka. Oto ich imiona: Piotr (w Policznej), Kasper, Jan, Krzysztof. Córek miał trzy: Annę, Zofię i Katarzynę.
- 89 5: *Ondryni — ja lon sieju — ja len sieję*, powiedz, z kim zbierać będą...
- 90 31: *sprawiedliwość wymierzona wdowie*. Król Stefan Batory zmusił Łaskiego, wojewodę sieradzkiego do oddania Lanckorony, nieprawnie zabranej wdowie po Wolskim, kasztelanie czerskim.
- 98 9: pani Mikołajowa, wdowa po Mikołaju Kochanowskim † 1582 bracie Jana; miała 10 synów; jednym z nich był Adam, zdaje się najstarszy, czy był i *Krzysztof* nie wiemy, gdyż nie znamy imion czterech z pomiędzy 4-ch synów. Dodać trzeba, że Piotr Kochanowski, tłumacz »Jerozolimy Wyzwolonej«, był właśnie jednym z nich.
- 103 12: *Modrzewski* Andrzej Frycz, znakomity publicysta polski, autor dzieła »O naprawie Rzeczypospolitej«, zmarł w r. 1572.
- » 12: *Stanisław Orzechowski* bardzo utalentowany pisarz, niespokojnego temperamentu, zmarł w roku 1566.
- » 22: *Protaszewicz* Waleryan (1504 † 1580), biskup wileński, gorliwie walcząc z kalwinizmem, wprowadził do Wilna zakon Jezuitów.

Str. Wiersz

- 103 22: *Solikowski* Jan Dymitr (1539 † 1603, arcybiskup lwowski, wprowadził Jezuitów do Inflant.
- 104 3: *Andrysiowicz Łazarz*, słynny drukarz krakowski między r. 1553 a 1577 »Rotuły« Mikołaja Kochanowskiego wyszły w roku 1585.
- » 12: Całkowity przekład *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa wyszedł dopiero w r. 1618.
- 109 5: *Dobiesław Kochanowski*, stryj Jana, miał za żonę Dorotę z Kroguleckich. Daty jego zgonu nie znamy.
- » 29: *Od sporów prawnych dalecy*. Niestety, od nich nikt w XVI. wieku wolnym nie był i Kochanowscy musieli je prowadzić. P. Plenkiewicz w życiorysie Jana Kochanowskiego nagromadził mnóstwo szczegółów w tej mierze.
- 111 26: *Piotr Kochanowski* nie był bratem, ale synowcem Jana, jako syn Mikołaja.
- 118 4: *Sajdakiem uzbrojone dziecię* = Amor, Kupido, bóg miłości w mitologii starożytnej.
- 124 22: *Co głowa to rozum*. Nie z polskich stosunków urosło to przysłowie; jest ono o wiele starsze, znali je Rzymianie, mówiac: *quot capita, tot sensus*.
- 129 25: *chwytka* = piłka i *cyga* = bąk.
- 133 20: *tuwalnia* = ręcznik.
- 136 1: *winnik* = miotełka do trzepania ciał w łaźni.
- 138 1: *mego Satyra*. »Satyr« jest to poemat satyryczno-moralizujący, wydany przez Jana Kochanowskiego w r. 1563.
- 139 21: *forbot* = koronka.

Str. Wiersz

- 143 11: *giermak* = prosta sukmana, z grubego materiału.
- 144 25: Relikwie ś. *Floryana*, rycerza i męczennika z III-go wieku sprowadzono do Polski wkońcu XII-go wieku.
- 150 1: *Babiń*, w Lubelskiem, siedziba Stanisława Pszonki, zm. w r. 1586, który założył w XVI wieku towarzystwo żartobliwo - satyryczne, przezwano »Rzeczpospolitą Babińską«. Urzędy rozdawano tam naopak przymiotom osoby; tchórzliwego np. robiono hetmanem. Ponieważ Jan Zamojski miał w Polsce wiele godności, więc w Rzpltej babińskiej przezwano go: Wszystkoróbkim, Totumfakiem. Mamy obecnie ogłoszone drukiem przez S. Windakiewicza »Akta Rzeczypospolitej Babińskiej« (Kraków, 1596).
- 154 7: *limonie* = gatunek cytryn.
- 155 26: *falendysz* (holländisch), cienkie sukno hollenderskie.
- 159 12: *krokorz*, roślina, dająca barwę żółtą i czerwoną, zastępowała szafran, który był bardzo drogi.
- 171 8: *ciasnocha* = kaftan długi, spódnica opięta.
- 177 21: *makaty* = obicia drogie, jedwabiem i złotem szyte.
- 178 6: *gieradna panna* = panna wyprawna t. j. pokojówka panny młodej pilnująca jej »wyprawy«.
- » 29: *baja* — materya wełniana strzępiona.
- 180 19: *czółko* = przykrycie głowy po czoło dla kobiet.
- » 32: *jarmużkowaty tabinowy* = koloru jarmuż z materyi drogiej, sprowadzanej z Persyi.

Str. Wiersz.

- 181 9: *rasiany* = z rasy (raszy, haraszu), lekkiej wełnianej materji.
- 192 14: *Tomasz Bielawski*, wierszokleta XVI wieku, rodem z Wielkopolski. Wydał zbiór poezji tłómaczonych z łaciny p. n. »Procesya Wielkanocna, z niektórym śpiewaniem kościelnym tego święta właśnie przełożona«. (Kraków, 1591). Wiersz tu twardy, przymiotniki dziwnie składane, np. słodosyczne zdroje, twardokrzyezni żydowie i t. p. On też pewnie jest autorem wspomnianego w tej powieści dydaktycznego wiersza p. t. »Myśliwiec«, wydanego w Krakowie r. 1595. Ciekawa to książeczka dla myśliwych, którzy znajdą w niej mnóstwo nazwisk psów i opisy różnych sztuk czyli »obrotów« łowczych, oraz dla filologów; ale poezji, a nawet porządnego rymowania niema tu zgoła.
- » 22: *Bączalski* był to także wierszopis z końca XVI i początku XVII wieku, ale na imię miał nie Piotr, jak sądziła Hofmanowa, tylko *Severyn*. Urodził się w Dalechowicach na Podgórzu Krakowskiem; w Rzeczypospolitej Babińskiej przewano go »starym polskim nowiniarzem«, ponieważ gawędził bez talentu. Główne jego wiersze są: »Fortuna albo szczęście« —rodzaj kabały ułożonej w czterowierszach, często przedrukowywanej, »Ochrona koronna«, »Przestrach śmiertelny«. Skarżył się nieraz na biedę, powiadając, że będzie zmu-

Str Wiersz

szony rękę po jałmużnę wyciągać, usiadłszy pod kościołem.

- 196 4: *niemało ksiązek... o sztuce leczenia*. Najdawniejsze przepisy dotyczące obchodzenia się z chorobami, mieszczono w tak zwanych »zielnikach«, w których obok opisu ziół pożytecznych i szkodliwych podawano sposoby stosowania się w rozmaitych słabościach. Długo zielniki te krążyły tylko w odpisach. Pierwszy dopiero Stefan Falimierz ogłosił drukiem w Krakowie r. 1534 dzieło pod tym napisem. Później, w r. 1542. Hieronim Spiczyński lekarz nadworny Zygmunta Augusta, wydał dzieło p. t. »O ziołach tutejszych i zamorskich i o mocy ich«. Dzieło to przerobił następnie i uzupełnił Marcin Siennik i ogłosił p. t. »Herbarz to jest ziół tutecznych, postronnych i zamorskich opisanie... Przydano Aleksego Pedemontana księgi ośmiory o tajemnych a skrytych lekarstwach«. (Kraków, 1568). Marcin Urzędów, lekarz nadworny hetmana Jana Tarnowskiego opracował podobno księgę, wydaną dopiero po jego śmierci, p. t. »Herbarz polski to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych i innych rzeczy do lekarstwa należących« (Kraków, 1595). Najrozleglejszem w reszcie dziełem tego rodzaju jest »Zielnik« Szymona Syreńskiego, czyli Syreniusza, wydany w Krakowie w 1613 roku po śmierci autora.

KONIEC.



ΟΛΥΜΠΙΑ



Biblioteka UJK Kielce

UJK



0473054